

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 6/477

1987



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

M. OSTROWSKI: **EX ORIENTE LUX**

K. BRANDYS: **MIESIĄCE (FRAGMENTY)**

M. NOWAKOWSKI: **ŻYDOWSKI HRABIA**

Z. BRONCELL: **LONDYN LEŻY NAD WISŁĄ**

A. KRUCZEK: **W SOWIECKIEJ PRASIE**

SPIS RZECZY

| | | |
|---|--|-----|
| Redakcja: | Konstanty A. Jeleński | 3 |
| Michał Ostrowski: | <i>Ex Oriente lux</i> | 5 |
| Kazimierz Brandys: | <i>Miesiące</i> (fragmenty) | 12 |
| Marek Nowakowski: | <i>Żydowski hrabia</i> | 25 |
| Janusz K. Zawodny: | <i>Rzeczy nieudane (Okruchy pamięci)</i> | 31 |
| Alieja Iwańska: | <i>Brazylijscy potomkowie Scarlett O'Hara</i> | 40 |
| WIERSZE | | |
| Jacek Bierezin: | <i>Nie piszę listu... — Wiadomości z kraju</i> | 45 |
| Jan Prokop: | <i>Od czasu do czasu... — Usiłując daremnie...</i> | 46 |
| Maciej Piotr Prus: | <i>Za głuche słowa... — Żydzi polscy</i> .. | 47 |
| O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA | | |
| Dominik Morawski: | <i>Korespondencja z Rzymu</i> | 49 |
| — | <i>List do Sekretariatu ks. Prymasa Polski</i> | 52 |
| K R A J | | |
| (j.a.): | <i>Notatki z Polski</i> | 53 |
| Stanisław Piotrowski: | <i>Architektura polska wczoraj i dzisiaj</i> | 60 |
| SPRAWY I TROSKI | | |
| Adam Nasielski: | <i>40 lat polskiej prasy w Australii</i> | 63 |
| — | <i>Sprawozdanie Funduszu Pomocy... za lata 1982-1986</i> | 68 |
| Two Opieki nad Polskimi Zabytkami...: | <i>Apel</i> | 71 |
| SĄSIEDZI | | |
| Adam Kruczek: | <i>W sowieckiej prasie</i> | 72 |
| Józef Łobodowski: | <i>60-lecie twórczości Ułasa Samczuka</i> .. | 79 |
| Andrzej J. Chilecki: | <i>Kronika niemiecka</i> | 81 |
| Józef Darski: | <i>Kronika białoruska</i> | 85 |
| E. Żagiełl: | <i>Kronika litewska</i> | 89 |
| — | <i>Oświadczenie Międzynarodówki Oporu</i> .. | 91 |
| KRONIKA KULTURALNA | | |
| Mikołaj Ruzzkowski: | <i>Wyobrażenia i współodczuwanie</i> | 96 |
| Bogdan Czaykowski: | <i>Angielska próba Norwida</i> | 100 |
| Renata Gorczyńska: | <i>Poletko Erskine'a Caldwell'a</i> | 106 |
| Zdzisław Broncell: | <i>Londyn leży nad Wisłą</i> | 114 |
| — | <i>Wystawa Ernesta Kosmowskiego</i> | 120 |
| CI, CO ODESZLI | | |
| Bolesław Wierzbiański: | <i>Adam Rudzki</i> | 122 |
| Kazimierz Smogorzewski: | <i>Helena Heinsdorf</i> | 124 |
| KSIĄŻKI | | |
| Marek Zieliński: | <i>Wstęp do epepej</i> | 127 |
| Józef Wojciech Gadomski: | <i>Młodszy brat Cezarego Baryki</i> | 130 |
| Janina Katz-Hewetson: | <i>Sól poezji</i> | 136 |
| Benedykt Heydenkorn: | <i>List emigrantów</i> | 140 |
| — | <i>Nadestane nowości wydawnicze</i> | 143 |
| — | <i>Wydarzenia miesiąca i kronika francuska</i> | 146 |
| — | | |
| St. Bóbr-Tylingo, Z. Jagodziński, St. Lozoraitis, jr., Z. S. Siemaszko: | <i>Listy do Redakcji</i> | 150 |
| — | <i>Odpowiedzi Redakcji</i> | 153 |
| DOKUMENTY | | |
| — | <i>Polityka wschodnia</i> | 154 |

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec - Juin 1987

INSTYTUT  LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

| | |
|---|-------------|
| M. J. Blachaczek, Howard City, MI (USA) — po raz 7-my — \$ 10,00 | F. 59,00 |
| Jan Jakubiak, Whitby, Ont. (Kanada) — \$ c. 8,00 | F. 33,00 |
| Józef Lewandowski, Uppsala (Szwecja) — pamięci Konstantego A. Jeleńskiego | F. 190,75 |
| Kaz. J. Logay, Sarasota, FL (USA), po raz 12-ty — \$ 40,00 .. | F. 236,00 |
| Lesław K. Ludwig, Springfield, MA (USA), po raz 12-ty — \$ 20,00 | F. 118,00 |
| Stanisław Mikiciuk, Monachium (RFN) — z okazji 35-lecia przedstawicielstwa — DM 350,00 | F. 1.155,00 |
| Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 21-szy — \$ 100,00 | F. 590,00 |
| Grażyna i Krzysztof Pomianowie, Paryż — zamiast kwiatów na grób Konstantego A. Jeleńskiego | F. 200,00 |
| J. Suchocki, Mayersthorpe, Alta (Kanada) — \$ c. 20,00 | F. 84,00 |
| Paula i Fryderyk Topolscy, Bad Homburg (RFN) — dla uczczenia pamięci drogiego Przyjaciela, prof. dr. med. Joachima Kohna, zmarłego w Londynie 30 marca 1987 roku | F. 200,00 |
| Halszka Vincenz-Poniatowska, Zürich — zamiast kwiatów na grób Konstantego A. Jeleńskiego | F. 389,90 |
| Z Wiednia — zamiast kwiatów na grób Adama Rudzkiego, zmarłego 4 maja br. w Nowym Jorku | F. 450,00 |
| Norbert Żaba, Sztokholm — dla uczczenia pamięci śp. Konstantego A. Jeleńskiego | F. 150,00 |
| Norbert Żaba, Sztokholm — dla uczczenia pamięci śp. Adama Rudzkiego | F. 150,00 |
| ◆ | |
| Leon Gobelny, Dearborn, MI (USA) — w marcowej <i>Kulturze</i> odnotowaliśmy jego dar na Fundusz <i>Kultury</i> — \$ 8,00, zamiast \$ 12,00, za co przepraszamy Ofiarodawcę, odnotowując pozostałe \$ 4,00 | F. 24,00 |

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

| | |
|---|-----------|
| Witold Bogdanowicz, Toronto, Ont. (Kanada) — na prasę podziemną — \$ c. 50,00 | F. 210,00 |
| Jadwiga Buko-Szreder, Kassel (RFN) — na pomoc ludziom walczącym w Kraju z przemocą komunistyczną — DM 10,00 | F. 33,00 |
| E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL — dwie wpłaty po F. 200,00 | F. 400,00 |
| Fr. Rutkowski, Toronto, Ont. (Kanada) — dla uczczenia pamięci śp. mjr. Romana Proszka, dobrego człowieka i przyjaciela, w drugą rocznicę Jego śmierci — \$ c. 20,00 | F. 84,00 |

Dalszy ciąg Wpłata na str. 159)

Konstanty Aleksander Jeleński

4 maja 1987 zmarł w Paryżu po krótkiej chorobie Konstanty Aleksander Jeleński. Jego śmierć jest nie tylko ogromną stratą dla nas, Jego przyjaciół od wielu wielu lat, ale dla kultury polskiej w ogóle. Konstanty Jeleński był jednym z nielicznych, a kto wie czy nie jedynym Europejczykiem w pełnym tego słowa znaczeniu. Jego wybitna inteligencja, wdzięk osobisty, doskonała znajomość obcych języków oraz umiejętność rozmawiania z ludźmi ze wszystkich sfer sprawiły, że był prawdziwym ambasadorem naszym na Zachodzie.

W najbliższych numerach *Kultury* opublikujemy kilka esejów o Konstantym Jeleńskim, pióra jego najbliższych przyjaciół. Obecnie podajemy poniżej Jego krótki życiorys, napisany dla nas własnoręcznie.

„Konstanty Aleksander Jeleński urodził się 2 stycznia 1922 roku w Warszawie. Był synem Konstantego Jeleńskiego, urzędnika MSZ i Teresy ze Skarzyńskich, która na emigracji była tłumaczką i dziennikarką. Ukończył gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie i liceum im. Sułkowskich w Rydzynie, gdzie w roku 1939 dostał maturę. Do Wojska Polskiego zgłosił się we Francji w grudniu 1939 roku, przyjęty został w kwietniu 1940 roku i po ewakuacji wojska z Francji do Wielkiej Brytanii został przydzielony do 1 pułku artylerii motorowej, wchodzącej w skład Pierwszej Dywizji Pancernej. Jako żołnierz aliancki był stypendystą British Council, studiował na uniwersytecie Saint Andrews w Szkocji, gdzie w 1943 roku uzyskał dyplom Master of Arts z ekonomii i nauk politycznych (następnie na uniwersytecie w Oxfordzie — Pembroke College — studiował historię nowożytną).

Jako żołnierz uczestniczył w kampanii Francja-Belgia-Holandia-Niemcy; nominacja na podporucznika na polu walki w roku 1944. Przydzielony w Holandii do ekipy „Dziennika żołnierza I Dywizji Pancerniej” był jego ostatnim redaktorem naczelnym w roku 1946. Odznaczenia: Krzyż Walecznych, Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Medal Wojska (dwukrotnie).

Po wojnie mieszkał kilka lat we Włoszech pracując w latach 1948-1949 w Międzynarodowej Organizacji do Spraw Uchodźców (I.R.O.) w Neapolu, zaś w latach 1949-1951 w Międzynarodowej Organizacji dla Spraw Żywności i Rolnictwa (F.A.O.) w Rzymie.

W roku 1952 osiedlił się na stałe we Francji jako uchodźca polityczny (status — *réfugié polonais*, którego nigdy nie zmienił). W latach 1952-1973 pracował w sekretariacie Kongresu Wolności Kultury (jako członek komitetu redakcyjnego miesięcznika *Preuves* od 1952 do 1972); w latach 1973-1976 dyrektor administracyjny Centre Royaumont pour une Science de l'Homme w Paryżu; od roku 1976 *chargé de mission* w Institut National de l'Audiovisuel (Instytut badawczo-doświadczalny francuskiego radia i telewizji). Od stycznia 1987 na emeryturze.

Współpraca pisarska i dziennikarska: z *Kulturą* od roku 1950; publikuje swoje prace w *Preuves* i wielu czasopismach francuskich, angielskich, amerykańskich, niemieckich i włoskich. Autor 10 książek wśród których zbiór szkiców pt. „Zbiegi Okoliczności” (KOS, Kraków 1980 i Instytut Literacki 1982), „Antologie de la poésie polonaise” (II wydanie Editions l'Age d'Homme, 1980); „Léonor Fini” (monografia, Lausanne 1968). Tłumacz na francuski m.in. Gombrowicza, Miłosza i Karola Wojtyły. Nagroda Polskiego PEN-Clubu (Warszawa) za tłumaczenia polskiej poezji (wraz z Pierre Emmanuelem), 1981; nagroda fundacji im. Kościelskich, 1964; nagroda Fundacji im. Jurzykowskich, 1965; nagroda literacka *Kultury* im. Zygmunta Hertzka, 1981.

Współzałożyciel i członek Rady Nadzorczej Fondation Européenne pour une Entraide Intellectuelle; członek Komitetu Wykonawczego Funduszu Pomocy Niezależnej Kulturze i Nauce Polskiej; członek jury nagrody im. Kościelskich (Genewa) i nagrody im. Stanisława Vincenza (Kraków).

REDAKCJA „KULTURA”

Ex Oriente lux

„Ex Oriente lux...”. W Moskwie coś drgnęło. Pokazy mody i zwolnienie Sacharowa, zapowiedzi odwołania inkwizycyjnych wyroków w literaturze i sztuce, ofensywa w polityce zagranicznej, zapowiedzi reform. Wszystko to zdaje się wskazywać, że kremowski dwór wyszedł z okresu marazmu i oczekiwania na śmierć kolejnych władców. Wszystko to już kiedyś było — odwilż i reformy, pokojowe zapowiedzi i rakiety na Kubie, nawet Stalin telefonował do Pasternaka, aby zapowiadać zwolnienie Mandelstama. Wszystko to już było — zmiana cara i nadzieje z nią związane, wojna krymska i *point de rêveries*, Aleksander Mikołaj i Konstanty. Rosja i komunizm — dwa odrębne i mroczne problemy naszych dziejów, które przez złośliwość historii spłotyły się w zbiorowej pamięci i nadziejach oraz w rozważaniach politycznych w trudny do rozwikłania węzeł. Brzemień doświadczeń naszego stulecia i wieków minionych nie ułatwia bynajmniej rozplątania owego węzła, a wydaje się ono dziś bardziej konieczne niż kiedykolwiek od roku 1956.

„W społeczeństwie polskim (...) dominuje zdecydowana niechęć w stosunku do Rosji i Rosjan. Niechęć ta (...) zabarwiona jest z jednej strony obawą, z drugiej zaś pogardą wypływającą z poczucia naszej wyższości moralnej i cywilizacyjnej. Z pewnością nie jest to najwłaściwsza postawa” — pisał w 1981 roku w szkicu „Wobec Rosji” Aleksander Hall. W programie PPN z roku 1976 czytamy z kolei: „Rząd w Moskwie musi zdać sobie sprawę, że trwanie stanu obecnego stale zwiększa niechęć, a nawet nienawiść Polaków do Rosji”. Nie dysponuję żadnymi rezultatami badań opinii publicznej na temat stosunku Polaków do Rosji, nie wiem nawet czy badania takie były lub są prowadzone. Z konieczności więc głos publicysty i fragment dokumentu

programowego stanowią diagnozy stanu zbiorowej świadomości. Szydercze komentarze na widok rosyjskich wycieczek na ulicach polskich miast, prześmiewcze reakcje na każdą wiadomość z Rosji w prasie czy telewizji, dowcipy, w których symbolami ludzkiej głupoty są na równych prawach Rosjanie i milicjanci, to zauważalne na każdym kroku przejawy resentymetu. Niechęć owa ukształtowana została na podłożu tragicznych doświadczeń z dziejów stosunków polsko-rosyjskich. Natrętna, nieudolna i prowadzona bezustannie przez władze PRL propaganda „przyjaźni polsko-radzieckiej” oraz obowiązkowe wieloletnie nauczanie języka rosyjskiego są powszechnie traktowane jako symboliczne przejawy braku suwerenności i w skuteczny sposób stymulują resentmenty. Swoistym przejawem siły odruchu repulsji jest faktyczna nieznajomość języka rosyjskiego, jaką prezentuje w całej okazałości większa część absolwentów polskich szkół. Równie istotna jak sama niechęć jest coraz powszechniejsza nieznajomość Rosji wśród Polaków. Ludzie urodzeni pod zaborem rosyjskim są dziś bardzo nieliczni, coraz mniej też jest wśród nas tych, którzy pamiętają z własnych doświadczeń rok 1920, lata 1939-1941 czy 1944-1945. Pamiętają jeszcze sowiecką Rosję repatrianci, którym udało się powrócić do Polski w latach pięćdziesiątych. Jednak dla większej części naszego społeczeństwa znajomość Rosji ogranicza się w najlepszym wypadku do wspomnień z orbisowskiej czy studenckiej wycieczki albo służbowej delegacji. Niechęć podlana niewiedzą tworzy mieszkankę piorunującą.

Gdyby poddać potoczny stereotyp Rosjanina dokładnej analizie, da się on określić jako bliski koncepcjom Jana Kucharzewskiego, znacznej części sowietologów i po trochu Aleksandra Zinowiewa. Będzie to rzecz jasna obraz wielce uproszczony. System sowiecki jest w tym ujęciu konsekwencją wielowiekowej deformacji rosyjskiego charakteru narodowego, zaś komunistyczna dyktatura nieprawym dzieckiem samodzierżawia. *Homo sovieticus* to czystej wody Rosjanin udoskonalony nieco przez rządy nomenklatury. Czyli najkrócej mówiąc — sami tego chcieli, co więcej — należało im się i nie warto im życzyć nic innego, bo do niczego innego jak do bata nie dorosli. Dobrze im tak, źle tylko, że wygrażają nam tym samym batem. Ale my już nauczeni bronić się przed nim, przyczepiać mu na końcu marchewkę, a niekiedy go nie zauważać.

Nic zatem dziwnego, że redaktor *Ruskiej Myśli* Irina Hłowaj-ska-Alberti mogła napisać, że choć zupełnie zrozumiała jest dla niej „postawa Polaków, którzy mogą twierdzić: to ci sami Rosjanie nas uciskają, co uciskali nas zawsze”, to trudny już do przyjęcia jest fakt, że „w krajach zniewolonych przez Związek Sowiecki istnieje jakby dobrowolna ignorancja właśnie w dziedzinie historii sowieckiej — niewiedza i niechęć do nauki”. I dodała:

„Niejednokrotnie spotykałam Polaków nie znających historii powstania i umocnienia się władzy sowieckiej, choć podzielali oni mój pogląd, że łączy nas cel wspólnej walki z tym samym wrogiem. Polacy nie znali historii tego nie dającego się opisać terroru, dzięki któremu powstała władza sowiecka i przy pomocy którego osiągnęła rezultaty szokujące ludzi. (...) Wydaje się też, że Polacy nie znają także historii walki przeciw władzy i systemowi w ZSSR (...). Ale, co najdziwniejsze, językowa bariera nie pozwala, mimo innych przeszkód, zapoznać się z kroniką życia i walki w Związku Sowieckim”.

Spostrzeżenia Iriny Hłowaj-skiej-Alberti można z powodzeniem odnieść również do elit społeczeństwa polskiego. Istotne znaczenie ma tu czynnik pokoleniowy. Wymiana generacji sprawia, że ostatnim pokoleniem polskiej inteligencji, które prezentuje żywe zainteresowanie Rosją i pogłębioną znajomość jej dziejów i kultury, są ludzie, których formacja intelektualna przypadła na lata stalinowskie, kiedy zajmowanie się Rosją było „jedynie słuszne” i — paradoksalnie niekiedy — dawało poczucie azylu. Pisał o tym w swej prowokującej autobiografii intelektualnej Andrzej Walicki. „Kultura rosyjska była dla mnie *antidotum* na stalinizm we wszystkich jego postaciach — zarówno w postaci *Nowej Wiary*, jak i towarzyszącego tchórzliwego lub cynicznego zakłamania. Czułem się zagrożony nie *rusyfikacją* lecz *sowietyzacją*. Autentyczna kultura rosyjska nie ogłupiała mnie, nie zniewalała mego umysłu, przeciwnie — wyostrzała mój krytycyzm wobec rzeczywistości budowanej na kłamstwach, działała wyzwalająco, kształtowała moją samowiedzę, wzmacniała mnie moralnie”.

Nie można jednak zaprzeczyć, że dla młodszych generacji polskiej inteligencji, które wyborów intelektualnych dokonywały w warunkach większej swobody niż rówieśnicy Walickiego bardziej pociągająca niż rosyjska była kultura Europy Zachodniej, co w sposób oczywisty pozostaje w zgodzie z okcydentalnym nastawieniem kultury polskiej. W najmłodszych pokoleniach da się zauważyć raczej wydatny wzrost zainteresowania dziejami naszych bezpośrednich sąsiadów ze Wschodu: Ukraińców, Białorusinów, Litwinów oraz historią Żydów polskich, aniżeli jakaś szczególna uwaga zwrócona ku Rosji. Sygnalizowany tu okcydentalizm, czy polonocentryzm zainteresowań młodej inteligencji nie wymagają szczególnego usprawiedliwienia, zwłaszcza wobec faktu, iż kultura polska poddawana bezustannym naciskom i deformacjom ze strony komunistycznej władzy, potrzebuje głębszego rozpoznania własnej tożsamości i mocnego cywilizacyjnego zakorzenienia w tradycji europejskiej.

W postawach polskiej inteligencji wobec Rosji i Rosjan trudno odnaleźć wiele stereotypów, uproszczeń, resentmentów

i zwykłej niewiedzy. Nie brakuje również poczucia wyższości — zarówno w wymiarze cywilizacyjnym (przewaga Zachodu) — jak i politycznym (niepokorne społeczeństwo polskie i przeciwstawiony mu uległy *homo sovieticus*). Jest wreszcie w swoistym zaniechaniu refleksji o Rosji wśród polskiej inteligencji coś z odpowiedzi na brak myślenia o Polsce i innych krajach satelickich w piśarstwie politycznym rosyjskiej opozycji. Jak bowiem stwierdza autor sygnowany inicjałami R.Ż. w dyskusji-przedmowie do podziemnego wydania publicystyki Zinowiewa: „w ich (Zinowiewa i Sołżenicyna) myśleniu o systemie sowieckim — jakkolwiek różnią się między sobą w sposób niekiedy zasadniczy — doświadczenie europejskich kdl-ów w ogóle nie istnieje. Ich interesuje Rosja i nie można z tego tytułu żywić do nich pretensji, są to przecież Rosjanie, pisarze rosyjscy. (...) Natomiast, to, że usiłując zrozumieć i przedstawić zasady funkcjonowania systemu socjalistycznego, stawiając w tym zakresie prognozy, w ogóle nie biorą pod uwagę takiego czynnika, jakim jest zniewolenie Europy środkowo-wschodniej (mimo całą ich dla tych krajów sympatię) jest moim zdaniem mankamentem rozumowania”. Rzec można, iż podobnym mankamentem w myśleniu polskiej inteligencji jest analizowanie „doświadczenia polskiego” bez uwzględnienia czynnika rosyjskiego.

Jest znaczącym zjawiskiem stała i wieloletnia obecność wątku rosyjskiego w polskim piśarstwie emigracyjnym. Wynika to w pewnej mierze z lepszego niż w kraju dostępu do źródeł i braku ograniczeń cenzuralnych. Jednak zasadnicze przyczyny obecności tematu rosyjskiego w naszej literaturze emigracyjnej tkwią w nieco odmiennym, obdarzonym dłuższą perspektywą spojrzeniu na dzień dzisiejszy Polski, jak i w tym, że gros emigracyjnych pisarzy doświadczyło osobistego kontaktu z Rosją sowiecką.

W tym przeglądzie środowisk opiniotwórczych nie sposób pominąć Kościoła katolickiego w Polsce. Sensacyjny — przez sam fakt swojego pojawienia się — wywiad Prymasa Glempa dla *Literaturnoj Gazety* jest nie tylko dziennikarską i polityczną rewelacją, ale również przypomnieniem, że w dziejach Kościoła kwestia rosyjska ma swoje znaczące miejsce od stuleci. W planie ogólnokościelnym jej obecność wiąże się z koncepcjami unijnymi i wizją zjednoczenia Kościołów chrześcijańskich, zaś w bliższej perspektywie, z nadziejami na zdobycie dla Kościoła katolickiego w Rosji większej swobody działania. Pamiętajmy też, że w Polsce od lat kościoły są miejscem gdzie upamiętnia się ofiary jakie poniósł nasz naród w wyniku ekspansji Związku Sowieckiego i gdzie poddaje się krytyce główne zasady komunistycznej ideologii. Kiedy dziś w kościołach w Polsce słuchamy wierszy Mandelsztama i Achmatowej, stanowi to znak, iż są one nie tylko schronieniem zbiorowej pamięci, ale również miejscem gdzie do-

konuje się w skali społecznej pewne przynajmniej uzupełnienie naszej wiedzy o Rosji. Podobne spostrzeżenie można odnieść do znacznej części katolickiej prasy. Nie można jednak zapomnieć, iż bywało w XIX stuleciu tak, że raczej watykańskiej dyplomacji nakazujące dobre stosunki ze schizmatyczną Rosją okazywały się silniejsze niż te, które uzasadniały jej krytykę i obronę przesładowanych Polaków. Trzeba też pamiętać o swoistym zaślepieniu z jakim na oczywiste zbrodnie sowieckie spoglądają niektórzy „postępowi katolicy”, którzy choć ostatnio raczej przez Rzym krytykowani, są we współczesnym Kościele siłą znaczącą i popularną.

Spytać wreszcie należy o widzenie Rosji w kręgach opozycji w Polsce. Najważniejszym, wymiernym i — jak sędzę — najistotniejszym z uwagi na zmiany świadomości zbiorowej, przejawem zainteresowania tematem rosyjskim jest działalność podziemnych oficyn wydawniczych, dzięki którym dostępne są w kraju pisma Sołżenicyna, Zinowiewa, Bukowskiego, szereg innych dzieł literackich i opracowań historycznych. Trudno oczywiście powiedzieć dziś, jak i na ile dostępność tej literatury zmienia potoczne widzenie Rosji. Nikt jednak nie będzie wątpli, że w pewnym przynajmniej wymiarze przebudowuje ona naszą świadomość.

W prezentowanych w łonie opozycji programach politycznych wyróżnić można trzy zasadnicze stanowiska wobec Rosji. Pierwsze, związane z programami niepodległościowymi, w znacznej mierze odwołuje się do tradycji jagiellońskiej i koncepcji federacyjnych Piłsudskiego oraz kładzie nacisk na dezintegracyjną rolę kwestii narodowej dla sowieckiego imperium. Szczegółowe rozważania dotyczą raczej stosunków z bezpośrednimi sąsiadami ze Wschodu (Litwinami, Białorusinami, Ukraińcami) a nie z Rosjanami.

Program, który określić by można mianem ugodowego, a za którego typowych wyznawców uznać trzeba Stefana Kisielewskiego, kręgi liberałów i Ruch Młodej Polski, głosi konieczność osiągnięcia jakiejś formy *consensusu* między społeczeństwem Polski a władcami Kremla. Jak pisał swego czasu A. Hall: „obok oficjalnej polityki PRL formułowanej przez komunistów, mogącej stanowić jedynie kolejne odmiany narodowej kapitulacji wobec ZSSR — społeczeństwo musi samo wypracować i przyjąć określone, własną postawę i politykę w stosunku do Rosji”. Ta zaś ze względów gospodarczych, strategicznych i międzynarodowych, w imię politycznego pragmatyzmu powinna wybrać *modus vivendi* z polskim społeczeństwem zamiast rządów polskich komunistów, co zdaniem twórców tej koncepcji powinno zapewnić Rosjanom spokój nad Wisłą i trwałość sojuszu wojskowego, zaś Polakom dać prawo do suwerennego regulowania życia zbiorowego we własnym kraju.

Trzecia postawa — nazwijmy ją pragmatyczną — zakłada możliwość uzyskania wymiernych korzyści dla społeczeństwa polskiego ze zmian dokonujących się w Rosji. Przykładem może tu być komentarz W.T. — publicysty *Tygodnika Mazowsze* (nr 193): „Doświadczenie uczy, że ciepłe powiewy ze Wschodu mogą do nas dochodzić znacznie później niż zimne — przykładem lata 1953-1954. Na dłuższą metę jednak ewolucja, o ile pójdzie naprzód, musi być z korzyścią dla całego bloku. Póki co Gorbaczow zdaje się kochać Jaruzelskiego, ponieważ — jak w XIX-wiecznym komunikacie — porządek panuje w Warszawie. W przyszłości może się jednak okazać, że to za mało i że zaklinowana w kryzysie, niewydajna ekonomicznie Polska będzie (...) popędzana przez Wielkiego Brata ku większemu otwarciu. (...)”

Zatem robiąc swoje i licząc głównie na siebie mamy prawo z ostrożną satysfakcją łowić cieplesze wiatery wschodnie. Bez euforii, pragmatycznie powiedzmy sobie: nie zaszkodzą, a pomóc mogą, skorośmy wpisani w układ i nie wszystko zależy od nas samych”.

Polityka informacyjna władz PRL wskazuje wyraźnie na to, że obawiają się one szerszego rezonansu społecznego wydarzeń za wschodnią granicą. Rzecz oczywista, iż o posunięciach Gorbaczowa oficjalne media piszą z należnym dla genseka uznaniem i rewerencją. Znaczące jednak, że rozdęciu wiadomości o komentarzy o posunięciach rosyjskich na forum międzynarodowym towarzyszy dyskretna i ostrożność w doniesieniach dotyczących spraw wewnętrznych Sowietów. Dochodzi wręcz do cenzurowania komunikatów agencji TASS czy przemówień Gorbaczowa. Brak też jakichkolwiek oznak tego, by władze chciały zezwolić na przełamanie rozmaitych tabu, jakie od początku PRL obowiązują w pisaniu o historii stosunków polsko-rosyjskich.

Obecna odwilż w Rosji Sowieckiej nasuwa pewne oczywiste analogie z epoką rządów Chruszczowa. Porównuje się posunięcia wewnętrzne i ich oddziaływanie na stabilność bloku i stosunki wewnętrzne w poszczególnych krajach paktu warszawskiego. Zasadnicza odmiennosc polega na ostentacyjnej i programowej wręcz „jawności” odwilżowych posunięć Gorbaczowa. Okoliczności uwolnienia Andrieja Sacharowa są najlepszą ilustracją owego „efekciarstwa”. Czytelny jest adresat tego typu propagandy — są nim kraje Zachodu. Odbite echa tej propagandy docierają jednak do wszystkich państw bloku sowieckiego i do samej Rosji. Na użytek wewnętrzny prowadzona jest odrębna kampania propagandowa, która w wyraźny sposób zmienia oblicze, z jakim do ludzi sowieckich zwracają się oficjalne *mass media*. Pytanie o społeczny odbiór polityki Gorbaczowa w Rosji musi tu pozostać bez odpowiedzi, choć to właśnie ona może być kluczem do przyszłości Rosji i jej imperialnej domeny. Mimo pesymistycz-

nych diagnoz Zinowiewa, wypadnie raczej zgodzić się z sądem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, że „w ustroju totalitarnym i policyjnym nie da się ustalić prawdziwego stanu społeczeństwa, tym mniej stopnia jego *homogeniczności*. Pod pokrywą obrzędowego języka obowiązującej *ideologii* kryje się milczenie, czasem tak głębokie, że człowiek nie odważa się na formułowanie dokładniej w myślach dla samego siebie tego co czuje. (...) Trwa nadal rozdział między sowieckim *ideokratycznym surrealizmem* (jak go definiuje Besançon) i sowiecką rzeczywistością. Choć trudno dotrzeć do jej najszybszych zakamarków, a i niełatwo ocenić należycie pośrednie formy jej wyrazu, nie wyzbyła się pewnej autonomii, nie dała się ujarzmić raz na zawsze i bez reszty przez *ideologiczną fikcję*”. W chwili gdy społeczeństwo upomni się o uznanie równouprawnienia czy wręcz supremacji rzeczywistości nad ideologią, proces odgórnie kontrolowanej odwilży może nabrać niespotykanej, prawdziwie rewolucyjnej dynamiki. Jakkolwiek będzie, każda luka w szczelnej pokrywie oficjalnej ideologii, w której rzeczywistość społeczna będzie mogła ujawnić swą naturę, stworzy pewną realną przestrzeń swobody. Doświadczenia poszczególnych państw bloku są tu w równej mierze instruktywne dla społeczeństwa Rosji Sowieckiej jak i dla jej władców.

Nasze polskie jutro zależy w znacznej mierze od tego jak potoczą się wypadki w Rosji. Natomiast czy polskie społeczeństwo będzie przygotowane na rozmaite wydarzenia za Bugiem oraz ich oddźwięki w całym bloku jest już naszą własną sprawą.

Michał OSTROWSKI

Warszawa, marzec 1987

Miesiące (fragmenty)

Kwiecień, maj 1986

W życiu kulturalnym, czy intelektualnym, w kraju i na emigracji, obok rzeczy wybitnych dużo animozji i rozjątrzeń, zwłaszcza w rozrachunkach za przeszłość, również tę najnowszą 1980-1981. Przysłano mi wycinki z prasy. Prosperuje wielu Sandauerów à rebours, tak samo zaślepionych sobą i zadowolonych z siebie (często powtarzam, że łatwiej ukryć rozpacz niż zadowolenie z siebie), a także fanatycznych konwertytów, wzywających do pokory wobec narodu. Przy czym odżywa stara endecka obłuda z jej meskinerią i maniactwami. W literaturze toczy się walka o miejsca na teraz i wstecz. Z rachunku politycznego wynikają pochopne przewartościowania. Dla wielu publicystów jest rzeczą niewątpliwą, że znakomitym pisarzem był Tyrmand, natomiast Gałczyński reprezentantem lekkiej i służebnej muzy; w wolnym miejscu po skreślonej Nałkowskiej umieszcza się Hannę Malewską. Kiedyś trzeba to będzie odrabiać. W tym wszystkim jest nieraz odczuwalna pośledniość, jaką wnoszą ze sobą ludzie nieutalentowani albo średnio utalentowani, dla których nie ma złych czasów. Masa pseudonimów — artykuły tracą osobowość i zlewają się w zbiorowy, anonimowy tekst. W sumie wrażenie, że są tam rozpaczliwe wiry, że ludzie i słowa kłębią się w nieszczęściu.

Uderzające, że w pismach i książkach wydawanych zarówno w Polsce, jak i na emigracji, odbija się podwójna dusza, dwa typy ludzkie — ukształtowany przez jezuitów i drugi przez Oświecenie. Przetrwały wieki i dalej są szczipione ze sobą, skazane na siebie. Różne kształty polskości jeszcze nie przystąpiły do generalnej bitwy, bo konflikty temperamentów i światopoglądów wy-

hamowuje sprawa narodowa, a miarodajnym wyznacznikiem postaw częściej jest stosunek do rządu niż do świata. W rezultacie — nawrót zacieklego polonocentryzmu. Myślę, że w ośrodku mózgowym reżimu wszystko to jest analizowane. Pole do manipulacji rozległe. Za pomocą szczucia w kraju jednych na drugich, przy jednoczesnym wydawaniu jednym i drugim paszportów na Zachód, można osiągnąć pożądany stan rzeczy, o którym francuscy dziennikarze piszą: *normalisation en Pologne...*

Wróciłem do pamiętników Dumasa, żeby się mniej denerwować.

Co do moich spraw literackich: nie ograniczają się do tego, że wydawnictwa niezależne w kraju zignorowały *Miesiące*. Mógłby to być powód do refleksji i wspomnień sprzed lat, choćby o dniu jubileuszu NOWEJ w mieszkaniu na Żoliborzu, gdy fetowano wyjście jej setnej pozycji literackiej, którą był tom *Miesiące* 1978-1979 (pierwszą była *Nierzeczywistość*). To jest sfera ducha. Lecz istnieje także materia. Na szczęście w ciągu paru lat od wyjazdu z Warszawy zawarłem z wydawcami zagranicznymi kilka namiętnie umów na moje ostatnie książki.

Były niegdyś w mieszkaniach kule z lanego szkła, w nich małe kolorowe widoczki, miasteczka otulone śniegiem, kościół, ratusz. Tak wyobrażałem sobie Monachium. W moim monachijskim widoczku mieściły się jeszcze piwiarnie z jelenimi rogami na ścianach, mężczyźni o bawolich karkach trącający się kuflami ociekającymi pianą oraz dom Tomasza Manna nad Izarą. W Monachium przez cztery dni padał śnieg. Mieszkaliśmy w małym *hotel-pension*. Miasto w 1944 było zbombardowane przez Amerykanów, naloty zniszczyły 56% zabudowy. Po rekonstrukcji jest wypełnione życiem, rojne. W dzielnicach wielkich magazynów przewalał się tłum jak na Manhattanie, w kafeterii *Monopteros* podawały nam uśmiechnięte dziewczyny podobne do Amerykanek. Po wieczorze w Akademii (trio z Dedecusem i Zagajewskim) otoczyli nas przemili ludzie, atmosfera swobodna, ciepła. Tu już się czuje Południe, mówiłem, to nie są Prusy. Wspominałem przykre momenty w Berlinie, gdy każde wahanie za kierownicą powodowało rozwścieczony wrzask z sąsiednich samochodów. To jest miasto uniwersyteckie — tłumaczylem — miasto z artystycznymi tradycjami. Niektóre dzielnice ewokowały mi Gdańsk skrzyżowany z Triestem, w innych architektura miała horyzontalne rytmy pałacu Pittich albo jakiś włosko-austriacki melanż, z ukrytym w środku — domyślałem się — bawarskim indywidualizmem, a może i szaleństwem, łagodnym szaleństwem zasztyletowanej cesarzowej. Tutaj tłum nie ma pruskiej, dydaktycznej furii — twierdziłem, kiedy zjeżdżaliśmy ruchomymi scho-

dami z czwartego piętra KAUFHOFU — i nawet te ich kapełuski są zaprzeczeniem pikielhauby. Na drugim piętrze, gdy przystanęliśmy chwilę przed eskalatorem, rozległ się za mną ryk: — Nie zastawiać przejścia! — Młody bawół o niskim czole i rozdętych nozdrzach patrzył na nas przekrwionymi oczami. Uśmiechnąłem się do niego, był to smętny uśmiech człowieka, któremu przypominała się młodość. — Pewnie przyjechał z Berlina — pocieszyła mnie M.

Dzisiaj, w roku 1986, człowieka, który obawia się i Niemców i Rosjan, uważa się na Zachodzie za polskiego nacjonalistę. Najczęściej wyrażają tę opinię zachodni umysłowcy. Właściciele sadów w dorzeczu Loary rozumieją, że można się bać zarówno gradobicia jak suszy.

Pół dnia w Pinakotece, w natarciu arcydzieł, spiętrzonych jedno nad drugim, atakujących się nawzajem, a zarazem jakoś obojętnych wobec siebie. Wzrok Karola V z portretu Tycjana spoczywa w zamyśleniu na różowych pośladkach kobiet Rubensa, wypiętych w stronę *Pokłonu Trzech Króli* Grünewalda. Idąc przez sale uświadamiam sobie własną przemienność widzenia. Malarzy, przy których zatrzymywałem się dziesięć lat temu, dzisiaj mijam — zatrzymuję się przy tych, których wtenczas mijałem. Niedgdyś w Luvrze nie mogłem odejść od Tintoretta, teraz w Pinakotece stoję jak wryty przed Dürerem. Nagle przychodzi dzień odkrycia i równoczesnej zdrady, porzuca się jednego mistrza dla drugiego. I to nie jest tylko moja sprawa, zmienna pulsacja gustów trwa zbiorowo, wszyscy razem tworzymy raje, piekła i czyście dla wielkich artystów i wkrótce razem zepchniemy w czeluść Picassa, a wyciągniemy... kogo?

Za to, że upodobania i gusty nie są odporne na działanie czasu — za to nie ponosimy winy. Nie ponosimy winy, ale musimy o tym wiedzieć. Musimy o tym wiedzieć, by umieć się obchodzić z działaniem czasu. Dotyczy to nie tylko obrazów. Umiejętnym postępowaniem można przeciwdziałać korozji niszczącej miłość lub podziw. Konieczna jest wtedy zdolność przeczekania. Trzeba postawić na rehabilitującą funkcję czasu, na długotrwałość. Fascynacje są wysoko oprocentowane, ale ryzykowne. Pewniejsze jest przywiązanie, aczkolwiek daje niższy procent wzruszeń. Prawdopodobnie cierpliwość przywiązań tworzy kulturę, i to co lubię w kulturze francuskiej polega właśnie na długotrwałości. Nie lubię u Francuzów ich łaknienia mody, lubię ich przywiązanie do starych aktorów. Kiedy w telewizji pokazują wspartego o laskę Charles Vanela, który debiutował na scenie przed pierwszą wojną światową, myślę: tak, to jest Francja. Nie był wielkim aktorem, ale ponieważ grał przez trzy czwarte wieku, stał się dla Francuzów wielkim aktorem. Czas tworzy wartość dodatkową, musi być tylko odpowiednio długi.

Powrót z Monachium 13 kwietnia. W samolocie dowiaduję się z gazet o zapowiedzianej uroczystości w rzymskiej synagodze, z udziałem papieża Jana Pawła II i wielkiego rabina Rzymu, Elio Toaffa. Dzienniki omawiają to wydarzenie w ogromnych komentarzach na parę kolumn. W *Libération* czytam, że Sobór Laterański (1215) wprowadził żółte odznaki dla Żydów, aby związków miłosnych między chrześcijanami a Żydówkami, i *vice versa*, nie można było tłumaczyć nieświadomością partnerów. Stu pięćdziesięciu biskupów w uchwale Soboru określiło te związki jako potworność. Po siedmiuset dziewiętnastu latach na wieczorku gimnazjalnym 14 kwietnia oświadczyłem się M.

W siedem lat później staliśmy oboje za plecami młodego człowieka w rannych pantoflach, grającego na pianinie. Pokój był pełen słońca. — Nie więcej niż 50 złotych — rzekł doktor Staś wykonując pasaż. Wzniesiono już mury getta, Żydów i ludzi uznanych przez prawa niemieckie za Żydów obowiązywało noszenie odznak z niebieską gwiazdą. M. znalazła dla mnie pokój sublokatorski na Narbutta u swojej koleżanki szkolnej, której mężem był doktor Staś. Wytwórnia fałszywych dokumentów, broń, waluta, nielegalne warsztaty tkackie, osoby pochodzenia żydowskiego, brydżyści z Kedywu, zatrzymany licznik elektryczny, skład podziemnej prasy, zebrania Badaczy Pisma... Obliczyłem kiedyś: jedenaście egzekucji. W tym mieszkaniu spędziłem moje najlepsze lata wojny.

Pokój miał sześć metrów kwadratowych, było w nim żelazne łóżko z siennikiem, piec, stół, krzesło i szafa. Dla oszczędności nie opalałem go w zimie. Nie jadłem też pierwszego śniadania. Kładłem się późno, spałem dziesięć godzin do południa i po umyciu się w lodowatej wodzie szedłem piechotą na obiad do baru „Wilga” (róg Marszałkowskiej i Wilczej po stronie parzystej) albo do klubu literatów na Foksal. Wieczorem namiastka herbaty i chleb posmarowany kartkową marmoladą. Po miesiącu ważyłem 50 kilogramów. M. rzadko mi się przyglądała, jej stosunek do mnie przejawiał się pogodnym roztargnieniem, tym razem jednak coś ją uderzyło w moim wyglądzie. Zacząłem jadać obiady u jej rodziców w Alejach Jerozolimskich. Na śniadanie chodziłem do cukierni Leżańskiego (Marszałkowska koło rogu Hożej). Pisząc zdanie: „Charakter jest przeznaczeniem” — Pascal stwierdził najistotniejszą rzecz o ludzkim życiu i nie miał całkowitej racji. W tych latach przeznaczeniem człowieka mogła być jego twarz, kolor włosów, oczy. Czułem się pewnie na ulicy, bo mój wygląd był dosyć bezpieczny, nie wyróżniał mnie wśród przechodniów. Po występie w Monachium autor sprawozdania w *Süddeutsche Zeitung* opisując moją powierzchowność zauważył, że można by mnie wziąć za Anglosasa czy Duńczyka. W czasie okupacji wygląd zewnętrzny bywał przeznaczeniem niezależnie od

charakteru, często jasne oczy i przylegające uszy były uśmiechem losu i dawały większą pewność w postępowaniu niż siła woli. Codziennie zdarzały się wypadki, gdy człowieka gubił jego nos. W kawiarni „U aktorek”, i później na Mazowieckiej w „Arii” i „Fregacie” komu przyszłoby do głowy, że starannie ubrany młody człowiek, siedzący przy stoliku z dziewczyną o jasnych włosach upiętych w węzeł, może być zgodnie z prawem zastrzelony przez każdego Niemca. Mnie także nie przychodziło to do głowy. Miałem spokój w oczach i w ruchach, co nie było bez znaczenia. Mój bliski znajomy wyodrębniał się na ulicy „złym wyglądem”. Był potomkiem starej wielkopolskiej szlachty, lecz brano go za Żyda. Wiedział o tym i dawało mu to ową lękliwość zachowania, przyciągającą niebezpieczeństwo. Raz wrócił do domu w towarzystwie dwóch policjantów. Bał się, że patrol SS aresztuje go na ulicy i stale nosił w portfelu fotografię swego dziadka w mundurze pułkownika gwardii saskiej przed pierwszą wojną światową. Nie miałem takich kłopotów.

Ryzykowałem jednak. Pewnego dnia w tramwaju natknąłem się na kolegę ze studiów. Wymieniliśmy telefony i adresy. Po dziesięciu latach, pijąc przy barze w „Kameralnej”, zwierzył mi się, że był wtedy na równi pochyłej. — Miałeś popielaty garnitur i granatowy krawat w białe paski. A ja obszarpane spodnie. Wpadło mi na myśl, że można by z ciebie wyciągnąć sporo gotówki, ale w tej samej chwili podałeś mi swój telefon i adres. Więc rozumiesz... nie mogłem.

W czteropokojowym mieszkaniu, prócz doktora Stasia, jego matki (Badaczki Pisma i urzędniczki sądowej), jego niebieskookiej, łagodnej żony oraz jej brata, licealisty, zajmował izdebkę przy kuchni osiemdziesięcioletni dziadek o zaćmionym umyśle, którego goliłem raz na tydzień. Nie rozumiał, kim jestem i przypuszczam, że nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest wojna. Niedługo musiał także należeć do jakiejś sekty religijnej, bo kiedy goliłem brzytwą jego twardą białą szczecinę, spozierał na mnie mamląc, że niebawem wyjdziemy ze stu tysięcy lat królowania Bestii i światło zapanuje nad ziemią. Mówił do mnie „braciszku”. Kto wie, na ile jego umysł był zaćmiony. Raz wszedł późnym wieczorem do mojego pokoju i zawołał, iż obywatelkiem chrześcijanina jest szanować wielki naród Hebrajczyków.

Doktor Staś rano grał na pianinie, około południa wychodził z teczką do miasta. Był medykiem o nieukończonych studiach. Miał w sobie wiele naturalnej dobroci, cechowała go uczynność dla ludzi w połączeniu z nieustraszoną lekkomyślnością. Był całkowicie wyzwolony z przesądów. Powiedziałbym, że był wyzwolony z przesądów i zasad. Umożliwiało mu to śmiałe wyczyny w dziedzinie erotycznej, później jednak obróciło się przeciw niemu. Obok erotyki polityka jest drugą dziedziną, w której zaciera

się granica między brakiem przesądów i brakiem zasad. Co nie oznacza, że doktor Staś był „zwierzęciem politycznym”. Na karty przychodzili nie tylko oficerowie AK, lecz także AL-u, nieraz w jednym pokoju rozgrywało się ostrą partię pokera, a w sąsiednim Badacze Pisma śpiewali swoje modlitwy. Doktor Staś należał do ludzi, którzy przyjmują z serdecznym i niefrasobliwym uśmiechem różne propozycje. Z takim uśmiechem przyjął mnie do swego mieszkania. Byłem jednym z kilku czy kilkunastu grożących mu wyroków śmierci.

Matka mieszkała w tym czasie za murami czekając na zwolnienie ojca. Po jego śmierci w grudniu 1940 była tam jeszcze przez kilka miesięcy. Później przygotowaliśmy jej przejście, w umówionym dniu miała ją przewieźć furgonetka zakładów miejskich. W przeddzień, kiedy byłem na obiedzie u Zenowiczów, rozległ się dzwonek u drzwi. Weszła uśmiechnięta, z małą walizką w rękę. Nie chciała dłużej czekać, przeszła przez bramę w Murze, z czarnym welonem zarzuconym na ramię, nie zwracając uwagi żandarmów (pisałem już o tym). O ojcu zaczęliśmy rozmawiać dopiero po jakimś czasie. Powiedziała mi, że kiedy przysłała na Pawiak odebrać jego rzeczy, urzędnik więzienny położył przed nią zmięte ubranie i jedwabną koszulę, mówiąc: — *Sic transit gloria mundi...*

Czwartek 17 kwietnia: przyjazd Haliny. *27 kwietnia, piątek,* jej występ w sali na Saint-Dominique przy kościele Gros Caillou, recytowała znakomicie *Tryptyk Maryjny*.

28 kwietnia — spotkanie w kilka osób u René Taverniera we francuskim PEN Klubie z matką Czesława Bieleckiego, który od kilku miesięcy nie przerywa głodówki w więzieniu śledczym w Warszawie. Jest architektem i pisarzem. Cytowałem w *Miesiącach* zdanie z jego artykułu wydrukowanego pod pseudonimem Maciej Poleski po 13 grudnia 1981. Zdanie pamiętne: „Państwo napadło na społeczeństwo i wzięło mu zakładników”. Sądziłem wtedy, że autorem tekstu jest Andrzej Kijowski.

29 kwietnia - 10 maja — pobyt w Le Rondon.

11 maja w niedzielę po południu autobusem na rue Taitbout, tam przez bramę pod numerem 80 przejście na dziedziniec, a raczej skwer, z osobną numeracją i fontanną pośrodku, Square d'Orléans. Trawniki i cisza. Pod numerem 5 pierwsze piętro zajmowała George Sand. Zapamiętałem trzy kamienne schodki do parterowego mieszkania, w którym Chopin przeżył siedem lat.

Sobota, 17 maja, przykra rozmowa u nas o emigracji i kraju.

Wiosną 1943 nie chodziliśmy już do kawiarni. Z przyjaciółmi i znajomymi spotykaliśmy się w domach. W kwietniu, gdy wybuchło powstanie w getcie, codziennie patrzyłem z bramy na Bonifraterskiej, jak Niemcy, leżąc lub przykleknięci na jezdni, ostrzeliwali z ciężkich karabinów maszynowych kamienicę odległą o kilkadziesiąt metrów. Z okna na najwyższym piętrze zwieszał się biało-czerwony sztandar, przez dym widać było twarze broniących się Żydów. Po południu szedłem do M. na Słoneczną. W getcie płonęły domy, zza murów ciepły powiew napędzał płatki spalenizny. Kawiarnie w śródmieściu były jak zawsze pełne ludzi. W półtora roku później, w sierpniu i wrześniu 1944, kiedy płonąła Warszawa, tak samo pełne były kawiarnie w Krakowie. Widocznie tak musi być, skoro nie dzieje się inaczej. Kroniki okupacji i wojny nie odnotowały wypadków, by do powstania w getcie warszawskim przyłączyli się nie-Żydzi, czy Żydzi ukrywający się po nie-żydowskiej stronie. Można by to długo wyjaśniać: walczyła nieliczna garstka, opór był zbyt beznadziejny, polskie podziemie zbrojne nieprzygotowane do akcji, nie rzucono odpowiednich rozkazów i hasła. Dlatego nikt się nie przyłączył. Nikt nie mógł albo nie chciał pomóc. Później w 1944 nie można było pomóc oblężonej Warszawie ani z Londynu ani z Krakowa. Moskwa nie udzieliła pomocy. Jedni nie mogli, inni nie chcieli. Zginęło 200 tysięcy ludzi. Przedtem z getta wywieziono do komór 400 tysięcy. Żyliśmy w czasach, gdy trudno było czuć się niewinnym będąc żywym, ale oboje chcieliśmy przeżyć i wiedzieliśmy, że nie ma w tym winy.

Doktora Stasia widziałem dłużej ostatni raz w podłych dniach marca 1968. W prasie i telewizji rozwrzeszczała się już wtedy heca antyżydowska. Poprzedniego wieczoru robotnice dawnej fabryki czekolady Wedla krzyczały z ekranu: „Moški do Dajana!”; prezenterzy telewizyjni mieli czelne oczy. Nazajutrz rano byłem w domu sam i próbowałem coś robić siedząc w fotelu pod oknem, owinięty pledem, z blokiem na kolanie. Odezwwał się dzwonek do drzwi, krótki, niepewny. Zrzuciłem pled i wstałem. Dzwonek się nie powtórzył, ktoś chyba się omylił, podeszedłem jednak do drzwi nad słuchując. I nagle usłyszałem swoje imię, wymówione półgłosem, pytająco. Otworzyłem. Za drzwiami stał doktor Staś z teczką.

W pierwszych latach po wojnie spotykaliśmy się dosyć rzadko. Doktor Staś z żoną i matką mieszkali w Warszawie, my — najpierw w Krakowie, potem w Łodzi. Kiedy przeprowadziliśmy się do Warszawy, czasami widywaliśmy się jeszcze. Łączyły nas dawne serdeczne stosunki i w rozmowach ze wspólnymi znajomymi chętnie opowiadałem o dobrych latach spędzonych na Narbutta w czasie wojny. Mówiłem, że doktor Staś był dla mnie

nie tylko wybawcą, ale właściwie kimś z rodziny, do kogo jest się przywiązaniem na całe życie, jakiegokolwiek byłyby jego słabości czy wady. To były moje najlepsze lata wojny, twierdziłem, najlepsze, mimo że groźne, i właśnie jemu — im trojgu — je zawdzięczam. Mówiłem, że moja wdzięczność dla doktora Stasia jest niezmienna. Dlaczego tak podkreślałem tę niezmienną? Bo od któregoś roku — nie pamiętam dokładnie od kiedy — o doktorze Stasiu w moim środowisku zaczęto mówić źle. Źle — co nie znaczyło, że najgorzej. Ostrzegano mnie jednak. Nie, nie strasznego, ale... podobno.. słowem, lepiej uważać. Doktor Staś po wojnie nie wrócił do swej kariery lekarskiej. Pisał teksty piosenek, został członkiem ZAIKS-u, pisywał także felietony do gazet, a później — i tu znów nie pamiętam dat — wybrano go do egzekutywy partyjnej. W tym czasie mnie nie było już w partii. Z natury rzeczy nasze stosunki musiały się nieco rozluźnić, jakkolwiek — trzeba tu powtórzyć — o doktorze Stasiu nie mówiono wyraźnie, że się sprzedał. Przebąkiwano tylko: ma „haka” z czasów okupacji... złapany. Podobno.

Stał więc przede mną, niewielki, na płaskich stopach, z jednym ramieniem opadającym jakoś krzywo i niżej, stał i uśmiechał się. Wyczułem, że czeka na mój zapraszający gest. Otworzyłem drzwi szerzej, powiedziałem: — Stasiu, wejdz, rozbierz się. — Miał na sobie zimową kurtkę z futerkiem i kapelusik, trochę za mały, jakby na czubku głowy. Kiedy usiadł w fotelu, spostrzegłem w jego wzroku znacząco czułą poufność. Patrzył mi w oczy z dziwnym wyrazem: porozumienia... żalu... prośby? Zaczęliśmy rozmawiać o byle czym. Zauważyłem, że ma rozwiązane sznurowadło i źle obciążone skarpetki. Poczestowałem go papierosem, napełniłem dwa kieliszki. Lecz zanim podniosł swój do ust, doktor Staś szepnął: — No, popatrz, popatrz... — Teraz uśmiechnęliśmy się obydwaj równocześnie. Było już dla mnie jasne, po co przyszedł. Nie uprzedzając, bez telefonu, zjawił się, aby mnie upewnić, że od jego strony nic się nie zmieniło i na jego przyjaźń zawsze mogę liczyć. W owym „no, popatrz, popatrz...” zawarta była nasza dawna bliskość, jeszcze chwila, a byłby powiedział: słuchaj, ja jestem taki sam jak wtedy, ja tego nie chciałem... Patrzyliśmy na siebie z kieliszkami w ręku — przypominał mi się placyk na Narbutta i doktor Staś idący z przystanku od Rakowieckiej, miło zawiany, z teczką, i wieczory kiedy grał na harmonii *Pęki białych róż*, pół leżąc na tapczanie, i moja matka, która lubiła jego wdzięk, z jakim ogrywał ją w pokera na zapałki. — No popatrz, nie do wiary... takie świństwo. — Kręciliśmy głowami, wrzuszaliśmy ramionami i uśmiechaliśmy się do siebie. Wiedziałem, że w nim także odżyły tamte dobre lata. Przyszedł właśnie po to, żeby mi je przypomnieć, i — przysięgłbym — miał prawie na ustach zdanie, że póki u nich nadal jest wolny.

Posiedział u mnie z godzinkę, aż raptem się zerwał: — Boże, obiecałem Irce kupić pieczywo na wieczór! — Złapał teczkę, kurtkę, nasadził kapelusz i już go nie było. Później widzieliśmy się tylko kilka razy przelotnie: jak się masz — jak się masz.

Styczeń 1987

Chodniki i jezdnie czarne, obrzeżone brudnym śniegiem, dachy czarne. Samochody zbryzgane błotem trąbią w korkach na Rivoli. Ludzie różnie poubierani, w kozuszkach, letnich płaszczach, w jaskrawych pękatych kurtkach, jakby napompowanych powietrzem, prawie wszyscy noszą wełniane kolorowe szale, przrzucone luźno przez ramię. Miasto zmatowiało i zszarzało, niebo nad dachami mleczne ale zwarzone, bez wyrazu i światła, podciekłe wodą, wodę czuje się także w powietrzu. Ogółem nastąpiło upodobnienie do miast naszej Europy, środkowo-wschodniej. Zima zrobiła swoje, Paryż wydaje się trochę mniej paryski. Mrozy dochodziły nocami do 20 stopni, później zelzało, nadeszła odwilż z mokrym wiatrem. Spostponowanie Francuzów przez zimną i strajki zbliżyło ich do mojego polskiego samopoczucia. Chodzę w warszawskim kozuchu z szalem przez ramię i w damskim tweedowym kapeluszu. Jestem na dwieście piątej stronie maszynopisu ostatniego tomu *Miesiący*.

Obraz kraju rysuje mi się w oddzielnych fragmentach, zależnie od czyjejś relacji. Duży pokój w naszym mieszkaniu na François Miron stał się niby sceną, przez którą przesuwały się pojedyncze osoby lub pary. Wypowiadają swój tekst, po czym znikają, wyjeżdżają i na scenie pojawia się kto inny, by wygłosić kolejny monolog. Prawie jak w *Weselu*. Dziennikarz z Krakowa, Zosia M., poeta, ksiądz. W korowodzie niektóre postacie ukazują się ponownie. Cztery razy przyjechała F. i znikła, teraz znów są Konwiccy. Z opowiadań, z rozmów wyłania się zbiorowy tekst, który od czasu do czasu notuję prawie na żywo.

— wyjechać czy zostać to dzisiaj polskie być albo nie być, o tym myślą wszyscy, każdy. Marzeniem naszej córki jest Kanada. Żeby dostać szynkę na kartki, wstaję o 3-ej nad ranem, a o 5-tej, kiedy w ogonku zastępuje mnie mąż, ludzie nas przeklinają.

— dzisiaj Warszawa to Reykjavik, idziesz przez Kruczą i nagle z asfaltu wytryskuje ci gejzer. Spod ziemi, z rury pękniętej. Gejzery do pierwszego, do drugiego piętra. Trzydziestostopniowy mróz i para, w mieszkaniu woda zamarza, starzy ludzie ubrani leżą w łózkach.

— Józio musiał przerwać studia, dziecko zostawiliśmy w Kra-

kowie u dziadków. Ja jestem bebisiter u amerykańskich Żydów w 16-tej dzielnicy, a Józio pracuje na budowie. Mamy już obiecaną wizę do Australii.

— nie wiadomo kim jest naprawdę ten generał. Enigma. Podobno trzech najgorszych się pozbył. Krwi dużo nie przelał. Według mnie przyszedł czas na refleksję pozytywistyczną. Nasza siostrzenica we wrześniu będzie w Szampanii na winobranii, a ja tu przyjechałem z pielgrzymką do Lourdes. Autokarami przez zamki nad Loarą, grupa dwustuosobowa.

— z Polską czerwony nie da sobie rady.

— nawet przed aptekami stoją kolejki, bo lekarstw notorycznie brak. Totalna katastrofa cywilizacyjna.

— kuzynka w ciąży przyjechała do nas z Katowic na święta i zaczęło się pandemonium świąteczno-towarzyskie. Jak to zwykle w Polsce, jedzenia było za dużo. Ma rodzić w połowie kwietnia. Czwarte dziecko.

— Polska jest zmęczona fizycznie.

— kilkaset lat temu była Polska. Później przepadła i wymyśliła ją na nowo kilku poetów.

— podobno generał czuje osobistą sympatię dla prymasa i wzajemnie. Kościół moralnie zwyciężył, dzieci są dziś pobożniejsze od rodziców, zawsze było odwrotnie.

— nasze rodzone dziecko przychodzi do mnie i mówi: mamo, to ja jestem owoc nieślubnego związku? Ksiądz tak powiedział, nie da mi bierznowania. Mamo, weźcie ślub kościelny. I pewnie weźmiemy. Na Nowym Mieście, u księdza Niewęglowskiego.

— dużo rabunków, coraz więcej. Moja znajoma, starsza pani, profesor wyższej uczelni, rozebrali ją po ciemku na ulicy. Całą. Tak doszła do mieszkania. Mąż jej otworzył drzwi i dostał ataku serca z nerwowego śmiechu.

— wieczorami na ulicach pusto, w kawiarniach siedzą kurwy tureckie.

— jechałem pociągiem do Słupska...

— nic nie zrobili, cała ich zręczność to spryt inteligentnych policjantów. Manipulowanie opozycji, tylko to im się udaje. Ale w rezultacie rząd nic nie może zrobić i opozycja nic nie może zrobić. A naród nie wierzy ani w opozycję, ani w rząd.

— powołali tę Radę Konsultacyjną. Profesor Święcicki wstąpił, mecenas Siła-Nowicki wstąpił, a redaktor Turowicz odmówił. Trudno rozsądzić. Z „Solidarności” zostało tylko słowo. Piękne słowo.

— jechałem pociągiem do Słupska, aż raptem pod siedzeniem słyszę pisk. Mój sąsiad przykłąkł i zaglądnął. I co tam zobaczył? Mysie gniazdko. Pięć gołych myszek, jak orzeszki. W pociągach mysie gniazdko, kto o tym dawniej słyszał?

— kultura osiedlowa, czasem gazetka podziemna ma obieg

w jednym bloku, a w sąsiednim już o niej nie wiedzą. To przypomina trochę okupację, wtedy gazetki kursowały także w wąskich kręgach, ale raczej politycznych, zależnie od środowiska. W zasadzie prasę nielegalną rząd dziś toleruje, a może nawet kontroluje. W ogóle rząd trzyma opozycję dla celów eksportowych. I w końcu trzeba powiedzieć, że w Polsce nie ma już więźniów politycznych. A że konfiskuje się samochód, w którym milicja znajdzie tajny druk, taka wiadomość Europą nie wstrząśnie.

— młodzież szaleje za książkami Mackiewicza. Nie tego, co wrócił z Londynu, tylko Józefa od *Kontry*. A zaraz po nim Tyrmand.

— niedawno był u nas Adaś Michnik. W dobrej formie, tylko twarz mu się trochę zmieniła. I nic dziwnego, pięć lat w celi. To, że napisał jeszcze pięć książek, nie licząc listów, przekracza moje wyobrażenie. Powiedziałem mu to, a on się śmiał. Tyle mi ta jego wizyta przypomniała, Antoniego sprzed lat, i Jankę, i nie tylko to...

— są i tacy co przez ćwierć wieku byli posłuszni i nagle chcą przebiec na drugą stronę pod poprzeczką. Ci są najbardziej agresywni.

— Bujak był mitem, legendą, niewidzialnym Robinem Hoodem. Teraz słyszę, że założył warsztat prywatny i będzie produkował śrubki.

— wzrasta dystans nie tylko cywilizacyjny. Oddalamy się myślowo od spraw Zachodu, moi studenci wzruszają na nie ramionami, nie chcą o nich rozmawiać. *Apartheid*? — śmieją się. *AIDS*? — śmieją się. „Przedmurze” i „Chrystus Narodów” zmartwychwstały, tylko w innych formułach językowych.

— niedożywienie, młodzieży ubywa wzrostu. Znowu będziemy mali.

— z wodociągami ma być coraz gorzej, zamożniejsi wiercą już sobie w ogródkach studnie artezyjskie.

— trzeba by sięgnąć do ukrytych głęboko pokładów zbiorowej podświadomości, do tęsknot za jakąś płomienną *katharsis*. Za obmyciem się we własnej krwi. Nie przelać tej krwi, ale myśleć, pamiętać o walce. Inaczej zgnijemy w kompromisach.

— ja naprawdę zawsze byłam i jestem katoliczką. Ale dzisiaj w Polsce dławi mnie ta dewocyjna pobożność, nie mogę, nie mogę, to jest czasem jak terror psychiczny, no i ludzie, którzy się do tego włączają... stojące chrzty byłych członków KC i spowiedzi po światopoglądowym przełomie. Wielu księży wciąż jest nietolerancyjnych.

— wielu robotników zapisuje się do nowych związków.

— nowy minister kultury, ten autor książki o Herodzie, podobno kulturalny człowiek. Z Krakowa.

— kiedyś znowu nadejdzie czas oporu, ale to już będą robić inaczej, inni, nowy nabór. Może ci, co się teraz rodzą. Ruchy wolnościowe wszędzie i zawsze wybuchają w zrywach, w krótkich cyklach.

— zawsze się bałem, że istnieje jakiś tajny plan zniszczenia Polski. Wywalcować, spłaszycić tę ziemię, która im jest potrzebna, żeby mogły po niej przejechać ich czołgi. Co to znaczy, że piętnaście lat każą czekać na mieszkanie? To oznacza społeczne gnojenie młodych ludzi. Może w ten sposób chcą się ich pozbyć, niech zostaną tylko ci, którymi łatwo rządzić, To są moje nocne lęki.

— nie mogę w nocy zasnąć, bo nad słuchuję, czy rura nie pęka, ja się boję kaloryferów.

— kaloryfery, domiary, dolary... Co oni z nami zrobili?

— z papierem klozetowym nie ma teraz kłopotów. Raz na miesiąc, jak mi się zbierają dwie torby starych gazet, to w sklepie papierniczym na Freta wydają mi w zamian cztery rolki.

— byłam w Warszawie dwa tygodnie, po piętnastu latach. Widziałam ich wszystkich. Są wspaniali. Żadnego z nich dotychczas nie znałam, tylko z opowiadań i z gazet. Patrzałam na nich jak urzeczona, bo to są dla mnie przecież żywe mity, symbole, i słuchałam jak mówią, jak dyskustują. Zawsze o tym samym. Mają specjalną technikę szeptu. W pewnych momentach wypowiadają kilka słów czy zdań bardzo prędko i jakby sycząco. Nie rozumiałam, co to jest, dlaczego, potem mi wytłumaczyli, że takich dźwięków nie nie da się odczytać z taśmy. Przez dwa tygodnie byłam obserwowana, podobno bez przerwy, ale z początku nie zdawałam sobie sprawy, dopiero później oni co jakiś czas pokazywali: o, widzisz, ten... a tam drugi, przed furtką. I śmieli się. Było 20 stopni mrozu i śnieg. Y. mieszka na parterze. W ogródku wokół domku codziennie rano widzi świeże odciski butów i śmieje się. To dziwne: oni zwyciężyli. Ponieśli klęskę, ale zwyciężyli.

— dzisiaj Polska to jakby rozlatująca się podmiejska szopa, na pochyłości, w błocie, podmywana deszczem. Obsuwa się coraz niżej, deski gniją, lada chwila wszystko się zapadnie. A wewnątrz śpiewy, gwar, bełkot pijaczków i koncepcje, dyskusje... Nie o tym, co jest, tylko o tym, co było, czego nie ma. O ukrzyżowaniu, o Żydach i cudzie nad Wisłą, o roku 1863, o Marszałku, Jagiellonach i akowcach, o stalinizmie, o błędach „Solidarności”... Dach się wali, ściany trzeszczą, a oni śpiewają „Sto lat!” i przytupują w piosenkach o Lwowie i Wilnie. Nie widzą, jak bardzo to jest szalone, nierzeczywiste...

— siądźmy, panie Kazimierzu. A w kraju mgła, mgła. Rozdarcia, konflikty. Na szczęście młodzież nie ma broni. Ludzie zbierali się w mieszkaniach, żeby przełamać się opłatkiem, który

przywożłem z Watykanu. Ojciec Święty słuchał mnie przez godzinę i na pożegnanie wyściskał: „Niech ksiądz tu wraca, koniecznie!”. I szepnął do ucha: „nie za często”. W nieskończoności, w czasie, panie Kazimierzu, jedyna nadzieja. Ale jak wlać tę nadzieję w serca, a zarazem uchronić je od nienawiści...?

Oglądałem stare fotografie i odnalazłem wśród nich zdjęcie ojca z Marianem i ze mną przy stoliku na werandzie w Zakopanem. Pięćdziesiąt siedem lat temu. Ani jednej fotografii matki — żadna się nie ocalała, u nikogo z rodziny. Szczególnie muszę wyteżać pamięć, żeby ich sobie wyobrazić razem z ojcem i wtedy najczęściej przypomina mi się dzień, kiedy wracaliśmy z M. przez Śniadeckich w stronę Pola Mokotowskiego. To był na pewno wrzesień, niedziela, początek jesieni, wrzesień 1934, byliśmy już oboje przyjęci na pierwszy rok wyższych studiów. Wczesny wieczór czy późne popołudnie — odprowadzałem ją na Topolową do domu. Okrzyk tłumu dochodzący z pola wyścigów konnych, raptem urwany, świadczył że bomba poszła w górę, konie wystartowały do ostatniej gonitwy. Zanim doszliśmy do placu Politechniki, krzyk od nowa zaczął narastać, pewnie zbliżał się finisz. W chwilę później z białej, ażurowej bramy Wyścigów zaczęły wychodzić grupki ludzi, niektórzy biegli, przed wyjście zajeżdżały dorożki i auta. Prawie natychmiast chodniki były zaślane strzępami różowych programów i podartymi biletami. Miałem nadzieję, że nie dojdzie do spotkania, ale na wszelki wypadek przyspieszyłem kroku. — Nie chcę, żebyś się spóźniła do domu, bo... — I w połowie kłamliwego frazesu spostrzegłem ich oboje, jak wychodzili z białej bramy, rozmawiając z mężczyzną o żółtosiwych zakręconych wąsach i młodym człowiekiem prowadzącym pod ramię starszą panią w słomkowym cylinderku z kwiatkami. Żegnali się. Ojciec w jasnoszarym kapeluszu unosił dłoń do ronda, matka uśmiechała się mrużąc oczy; była w beżowym kostiumie i w bluzce z małym, wysokim kołnierzykiem spiętym broszką.

Nie znali jeszcze M. Czułem opór przed tym zetknięciem, bałem się krytyk ojca. Ale przecinali już plac w kierunku Lwowskiej, nie było czasu się cofnąć. Pan Jankowski, wąsaty emeryt, pobiegł w stronę tramwaju, a młody człowiek ze starszą panią skręcili w Polną. Spostrzegłem pytający wzrok M. i kiedy ojciec wyprzedzając matkę zbliżał się do nas z brwią wypchniętą przez monokl („Po co mu to szkiełko...” myślałem rozpaczliwie), kiedy nadchodził swoim sprężystym, sztucznie młodzieńczym krokiem i było już naprawdę za późno, zagrałem *va banque*. Zdjąłem kapelusze, wołając z uśmiechem: — Tworzycie ładną parę!

Kazimierz BRANDYS

Żydowski hrabia

Byłem wtedy w komitywie z Platerem. Hrabia, ale bardzo warszawski, swojski. Mieszkał w starej czynszowej kamienicy w sercu miasta. Znał doskonale życie bazarów i knajp. Namiętnie grywał na wyścigach konnych. Przegrywał i wygrywał z jednakową pogodą ducha. Nie posiadał żadnych kosztowności rodzinnych, bransolet, koliai czy złotych monet. Z dawnej świetności pozostał mu jedynie sygnet. Nosił go zawsze na przedostatnim palcu prawej dłoni. W latach stalinowskich był zamiataczem ulic i jego opowieści o tym zajęciu skrzyły się przewrotnym humorem, urodą życia i komizmem.

Kiedy się poznaliśmy czas swój dzielił na wyścigi i blacharkę samochodową. Pracował dorywczo w warsztacie u prywaciarza. Prywaciarz był snobem i hrabia wprowadzał go w arkana heraldyki, herbarzy i genealogii starych rodów.

Często wyglądało to mniej więcej tak: Zastłuchany szef w wyszmelcowanym kombinezonie, z uniesionymi na czoło okularami i palnikiem acetylenowym w rękach, a z ciemnego kąta szopy dochodził przyjemny głos hrabiego: Książęta Thun und Taxis spokrewnieni są z Radziwiłłami przez... I tak dalej. W dodatku lekko grasejował.

Tego dnia hrabia otrzymał tygodniówkę od swego pracodawcy i ruszyliśmy w obchód po knajpach. W barze „Metro” przywitał się serdecznie z brodatym śmieciarzem o wyglądzie patriarchy. Niegdyś gościł tego bezdomnego włóczęgę w swoim mieszkaniu. Gdzie indziej wdał się w dyskusję z człowiekiem w okularach. Był to wybitny muzykolog ze skłonnością do alkoholu. Obaj ze znanstwem rozprawiali o wirtuozerii pianistycznej Józefa Hoffmana. Dzwoniło szkło. Hrabia miał szeroki gest

i wszędzie gdzie wstępowaliśmy stawał hojnie znajomym i nieznanym. Potrzebującym udzielał pożyczek.

Podziwiałem jego bez troskę: ojciec czworga dzieci, piąte było w drodze. Hołdował zasadzie dni chudych i tłustych. Dziś był dzień tłusty. I zawędrowaliśmy jeszcze do nocnego lokalu, który w tamtych latach cieszył się największą estymą w mieście. Plater pobiegł od razu po schodkach do cocktail-baru. Tam zbierało się doborowe towarzystwo bywalców.

Natomiast ja zostałem zatrzymany przez znajomych oficerów zajmujących łożę na podwyższeniu w sąsiedztwie orkiestry. Było ich trzech. Wszyscy z pionu armijnej kultury i propagandy. Najstarszy był podpułkownikiem, dwaj jego koledzy w randze majorów. Podpułkownik wojsk lotniczych był wiceszefem wydawnictwa. Drugi piastował jakieś stanowisko w zarządzie politycznym armii. A trzeci prowadził dział odpowiedzi na listy czytelników w tygodniku żołnierskim.

Powitali mnie serdecznie. Istniała między nami więź sympatii i podpułkownik w stalowym mundurze nieraz już proponował mi wydanie książki w swoim wydawnictwie.

— Umowę masz u mnie na pniu! — wabił. — Od razu! — Obiecywał wyższą stawkę za arkusz.

— Mamy możliwości — powiadał i mrużył jedno oko, drugie było martwe, szklane. Na imię miał Apoloniusz. Major z zarządu politycznego koniecznie chciał zorganizować dla mnie cykl spotkań autorskich z żołnierzami w jednostkach i na poligonach.

— Dwadzieścia, trzydzieści wieczorków... ile chcesz!

Dotąd nie skorzystałem z tych życzliwych ofert, ale od towarzyskich spotkań z nimi nie stroniłem.

Miałem pewną słabość do oficerskiego munduru i grały tu niepoślednią rolę atawizmy z dzieciństwa. Mglista pamięć wujka ułana, albumy ze zdjęciami legionistów Piłsudskiego, opowieści o sławnych zagończykach, partyzanckiej wojnie z okupantem, o tych wszystkich „Kmicicach”, „Bohunach”, „Wirach”, „Młotach” i „Ponurych”.

Patrzyłem więc na trzech roślących, krzepkich mężczyzn z sympatią. Prezentowali się okazale, z baretkami odznaczeń na mundurowych kurtkach. Jednooki podpułkownik Apoloniusz wyglądał jak prawdziwy weteran rozmaitych bitew i szarż, choć nie był frontowcem, tylko po wojnie, jak powiadał, ścierał się z reakcyjnym podziemiem.

Ponadto pili gorzałkę jak wodę, tężyznę w tym względzie mieli imponującą. Podpułkownik Apoloniusz im więcej przemawiał, tym bardziej stawał się skąpy w słowach, ruchach, gestach. A ten z zarządu politycznego, najmłodszy, Grzegorz, śpiewał dźwięcznym głosem rosyjskie, sprośne piosenki, znał też

ukraińskie dumki, ale śpiewania dumek wystrzegął się w miejscach publicznych.

Zasiadłem w tej oficerskiej kompanii i uraczyli mnie gościnnie wódką. Oni nie lubili pić kieliszkami, używali angielek i opróżniali szkło jednym haustem do dna. Często żądali na zakąskę razowego chleba i po wypiciu wachali chleb z rozkoszą.

Emanowała z nich spokojna pewność, siła i energia. Rozmawiali jak zwykle o jakichś naradach, spotkaniach, jak zawsze powoływali się na generała Moczara.

— Mietek powiedział... — używali takiego zwrotu i miało to charakter ostatecznego argumentu.

Tej nocy przedmiotem rozmowy była niedawna uroczystość w pałacyku pod Warszawą, gdzie po części oficjalnej nastąpił piknik na łonie natury i piekli w ognisku baranie mięso, popijali wódką z blaszanych kwart i generał Moczara coś ważnego im powiedział. Musiało to być szczególnie dla nich ważne, gdyż sięgając po szklaneczki już drugi raz wznosili toast: — Żeby nie-
długo!

Wyglądali na bardzo zadowolonych i moje pytanie co takiego wkrótce ma nastąpić, zbyli pobłażliwymi uśmiechami, a jednooki podpułkownik Apoloniusz poklepał mnie po plecach.

— Pożyjesz, zobaczysz — rzekł krótko.

Wraz z orkiestrą występowała śpiewaczka i najmłodszy z nich Grzegorz podbiegł do podium, pocałował ją szarmancko w rękę i poszeptał chwilę. Zaraz ta śpiewaczka w sukni mieniącej się kolorowo niby rybia łuska, ujęła w dłoń mikrofon i zaśpiewała — „O mój rozmarynie, rozwijaj się...”.

— To dla nas — szepnął Grzegorz.

Wszyscy trzej słuchali tej żołnierskiej piosenki w nabożnym skupieniu. Wydało mi się nawet, że to żywe oko podpułkownika Apoloniusza załśniło łzawo. Występ śpiewaczki nagrodzili oklaskami. Biłem w dłonie wraz z nimi.

— Nadchodzą wielkie dni — rzekł major Parobczyk, który odpowiadał na listy w żołnierskim tygodniku; wpatrzył się w sufity ozdobiony migocącymi gwiazdkami.

— Czystki i porządki — dodał jednooki podpułkownik Apoloniusz i wałną szeroką jak łopata dłonią w blat stołu, aż zadzwoniły rozpaczliwym chórem butelki, szklanki, kieliszki i talerze.

Akurat na schodkach prowadzących do cocktail-baru pokazała się wysoka postać Platera. Zawołałem go. Niech pozna moich wojskowych kompanów. Zbliżył się powolnie. Wysoki i ciemnowłosy, ze swoją małą w szpic przystrzyżoną bródką, wyglądał jak hiszpański grand. Oficerowie przyglądali mu się z ciekawością. On im też. I — stanąwszy przed naszym stolikiem niedbale wyciągnął dłoń. Uczynił to takim charakterystycznym gestem, jakby

podsuwał im ją do całowania i jednocześnie wycedził — hrabia Plater jestem!

Oficerowie wyglądali na skonsternowanych. Wlepili oczy w jego dłoń. Niedbale i luźno podsunęta na wysokość ich ust. Z sygnetem na przedostatnim palcu. Mimo pracy fizycznej dłoń miał czyste, wypiełgnowane o długich, smukłych palcach. Wyzywające. Patrzyli jak zahipnotyzowani. Plater zaś czując swą przewagę, wyłącznie już był pochłonięty kreacją. Wydał lekko wargi i oczyma zdawał się mówić: „Na kolana, chamy!”

Pierwszy odsunął się jednooki podpułkownik Apoloniusz. Jego twarz spurpurowiała. Zerwał się z krzesła. Chłop był jak dąb, w złości niebezpieczny. Kiedyś jednym ciosem znokautował znanego autora pieśni patriotycznych, który obraził jego żonę. Wściekły był również major Parobczyk, publicysta z tygodnika żołnierskiego. Zbielały mu palce, którymi trzymał szyję butelki po wodzie mineralnej. Może z powodu nazwiska? Parobczyk i hrabia. Nasuwało się to skojarzenie. Spokój zachował major Grzegorz, ten z zarządu politycznego armii. Stanowczym ruchem ręki powstrzymał gotującego się do ataku podpułkownika Apoloniusza. Roześmiał się i podniósł kieliszek: — To ci błazen! Abyśmy! — Choć najmłodszy wiekiem, był niewątpliwym autorytetem w tym gronie. Rozładował napięcie. Uspokoił się trochę.

A ja czym prędzej odpędziłem Platę od naszego stolika. Oddalił się majestatycznie. Odprowadzili go ciężkimi spojrzyniami.

Próbowałem poprawić popsutą atmosferę.

— Polek! — zwróciłem się do podpułkownika Apoloniusza. — To oryginał. Zresztą autentyczny hrabia. Stary ród, tradycje. No wiesz, Emilia Plater, dziewica bohater...

Przerwał mi wściekle.

— Jaki tam hrabia! — warknął. — Gudłaj jakiś! Tak wygląda!

— Ależ Polek!

— Mało to razy arystokracja parzyła się z plutokracją. Mieszali się skurwiele! — Klął długo i szpetnie.

— Gudłaj — powtórzył major Parobczyk i to stwierdzenie jakby mu ulżyło.

Grzegorz, major z zarządu politycznego, uśmiechał się i kręcił młynka palcami. Jego uśmiech był grymasem graca; oczy pozostawały skupione.

Potem zaczęli rozmawiać ściszymi głosami. Wyraźnie ignorowali moją obecność. Opuściłem ich i udałem się do baru w poszukiwaniu hrabiego Platę.

Był to luty, od marca zaś moi oficerowie niby orły zaczęli się wzbijać w hierarchii rang i stanowisk.

Apoloniusz został pełnym pułkownikiem. A wkrótce po tym

awansie dyrektorem wydawnictwa. Jego zapalczywą twarz zaczął widywać na szklanym ekranie telewizora, zabierał głos w sprawach wagi państwowej i obywatelskiej.

Major Parobczyk z kierownika działu w tygodniku żołnierskim przesunął się na pozycję zastępcy naczelnego redaktora.

Najwyżej awansował major Grzegorz, który w bardzo szybkim tempie został generałem brygady i ważną szyszką w armijnej propagandzie. Jego nazwisko wymieniano w samej czołówce nazwisk z okazji uchwał i oświadczeń zapadających na konferencjach, plenach i zjazdach.

Raz widziałem go jak wysiadał z czarnego samochodu. Generalskie lampasy zdobyły jego spodnie.

W tym samym czasie Plater rozpoczął starania o wyjazd emigracyjny. Podał się za Żyda. Przystosował się należycie do nowej kreacji: puścił sobie brodę, długą i dziką, rabinacką, można powiedzieć, jego płonące oczy wzmacniały ortodoksyjną sugestywność wyglądu. Był jak Josie Kałb z powieści Singera, którą akurat czytałem.

Otrzymał tzw. paszport w jedną stronę. Sprzedał dobytek, mieszkanie; wraz z żoną i pięciorgiem dzieci gotował się w daleką podróż. Jednak w odpowiednim wydziale resortu, zajmującym się pochodzeniem obywateli odkryto jego szydery żart i cofnięto go z pociągu przed samą granicą.

— Nie wyszedł wam ten numer — oświadczył cywil, który asystował wopistom przy wysadzaniu go z pociągu.

Plater jednak wcale nie upadł na duchu i jeszcze bardziej umocnił się w swojej roli.

Nosić zaczął czarny kapelusz i czarną jesionkę z aksamitnymi wyłogami na kołnierzu, broda urosła mu do pasa, oczy miał króliczo zaczerwienione, jakby od nocnego ślęczenia nad Talmudem. Istny chasyd, który dziwnym zbiegiem okoliczności zmartwychwstał na tej ziemi.

Nadal uczęszczał na wyścigi i nad wyraz spokojnie znosił spojrzenia i kpiny braci Słowian.

Dalsze dzieje trzech oficerów są mi znane dość powierzchownie. Oto co mogę o nich powiedzieć: żelazny organizm jednookiego pułkownika Apoloniusza nie wytrzymał w końcu naporu wody ognistej. Pewnego razu wracał o świcie z libacji i spostrzegł nagle jak otaczają go zewsząd niedobici syjoniści. Odrażające postacie wynurzały się z bram i piwnic. Prali go ze wszystkich stron. Nie dał się dzielny wojak. Zaczął ostrzeliwać się z parabelki. Postrzelił bezdomnego włóczęgę, który w tę letnią noc spał pod śmietnikiem. W ataku delirium tremens przewieziony został do szpitala dla wariatów. Jego kariera załamała się definitywnie. Przeniesiono go w stan spoczynku. Generał brygady Grzegorz w tajemniczych okolicznościach zdegradowany został

do szeregowca i ostatecznie usunięty z wojska. Podobno pracuje jako księgowy w spółdzielni inwalidów wojennych. Można sobie wyobrazić jego upadek życia. Płacz i zgrzytanie zębów. Na placu boju pozostał jedynie major Parobczyk. Picia alkoholu zaprzestał z powodów wątrobowych. Natomiast Plater po kilku latach koczowania kątem u krewniaków (mieszkanie i cały dobytek sprzedał przecież) otrzymał paszport i wyjechał do Szwecji. Tam wie dzie mu się nieźle. Z rzadka pisuje kartki z pozdrowieniami i wyraźnie zaznaczoną tęsknotą za wyścigami konnymi na Służewcu.

Niedawno spotkałem na spacerze w parku jednookiego Apoloniusza, pułkownika w stanie spoczynku. W cywilnym stroju nie prezentuje się tak okazale jak dawniej. Garnitur przyciasny i pomięty, porusza się niezgrabnie.

Opowiedziałem mu o losach hrabiego Platera.

— Żydowski hrabia! — zazgrzytał sztuczną szczęką. — Jak szczer opuścił nasz okręt!

I szepem podzielił się ze mną swoimi najnowszymi podejrzeniami. Dotyczyły osoby generała Jaruzelskiego.

Przyłożył dłoń pod brodę. Gest ten symbolizuje sławetne pejsy.

— Rozumiesz?

Poczułem lekką woń alkoholu. Jednak popija nadal.

Marek NOWAKOWSKI

KSIĄŻKI

NOWE, WYCZERPANE, ANTYKWARYCZNE

KATALOG 48 zawiera ponad 200 tytułów z działów: Historia i teoria literatury — Literatura piękna — Historia Polski — Druga wojna światowa — walka, martyrologia — Różne.

KATALOG 49. Działy: Bibliografia — Językoznawstwo — Judaica — Varsaviana — Wspomnienia — inne.

Katalogi wysyłamy na żądanie (bezpłatnie).

Prosimy o (ewentualne) określenie zainteresowania.

KSIEGARNIA POLSKA

A i E. Neustein, Tel-Aviv, P.O.B. 29443, Izrael

Janusza Zawodnego rzeczy nieudane

OKRUCHY PAMIĘCI

*Generałowi Klemensowi Rudnickiemu
z okazji 90-ciolecia poświęcam.*

1925. Polska

Według mego dziadka, Pan Bóg najpierw stworzył Polskę, Napoleona, Pułk Szwoleżerów Gwardii, Virtuti Militari i Marszałka Piłsudskiego. Ta koncepcja genezis odbiła się ujemnie na mojej pierwszej, ważnej, konfrontacji z życiem.

Mieszkaliśmy wtedy na Pańskiej 77, miałem cztery lata i matka postanowiła przedstawić mnie osobiście księdzu, który przy-szedł do nas z parafii Wszystkich Świętych na Placu Grzybow-skim, aby poświęcić stół wielkanocny.

— No, cóż ty, dziecko, robisz, zanim pójdziesz spać? — pyta.

— Siusiu — odpowiedziałem.

— A potem?

— Czasami kupkę.

— Januszek, zanim pójdziesz spać zawsze się modli — szybko powiedziała matka.

— Do Pana Boga z węsami — wystrzeliłem i zaprowadziłem zdumionego duchownego do naszego ostatniego pokoju, gdzie, za szafą, nad moim łóżeczkiem, wisały dwa obrazy. Jeden przedstawiał pana w niebieskiej szacie z wielkim czerwonym sercem i ręką wzniesioną do góry, drugi pana z węsami. Ponieważ ten z węsami miał na piersi Virtuti Militari i Krzyż Walecznych, modliłem się do niego.

Książd trzasnął mnie kropidłem, lecz kiedy rozpoczął tyrade

o komunie i ogniu piekielnym, dziadek, który konsumował właśnie czterdziestkę wyborowej pod grzybki w occie, podniósł się z krzesła i oświadczył uroczyście, że miał zaszczyt należeć do PPS-u i on sobie nie pozwoli! Książd wyleciał z domu jak z procy, matka zaczęła płakać, ojciec zamyślił się nad niepoświęconą kiełbasą.

Tak zaczęła się seria moich rzeczy nieudanych. Dalej poleciało ale nie jak z płatką: konspiracja, Powstanie, niewola, 2-gi Korpus, Anglia, USA — i tyle poczynañ nieudanych...

1955. USA

Doktorat w Stanfordzie. Moja pierwsza posada to docentura na Uniwersytecie Princeton. Mam stu dwudziestu studentów z wielu krajów, między osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia. Pierwszy wykład. W pierwszym rzędzie siedzi dwóch panów, obaj około osiemdziesiątki. Przed wykładem jeden z nich zwraca się do mnie: „Proszę pana, wiele lat temu, w tej sali, z tej katedry, na ten sam temat, mówił Woodrow Wilson. Byliśmy jego studentami. Jeśli pański wykład będzie nam się podobał, zaprosimy pana na lunch”.

Po wykładzie widownia nagrodziła mnie brawami, lecz starsi panowie na lunch mnie nie zaprosili bo, według nich, w moim wykładzie było za dużo analizy i psychologii, a za mało wiary w ideały Wilsona. Samotny, łykam lunch i dziwię się, dlaczego powiedzieli to dziekanowi a nie mnie. Chętnie mówimy o ideałach, bo wtedy nie myślimy o własnych ułomnościach.

1965. USA

Harvard. Kissinger prosi o napisanie rozdziału do jego książki „Problems of National Strategy”. Piszę o wojnach niekonwencjonalnych.

Moje amerykańskie otoczenie nie lubi mówić o Jałcie i Teheranie, wzmianka o Katyniu wywołuje niechęć. Polska, to tak jak wizyta u dentysty — „nie mówmy o tym”. Proszę kilka polskich organizacji o dwa tysiące dolarów dla mojego studenta, który, mimo wszystko, chce pisać tezę doktorską o Polsce. Nie jest zamożny, jeśli nie otrzyma od nas tej zapomogi, weźmie z konieczności inny temat, na który pieniądze bez trudu się znajdują. (Dobrze widziane są problemy niemieckie i żydowskie. Na to pieniądze są zawsze). Wszystkie polskie organizacje załatwiają sprawę odmownie.

Jak mi jeden działacz Polonii powiedział w Filadelfii: „Panie, nam *książków* nie potrzeba”.

1964. USA

San Louis. *Cocktail-party* u rabina intelektualisty. U jednego z tych, którzy słyną z wielkiej mądrości. Zwraca się do mnie jakiś jego wielbiciel, Żyd. Oto nasza rozmowa:

— Pan jest Polakiem?

— Tak.

— Pan zamordował mojego dziadka.

— Gdzie?

— W Odessie.

— Kiedy?

— W 1905 roku.

— Proszę pana, Odessa jest w Rosji, ja jestem Polakiem, urodziłem się w Warszawie, w 1921-szym.

— No to pański ojciec go zamordował.

Wszystko. Dalsza rozmowa nie jest możliwa.

Stosunki polsko-żydowskie pasują do definicji Arystotelesa: „Tragedia, to sytuacja, w której wszyscy są ranni a niektórzy fatalnie”.

1939. Polska

Październik lub listopad w zbombardowanej Warszawie. Groby na chodnikach na Rogu Komitetowej i Pańskiej. Świeczki, ludzie kłęczą w łzach i bólu. Naprzeciwko żydowska sala tańca Wajsmiana, na I-szym piętrze. Orkiestra gra fokstroty. Mój żydowski przyjaciel krzyczy „*myszugene!*”. Obydwaj wiemy że tu się dzieje coś tragicznego. On ma łzy w oczach, ja się czuję zgubiony.

1943. Polska

Kwiecień. Niemcy mordują Żydów w getcie. Jestem w Szkole Pchr. AK. Jedziemy z pchr. „Łuniczem” tramwajem na Żoliborz. Przy murze getta stoi karuzela grająca walca... Ja już dorosłem w bólu podczas okupacji, ale mam łzy w oczach,

a „Łunicz” jest zgubiony. Gdzie jest Pan Bóg? Gdzie jest moje AK? Gdzie jestem ja? Gdzie jestem ja? Gdzie jestem ja?...

1987. USA

Nie widzę kraju, gdzie problemy lokalne i polityka wewnętrzna mogą oddziaływać z taką mocą i tak ujemnie na kurs polityki zagranicznej, jak w USA. Amerykanie zademokratyzują się na śmierć! Kongres ma aspiracje robienia polityki zagranicznej i międzynarodowej zamiast prezydenta.

Pewien obserwator słusznie pisze: „Kongres robiący politykę zagraniczną wygląda jak gość próbujący grać tyłkiem na mandolinie. Widok niezbyt przyjemny i rezultat mierny, nawet jeśli to robi prawdziwy mistrz”.

1944. Powstanie

Gdzieś pod koniec walk (jestem zastępcą dowódcy kompanii „Koszta” w Śródmieściu), budzą mnie w nocy z rozkazem od pułkownika Webera, abym natychmiast zameldował się w jego punkcie dowodzenia, w kinie Palladium, na Złotej. Co się myśli, kiedy się ma 23 lata i jest się podporucznikiem wezwanym przez szefa sztabu Powstania? Moja konkluzja jest, że to albo bardzo dobrze albo bardzo źle. Sumienie mam czyste. Okazuje się, że pułkownik wybrał dwóch oficerów, którzy mają eskortować w nocy dowódcę Powstania, generała Montera, ze Złotej na Piusa, gdzie jest kwatery generała Bora, dowódcy AK. Tym drugim oficerem jest adiutant pułkownika Wachnowskiego, kapitan Eugeniusz Suszyński, którego widywałem w czasie walk na Starówce. Sprawdzamy swoje steny i granaty. Wchodzi do pokoju postawny mężczyzna o marsowym wyglądzie i zachowaniu. To generał Monter. Milczy. Idziemy. Noc, ulice płoną, pali się Warszawa. Posuwamy się czujnie lecz szybko, przystajemy rzadko, przez Aleje Jerozolimskie przechodzimy przekopem, bo Niemcy są wstrzelani wzdłuż Alej.

Na Piusa przyjmuje nas pułkownik Iranek-Osmecki. Zmęczony, z przekrwionymi oczami z niewyspania, lecz spokojny i opanowany, gawędzi z nami, częstuje nas kubkiem wody. Po godzinie wraca Monter, eskortujemy go z powrotem. Tym razem posuwamy się znacznie wolniej, niepokoje, strzelanina, kilkakrotnie zatrzymują nas patroli AK. W takim przypadku Genio Suszyński legitymuje się tylko swoją legitymacją akowską i wskazując nas, mówi, że tych dwóch oficerów jest z nim. Ze Złotej

na Piusa sześmi godzinę, z powrotem cztery godziny. Przez cały ten czas generał nie odezwał się do nas ani słowem. Do dzisiaj nie wiem jaki miał głos. Przyniósł rozkaz poddania Warszawy.

1946. Włochy

Manewry 2-go Korpusu. Podporucznik Jerzy Prądyński (mój przyszywany wuj), dowódca plutonu w 12 Pułku Ułanów Podolskich (Pancerny) i ja mamy rozpoznać drogę i ubezpieczyć most na rzece. Przed wkroczeniem do akcji, wuj Prądyński spytał mnie czy przygotowałem jego bojowe oporządzenie, to znaczę papierosy i termos z czarną kawą. Rozkazał mi prowadzić pluton bo on sam „jest zajęty”, po czym pogrążył się w lekturze francuskiej literatury pięknej. Nasze ciężkie samochody pancerne docierają do rzeki, lecz obiecanego mostu nie ma. Skarżę się wujowi. Wuj otwiera wieżę pancerną samochodu i mówi „jedziemy przez rzekę”. Proszę go, żeby przynajmniej pozwolił mi zbadać jej głębokość, w odpowiedzi słyszę, że ja, jako AK-owiec, może się i znam na walkach ulicznych, ale żeby wujowi nie mówił, jak ma walczyć według mapy. Wóz jest ciężki, 18-tonowy, grzęzniemy w samym środku rzeki. Wuj ze swoim czującym uśmiechem powiada, że jako młodszy starszeństwem powiniennem zorganizować pomoc. I to taką, które wyciągnie nas z wody. Według mapy, w najbliższym miasteczku ma kwatery generał Sulik, a zatem wszystko zdaje się wskazywać, że pomocy należy szukać właśnie tam.

Wchodzę do lodowatej wody i, kłapiąc zębami z zimna, docieram do miasteczka, gdzie mnie informują, że pomoc będzie, gdy oficerowie zjedzą obiad. Idę do kasyna, przy stole siedzi generał Sulik. Nie sam. Jak przystało na ułana nawet mokrego i mającego wyciągnąć z wody pancerny wóz, z miejsca widzę, że jego córki są śliczne. A zwłaszcza jedna. Nocą piszę do niej list w stylu Juliusza Słowackiego. Dużo słów, lecz intencja jasna. Widzi to Eryk Jankowski, podporucznik, kolega ze szwadronu i powiada swoim kresowym akcentem: „To ty, braci, do generała córki listu nie pisz. On tak ciebie, jak to zobaczy, posle do piechoty i zrobi kapralem”.

Listu nie napisałem. Kolejny romans, jak i liczne poprzednie, skończył się, zanim się zaczął.

1981. USA

Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Waszyngtonie. Sala

nabita. Kilku podsekretarzy stanu, kilku trzygwiazdkowych generałów. Po kilkunastu minutach mego wykładu (jego treścią jest propozycja rozwiązania pewnego problemu w stosunkach międzynarodowych), orientuję się, że nie mam kontaktu ze słuchaczami. Robię wszystko czego mnie nauczyła 25-letnia praktyka wykładania na uniwersytecie, aby ten kontakt nawiązać. Nic nie wychodzi, mówię jak do lodowej ściany. Jestem sfrustrowany i zawiedziony. Ostatecznie sami tego wykładu chcieli, chyba ich moja opinia na ten temat interesowała, skoro specjalnie mnie tutaj zaprosili. Jemy lunch z ambasadorem O. i prof. S. obecnie na wysokiej funkcji w sekcji planowania ministerstwa. Mówię im, że czuję się zawiedziony. Śmieją się i powiadają, że nie znam *modus operandi* waszyngtońskiej elity rządowej. Szef ministerstwa, który miał być obecny na moim odczycie, w ostatniej chwili, w sprawie niecierpiącej zwłoki, został wezwany do Białego Domu, do Prezydenta. Jest oczywiste — wyjaśniają — że nikt z aparatu nie ujawni swojego własnego punktu widzenia czy opinii, bez uprzedniego sygnału od szefa, to znaczy nie widząc jego reakcji na słowa prelegenta.

Stolica, dyplomacja, polityka... Chcę być na swojej wyspie w puszczy Kanady razem z niedźwiedziami!

1943. Polska

Moja sekcja studentów podziemnego Uniwersytetu im. J. Piłsudskiego pierwszego roku prawa zbierała się co tydzień w prywatnych mieszkaniach. W tym dniu mieliśmy wykład z teorii prawa profesora Piętki, w domu Julka Pużaka, na Mokotowie.

W czasie wykładu rozlegają się syreny niemieckiej policji zajeżdżającej przed dom. Bledniemy. Niektórzy łykają notatki. Ktoś woła, żeby najpierw ratować profesora. Bez słów ubieramy go w palto, szalik i kapelusz i wypychamy za drzwi. Zakładamy, że przy jego niekonspiracyjnym i niewojzkowym wyglądzie, uda mu się wyjść na ulicę i uratować życie. Napięcie, cisza. Mija jedna minuta, druga. Silne uderzenie w drzwi. Koniec nauki? Koniec życia? Pani domu, milcząc, otwiera drzwi. W progu stoi profesor Piętka. „Zapomniałem kaloszy”. Daliśmy mu kalosze do ręki i powtórnie wypchnęliśmy za drzwi. Gestapo do naszego mieszkanie nie przyszło, aresztowało kogoś w innej klatce schodowej. Profesor Piętka spokojnie dotarł do swego domu.

Zginął, nieco później, profesor Rafacz, który wykładał nam źródła polskiego prawa, bohater moich marzeń o wiedzy prawdziwej — z książek i z życia. Rozstrzelali go Niemcy w czasie Powstania.

1982. USA

Georgij Arbatow, doradca do spraw amerykańskich Breżniewa a obecnie Gorbaczowa, przyjechał na nasz uniwersytet.

Mały lunch w profesorskim klubie, niewiele osób. Arbatow zbiera komplementy, rozdaje pochwały i nagany. Pytam go zatem, dlaczego Sowietci nie przyznają się do morderstwa w Katyniu. Przecież ujawnienie prawdy, to dla Sowietów czysty zysk. Nowy kredyt zaufania na Zachodzie, nowy bodziec do *détente* i współpracy gospodarczej. Ostatecznie — powiadam — i on, Arbatow, i wszyscy Polacy dobrze wiedzą, kto był sprawcą tej hańby naszego wieku, więc po co robić z siebie wariatów.

Arbatow stracił tylko humor. Na chwilę. Ja i kilku uniwersyteckich przyjaciół na zawsze.

1944. Polska

Wiosna. Ukończyłem szkołę podchorążych AK w Warszawie. (Klasa „P”, Nr Podch. S. 1086). Dowódca rejonu wyznacza mnie na sprawdzanie wyszkolenia. Wizytuję sekcje, które szkolą się w bronioznawstwie i w służbie polowej.

Podczas inspekcji w mieszkaniu Wieśka K., drogą alarmową przybiega łączniczka i zawiadamia nas, że dowódca naszej szturmowej kompanii ciężkich karabinów maszynowych, podporucznik Jerzy Prawdzic, jest aresztowany przez Gestapo. Sytuacja gardłowa, bo — jak właśnie wyszło na jaw — Prawdzic złamał podstawową zasadę konspiracji: miał u siebie brulion z naszymi nazwiskami, pseudonimami i adresami.

Do domu nie wróciłem, poszło tam Gestapo. Przez wywaloną granatami bramę.

Wyjechałem z Warszawy „służbowo” i w ten sam sposób wróciłem, w dniu Powstania.

W konspiracji nie zawsze bywało konspiracyjnie. Znam ludzi, którzy o pewnych sprawach tamtej konspiracji milczą do dziś.

1957. USA

Zaprosiłem Mikołajczyka na wykład dla moich studentów w Princeton. Po wykładzie rozmawiamy do drugiej w nocy. Jest szczerzy aż do samobiczowania. Pytam, czy rząd w Londynie wie-

dział, co się rzeczywiście dzieje w Polsce w czasie niemieckiej okupacji. Na to Mikołajczyk: „Panie profesorze, Stalin dużo więcej wiedział o tym co się dzieje w Polsce niż moi ministrowie”. Mówi o intrygach, walkach wewnętrznych, nieudolności, brudach.

Przypomina mi się okupacja. Tak bardzo im wierzyliśmy, ufaliśmy im ślepo. Akowska młodzież widziała w tym rządzie wszystko co najszlachetniejsze i najlepsze.

Młodzież ma zawsze potrzebę autorytetu moralnego. Polska młodzież od licznych pokoleń żyje w warunkach, które tę potrzebę niezmiernie wzmacniają. I z reguły otrzymuje namiastki. W najlepszym razie.

1944 - 1987

Od 43 lat szukam matki mojego łącznika Tarzana z walk na Starówce. Miał 12 lat i zginął z rany w moich ramionach. Matka nalegała abym go przyjął do plutonu „bo inaczej on mi i tak ucieknie do walki”. Nasz pluton na Starówce miał 66 % strat. Najmłodszy chłopiec — 12 lat, najmłodsza dziewczynka która poległa („Grażynka”, Stefania Gromkowska) — miała 16 lat, najmłodsza łącznika („Panterka”) — 14 lat. Ja — niewiele więcej.

1973. USA

Moją specjalnością jest polityka międzynarodowa. Jestem zaproszony na seminarium specjalne Departamentu Stanu. Cel: wymiana myśli między zawodowymi dyplomatami amerykańskiej służby zagranicznej i kilkoma profesorami z uczelni amerykańskich i kanadyjskich. Jedziemy do Waszyngtonu z żoną. Seminarium jest udane, a przy tym, jako gość Departamentu, mam możliwość przyjrzenia się z bliska, na miejscu, jak w praktyce wygląda praca tego ministerstwa w centrali i świecie.

Był to czas, gdy prezydent Nixon wybierał się do Warszawy. Pewnego dnia poproszono mnie na konferencję urzędników Departamentu Stanu, przygotowujących prezydenta do tej wizyty. Podpisuję wręczone mi zobowiązanie do zachowania tajemnicy o szczegółach rozmowy, Siedzę, słucham, mówię. Rozmowa niebałna, czas mija. Po części formalnej przychodzi po mnie żona, przysłuchuje się naszej wymianie myśli. W pewnej chwili, ilustrując jakąś tezę, rysuję na tablicy kontury Polski i Stanów Zjedno-

zonych. Koniec, wzajemne podziękowania, wychodzimy, na korytarzu żona zaczyna się śmiać i mówi mi, że w innych sprawach to tak, lecz w sprawie omawianej przed chwilą, to mnie tu więcej już nie zaproszą. Pytam dlaczego. — „Bo Polska, którą narysowałeś w czasie swoich wywodów, zajęła pół tablicy, a Stany Zjednoczone były wielkości małego talerza”. — Istotnie, na rozmowę w tej materii już mnie więcej nie poproszono, nigdy. Podświadomość przy pracy?

Janusz K. ZAWODNY

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych ● Wszelkie aparaty medyczne ● Okulary ● Aparaty słuchowe ● Preparaty dentystryczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.
Największy Polski Dom wysyłkowy

T A Z A B LTD.

**Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.**

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

**Madame C. Piquard-Zabłocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.**

Tel.: 42 85 79 45.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Brazylijscy potomkowie Scarlett O'Hara

Uroczystości związane z 200-leciem istnienia Stanów Zjednoczonych nasunęły mi pomysł zbadania amerykańskiego uchodźstwa z wojny o niepodległość i wojny domowej. Kilka lat później wyruszyłam w podróż po Kanadzie w poszukiwaniu potomków pierwszych uchodźców, tak zwanych *British American Loyalists*, którzy zorganizowani są w Lojalistyczne Stowarzyszenia kultuwające pamięć przodków i własną odrębność. Jest wśród nich wielu historyków-amatorów, którzy utrzymują kontakt z kanadyjskimi uniwersytetami. Po dwóch wyprawach do Kanady udało mi się spędzić całe lata w Brazylii, w miasteczku Americana, stolicy amerykańskich uchodźców z wojny domowej. Rezultatem tych wypraw, badań i szperania w archiwach i rodzinnych dokumentach tych dwóch fal pierwszych uchodźców z kraju mego własnego uchodźstwa jest przygotowana do druku książka pt. *Exiles from the United States*.

— Powieść Margaret Mitchell „Przeminęło z wiatrem” była podczas okupacji najbardziej poczytną książką w Polsce. Fascynowały nas wówczas losy wysiedlonych ziemian z piękną Scarlett O'Hara na czele, radzących sobie tak dzielnie w „okupowanej przez Yankesów” Atlancie. Tak jak i inni czytelnicy „Przeminęło z wiatrem” byłam wówczas przekonana, że większość owych ziemian miała ogromne plantacje i wielu niewolników. Dopiero przy okazji moich badań dowiedziałam się, że zaledwie 2 % szóstomilionowej ludności Stanów Południowych¹, nazywanych skróto „Dixie Land”, posiadało ponad stu niewolników, a znaczna większość (70 %) była ubogimi, samowystarczalnymi farmerami. Reszta mieszkła w miastach i miasteczkach: byli to rzemieślni-

1. Stany Zjednoczone miały wówczas trzydzieści i pół miliona mieszkańców.

cy, robotnicy, pastorzcy, nauczyciele, adwokaci, lekarze itd. Pracy wszyscy jednak zamożni, biedni, miejscy czy wiejscy podziwiali (i w miarę możliwości starali się imitować) styl życia bogatych ziemian, nie kwestionowali niewolnictwa, pogardzali „zmaterializowanymi i gburowatymi Yankesami” i znaczna ich większość wspierała konfederatów podczas wojny domowej.

Czytając podczas wojny „Przeminęło z wiatrem” nie zdawałam sobie również sprawy z rozmiarów uchodźstwa z „Dixie Land” po klęsce. Według korespondenta *New York Herald* (rok 1865) aż 50 tysięcy osób starało się opuścić wówczas Stany Zjednoczone. Udało się to tylko 10-ciu tysiącom. Reszta zdecydowała się na upokarzającą przysięgę lojalności (do której nawoływał zresztą przywódca konfederatów, generał Lee) lub wewnętrzną emigrację (ukrywali się pod zmienionymi nazwiskami na Południu lub uciekali do New Yorku, gdzie ich nikt nie znał).

Wiele można by pisać o tragicznych ucieczkach konfederatów do Meksyku, Wenezueli, Hondurasu. Nieorientowani w geografii, klimacie, polityce i kulturze tych krajów, pakowali się w wojny domowe i pułapki oszustów. Ci, którzy te wyprawy przeżyli, wrócili do Stanów Zjednoczonych zrozpaczeni i upokorzeni.

Jedyną częściowo udaną emigracją okazała się dwutysięczna emigracja do Brazylii. Pozostała po niej garstka (300 do 400 osób) urodzonych już w Brazylii „uchodźców”, schłodne miasteczko Americana w zasobnym stanie Sao Paulo, a na jego przedmieściach konfederacki cmentarz, miejsce ich corocznych lub częstszych spotkań.

Ci potomkowie Scarlett O'Hara są obecnie bardzo dobrze zakotwiczeni w brazylijskim cudzie ekonomicznym, zatrudnieni przeważnie w amerykańskich („yankesowskich”) firmach lub międzynarodowych gigantach. Dumni są ze swego wkładu w brazylijskie życie, ze statusu społecznego i kulturowego przetrwania. Czy równie dumni byłiby z tych osiągnięć ich przodkowie konfederacji?

Bardzo możliwe, że tak. Inna była bowiem ta ich emigracja od naszej, w każdym razie od jej pierwszej powojennej fali. Czy tak bardzo jednak inna od następujących po niej emigracyjnych fal?

Gdy po raz drugi, w Americana, przeczytałam „Przeminęło z wiatrem” zdałam sobie sprawę, jak bardzo inny od naszego był patriotyzm mieszkańców „Dixie Land”. Był to głównie patriotyzm lokalny i rodzinno-klanowy. Wielu z nich dołączało do wojsk konfederacji dopiero wówczas, gdy ich okolice i rodziny, ich samodzielność i honor zagrożone były przez „obcych”.

Tylko niektóre kościoły protestanckie oraz masoneria miały na tym bardzo prowincjonalnym Południu jakieś szersze koncepcje i międzynarodowe powiązania. Jeszcze przed końcem wojny

domowej, w przewidywaniu klęski kilku protestanckich pastorów i dwóch wysoko postawionych masonów² udało się do Brazylii. Pastorzy nawiązali kontakt z protestanckimi misjami, masoni rozpoczęli pertraktacje emigracyjne z samym cesarzem, Pedro II, masonem-filozofem.

Gdy w 1865 roku pierwsi uchodźcy z wojny domowej przybyli do ówczesnej stolicy Rio de Janeiro (między nimi również dwóch wybitnych masonów-konfederatów, pułkownik William Norris i jego syn Robert) zostali serdecznie przyjęci nie tylko przez swoich urzędzonych już w Brazylii „braci”, ale również przez samego cesarza. Przez pięć lat przybijały do Rio de Janeiro statki z konfederackimi uchodźcami. Witano ich uroczystie serenadami i prezentami i umieszczano w specjalnie dla nich przygotowanym ogromnym hotelu „Emigrantes”, gdzie odwiedzał ich cesarz Pedro. Mimo tak gościnnych powitań autorzy wielu dzienników rozpoczętych podczas wielomiesięcznych często morskich przepraw przez ocean notują z oburzeniem swe reakcje na nazwę przygotowanego dla nich hotelu. „Nie jesteśmy żadnymi emigrantami” — piszą. — „Przecież nigdy byśmy nie opuścili przedwojennego 'Dixie Land'... jesteśmy uchodźcami politycznymi!”.

Czy rzeczywiście byli uchodźcami politycznymi? Czy chodziło im o odzyskanie podbitego przez Yankesów „Dixie Land”? Czy mieli jakieś polityczne koncepcje i plany?

Nic podobnego! Nawet najwcześniejsi, najbardziej zagrożeni uchodźcy, ci którzy z niezdemobilizowanymi jednostkami wojskowymi przekroczyli Rio Grande do Meksyku, nawet ci uważali swą klęskę za ostateczną i nie odzyskania „Dixie Land” pragnęli, lecz rekonstrukcji swego „stylu życia” w utopijnych koloniach uchodźczych. Niektórzy z uciekających konfederatów zakradali się do swoich domów, paląc je lub przynajmniej tłukąc porcelanę, aby nie dostała się w ręce Yankesów. Przed przekroczeniem Rio Grande (w pełnym uzbrojeniu i nawet z armatą) oddział konfederatów spalił swoje flagi i wrzucił popioły do rzeki. Nie przewieziono żadnego konfederackiego sztandaru do Brazylii. Konsulat amerykański („yankesowski”, jak mówią potomkowie konfederatów) dostarcza im dzisiaj papierowe chorągiewki konfederackie na ich „uchodźcze” cmentarne zebrania, nie mają jednak swego Mroźka, który by to opisał!

Dopiero w Americana, rozmawiając z potomkami konfederatów i wertując ich rodzinne dokumenty, zorientowałam się, że owi „polityczni uchodźcy” przed wypłynięciem do Brazylii brali często od „zwycięskich Yankesów” paszporty amerykańskie, „tak, na wszelki wypadek, gdyby się nie udały te ich wyprawy”. Niektórzy w Rio de Janeiro zgłaszali się po te paszporty do amerykańskich konsulatów. Wielu zatrzymało je przez całe życie, „bo nie

2. Bracia Charles i Georges Natham ze stanu Louisiana.

chcieli być zmuszeni do brania udziału w brazylijskich rewolucjach” — jak mnie zapewнили ich potomkowie.

Po kilkutygodniowym pobycie w Rio de Janeiro emigranci pod egidą swoich płomiennych przywódców wyruszyli na zakładanie utopijnych kolonii w brazylijskich tropikach. Wszystkie te wyprawy skończyły się tragicznie: niewolnicy zakupieni w Rio de Janeiro do prac na wymarzonych plantacjach już w drodze puciekali i nie sposób ich było złapać, bo instytucja niewolnictwa była już wówczas w rozkładzie. Emigranci nie potrafili dać sobie sami rady z karczowaniem dzungli, nie wytrzymywali tropikalnego upału, wielu z nich zginęło od ukąszeń węzów i nieznanych chorób roznoszonych przez tropikalne insekty. W opłakanym stanie dotarli w końcu do Rio de Janeiro i większość zdecydowała się wrócić do Stanów Zjednoczonych na koszt amerykańskich konsulatów.

W Rio de Janeiro zostało jednak 350 rodzin i znowu ich ratowaniem zajęli się masoni. Pułkownik Norris z synem Robertem kupili niewielką fermę w okolicy dzisiejszej Americana i bez żadnych planów budowania tam „utopii”, sprowadzili garstkę uchodźców do pracy na roli. Stopniowo dołączyła do nich reszta. Niektórzy pracowali na fermie Norrisów, innym udało się usamodzielnic. Założono masonską lożę imienia Washingtona i zbudowano kościół. Pastorzy i masoni zaczęli ostro rywalizować o „rząd dusz” wśród uchodźców, wkrótce jednak dla dobra ogółu ustalili kompromisowy, uzupełniający *modus vivendi*. Masoni zamknęły amerykańską lożę Washingtona i włączyli się do loż brazylijskich. Poprzez kontakty z brazylijską masonerią mogli coraz skuteczniej pomagać swoim rodakom. Podczas gdy masoni pracowali nad wzmocnieniem kontaktów uchodźców z brazylijskim *establishment*, pastorzy zajęli się podtrzymywaniem ich amerykańskości. Zakładali amerykańskie szkółki, szkoły, z czasem nawet wyższe uczelnie i poprzez różne przykościelne organizacje izolowali uchodźców od kontaktów z „nieodpowiedzialnymi katolikami”, za jakich uważali Brazylijczyków.

Cmentarz konfederatów, wokół którego wyrosła ich „emerytalna stolica” Americana („emerytalna”, bo rozproszeni po całej Brazylii potomkowie Scarlett O'Hara starają się tam osiedlać po przejściu na emeryturę) to duży, zaplanowany na dziko park. Wśród ciemnych amerykańskich sosen, jasnych brazylijskich palm, wysokich chwastów i polnych kwiatów prawie nie widać skromnych grobów, na których ledwo odczytać można krótkie, rzeczowe informacje o zmarłych. Na grobach nie stawia się świeczek i nie kładzie kwiatów, „bo to brazylijski zwyczaj”.

Cmentarz ten ma swoją historię. Był on kiedyś ogrodem przy fermie pułkownika konfederacji i gdy katolicki ksiądz odmówił pochowania jego żony protestantki, pułkownik pochował ją w swoim ogrodzie. Od tej chwili ogród zamienił się w cmentarz. Podczas dorocznego zjazdu „uchodźców”, na który przyjechało

również wielu krewnych ze Stanów Zjednoczonych, zauważyłam ze zdziwieniem młodego chłopca niosącego ogromną donicę z rudymi chryzantemami. Postawił ją pod małym drzewkiem i odszedł. Drzewko okazało się akacją. Pod nim, za chryzantemami zauważyłam niewielką metalową tablicę ku czci nieistniejącej już od dawna amerykańskiej loży masonskiej imienia Washingtona.



Jeszcze raz trzeba to zaznaczyć: mimo że opuścili „Dixie Land” ze względów politycznych, mimo że uważali się za politycznych uchodźców i że za takich ich nadal uważają ich potomkowie, konfederaci nie byli emigrantami politycznymi, bo nie próbowali nawet w jakikolwiek sposób wpływać na swój „okupowany” kraj i wiedzieli, że jeżeli kiedykolwiek go odwiedzą, to jedynie jako „pielgrzymujący turyści”.

Zachowanie języka, kultury, tożsamości i wysoki status społeczny zawdzięczają głównie:

1. rywalizującej współpracy protestanckich kościołów z masonerią (która jest „religią religii” i „śmietanką polityki”, jak to określili jeden z moich rozmówców);

2. umiejętności wykorzystania języka angielskiego, od dość dawna już niezbędnego w przemyśle brazylijskim;

3. kultywowaniu tego języka (czytają nieomal wyłącznie czasopisma i książki amerykańskie) oraz podróżom firmowym i „turystycznym pielgrzymkom” do Stanów Zjednoczonych.

Alicja IWANŃSKA

Londyn, 27 lutego 1987 r.

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU
LIBRAIRIE POLONAISE A PARIS
 123, Bld Saint-Germain, 75006 Paris
 Tel.: 43 26 04 42

POLAK ZWIEDZA PARYŻ
 Przewodnik

opracował
JAN WINCZAKIEWICZ

Wydanie czwarte uzupełnione.
 Szytchy, fotografie, plany dzielnic.

Str. 192.

Cena F. 50,00.

Katalogi wysyłamy bezpłatnie na żądanie.

Wiersze

Jacek BIEREZIN

*Nie piszę listu
 Wolę cię słyszeć
 gdy wyjesz do księżycy
 Nie sięgam po telefon
 Wolę cię widzieć
 na wilczym szlaku
 Nie jadę do ciebie
 Wolę cię poczuć
 w ranie na skórze
 Drzę kiedy drżysz
 gdy cię dotykam
 na innym kontynencie
 w innej epoce
 w świecie
 miłosnego wilczego tańca*

Paryż, kwiecień 1987

WIADOMOŚCI Z KRAJU

*Listy z Kraju są jak listy z więzienia
 Trzeba czytać je trzy razy
 głównie między wierszami
 Czuję się lepiej
 (znaczy że było źle)*

ale potrzebuję nowych lekarstw
 (znaczy Zeszytów Historycznych)
 Ostatnio udało mi się kupić szynkę na święta
 Janek jest już w domu
 ale nie wiadomo czy zostanie
 Zbyszek wyjechał do Barczewa
 Paczka od ciebie doszła
 cytryny się nie popsuky
 (znaczy nie było rewizji na granicy)
 Sprawiliście nam dużą radość
 (znaczy że już czytali)
 Proszę cię napisz
 choćby na Berdyczów

Gołębie z Kraju są gorsze niż listy
 Nie używają poetyckich przenośni
 Trzaskają dziobami
 Poruszają wnętrze
 Domagają się rzeczy niemożliwych
 i psują nam smak niedzielnego popołudnia
 pijanego czerwonym Haut Medoc

Paryż, 1986

Jacek BIEREZIN

Jan PROKOP

**

Od czasu do czasu siada na moim czole ptak natchnienia
 widzę wtedy ludy w pochodzie smoki latające
 państwa upadają nad tronami unoszą się kłęby pyłu
 postaniec niesie wieść o zwycięstwie
 pada tocząc pianę z ust
 jest to bowiem Wielki Czas wymiar mityczny
 pozbawiony naszych środków przekazu
 pozbawiony radości oglądania przywódcy
 wypełniającego co wieczór swym obliczem mały ekran
 gdy matka przynosi kawę z mlekiem
 niemowle popłakuje Jacek naprawia termę
 dostałam dziś kilo kaszy mówi N.
 trudności aprowizacyjne skończą się niebawem
 Mój ptak składa skrzydła
 zeskakuje na etażerkę szukając sobie miejsca

obok posążku Buddy widokówek z Helu fajki
 pozostawionej przez Lutka
 który uciekł z naszego okrętu Purpura
 i podjął pracę w Houston rozlepiając afisze
 beatowego zespołu Wąsy Babci Stalin

**

Usiłując daremnie ocalić tonącego namalowanego motyla
 dwuletni N. odkrywa mur dzielący sztukę i życie
 dwie konieczności nie do uratowania
 biegnące odmiennymi torami choć stroją do siebie miny
 lecz wokół dym stalowni rozkwita zwycięski komunizm
 śpiewają syreny milicyjnych wozów i matek hymn w kolejkach
 [po obfitość dóbr

O stań się pasztetowej niewyczerpana mnogości
 i kartoflane morze niech nasz omywa próg

Jan PROKOP

Maciej Piotr PRUS

**

za głuche słowa pojednania
 ukryte w rękawie
 za dreszcze polarnej nocy
 i ciężkie kroki
 na pokładzie „Aurory”
 i za proch aby namóknąć

za groby nierozpoznane
 otulone śniegu szalem
 za chwile oczekiwania
 tak bolesne
 jak przebity drzazgą palec

za przecucie że jesteśmy starzy
 jeszcze starsi niż rodowe srebro
 i jak paciorki różańca
 przesuujemy się w palcach
 w te same słowa
 i w tę samą ciemność

ŻYDZI POLSCY

*Mała Sara miała dwa lata
jak płonęła i leciała
do Boga
Swieciła jak gwiazda
nad Izraelem
Myśmy siedzieli pod ziemią
w piwnicy
i już zostaliśmy tak
w tej Polsce*

Maciej Piotr PRUS

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

O religii bez namaszczenia

Korespondencja z Rzymu

TRZECIA PODRÓŻ

Podobnie jak dwie poprzednie podróże apostołskie Jana Pawła II do Polski, tak i trzecia, w czerwcu bież. roku obok znaczenia religijnego (tym razem zbiegającego się w sposób szczególny z II Krajowym Kongresem Eucharystycznym), ma na uwadze również cele społeczne. Komunikat Komisji Wspólnej przedstawicieli rządu i episkopatu z 8 kwietnia mówi o „podniesieniu moralności społecznej i umocnieniu porozumienia narodowego”, o „niezbędności unikania wszystkiego, co wypaczałoby taki sens i cel pielgrzymki papieskiej”. Episkopatowi najwyraźniej zależy na tym, by w czasie tej podróży nie doszło do zakłóceń przeszkadzających „budowaniu ładu moralnego narodu”. Głównym bowiem przeciwnikiem — zdaniem biskupów — nie jest władza, lecz bieda, apatia i frustracja społeczna, a zwłaszcza „poczucie zawodu, pustki i inercji”, charakteryzujące młodzież.

W Watykanie zaś, po ostatniej (21-28 kwiecień) — ocenionej nader pozytywnie — wizycie w Polsce arcybiskupa Silvestriego, sekretarza Rady d/s Publicznych Kościoła (potocznie nazywanego tu watykańskim ministrem spraw zagranicznych), panuje przekonanie o potrzebie jak najszybszej, pełnej normalizacji stosunków dyplomatycznych. Wiąże się to w optyce watykańskiej również z perspektywą poprawy stosunków z innymi stolicami bloku sowieckiego i z dążeniem do historycznego pojednania z Moskwą poprzez wykorzystanie szansy, jaką otworzył nowy kurs Gorbaczowa. Komunikat Konferencji Episkopatu z 2 maja br. mówi wprawdzie, że warunkiem wznowienia stosunków dyplomatycznych między Stolicą Apostolską a państwem jest „uregulowanie podstawowych problemów między państwem i Kościołem”, nie porusza jednak sprawy zatwierdzenia publiczno-prawnego statusu Kościoła, będącej przedmio-

tem rozmów od przeszło 10 lat. Prawdopodobnie wystarczy „wspólna deklaracja intencji” oraz rozwiązanie konkretnych problemów w formie szczegółowych ustaw lub zarządzeń (postulowana legalizacja stowarzyszeń katolickich, rozciągnięcie praw publicznych na Papieskie Wydziały Teologii, zwrot praw i majątku „Caritasu”, zabranego Kościołowi w 1952 roku itd.). Watykan porzucił w ostatnim czasie dawną opcję kompleksowych, ustawowych rozwiązań typu konkordatowego. Istnieje zresztą tendencja, by problematyka polska przestała być uważana za coś nadzwyczajnego i unikalnego.

Komunikat z w/w konferencji plenarnej biskupów mówi o tym, że „legat papieski, posłany do Kościoła lokalnego i państwa, stanowi oparcie i obronę dla pasterzy i wiernych”. Tkwi w tym zamiar uspokojenia tych duchownych i świeckich, którzy nie wyzyli się dotąd obaw z lat 70-tych, kiedy śp. kardynał Wyszyński przeciwstawiał się temu, by rozmowy czynników rządzących z Watykanem były prowadzone ponad jego głową. Ówczesne misje arcybiskupa Poggi, nuncjusza do specjalnych poruczeń, przebiegały zadowalająco z punktu widzenia założeń strategicznych śp. Prymasa, ale myśl o wbijaniu klina między Episkopat a Stolicę Apostolską była wciąż podsycana z powodu braku zaufania do rządu. Jej skutki psychologiczne przetrwały do dzisiaj. Od czasu podpisania 6 lipca 1974 roku protokołu o wymianie „zespołów do stałych kontaktów roboczych” pomiędzy Stolicą Apostolską i PRL, kardynał Wyszyński udzielał stałe poparcia misjom wysłannika papieskiego, ale nie miał złudzeń co do ich skuteczności. Opinia do tej pory pokutująca w Polsce, jakoby nuncjusz względnie stały delegat apostolski miał osłabić pozycję Episkopatu wobec rządu, prowadzi — zdaniem miarodajnych instancji watykańskich — do niepotrzebnych, a nawet szkodliwych nieporozumień. Wynika bowiem w dużej mierze z niezajomości charakteru funkcji stałego legata papieskiego, akredytowanego przy danym rządzie. Nuncjusz, względnie delegat apostolski, jako reprezentant Papieża, znaczną większość czasu i pracy poświęca Kościołowi lokalnemu, zarówno hierarchii i duchowieństwu, jak i społeczności wiernych, zwłaszcza działaniom laickim. Wspiera biskupów w ich stosunkach z władzami państwowymi na szczeblu centralnym i regionalnym. Nie trzeba chyba udowadniać, jakie to ma znaczenie, szczególnie w państwach komunistycznych, gdzie biskupi natrafiają na trudności, które interwencja nuncjusza może czasami przezwyciężyć. Następnie, z uwagi na swoją pozycję neutralną, jako przedstawiciel najwyższej władzy Kościoła Powszechnego, nuncjusz, względnie delegat apostolski, może spełniać ponadto funkcję mediacyjną w sporach w łonie Episkopatu i kleru. Wznowienie stosunków dyplomatycznych — w opinii miarodajnych czynników watykańskich i kościelnych w Polsce — będzie sprzyjać realizacji postulatów Kościoła.

Jak rysuje się z perspektywy watykańskiej trzecia podróż papieska do Polski z punktu widzenia jej wymowy społeczno-politycznej? Pierwsza podróż Papieża w 1979 roku spełniła funkcję stymulującą przeobrażenia społeczne, stanowiąc wstrząs psy-

chologiczny dla wielu ludzi, zwłaszcza czynnie zaangażowanych w ruch demokratycznym, w środowiskach inteligenckich i robotniczych. Nie została jednak właściwie odczytana: Papieżowi nie chodziło bowiem o doprowadzenie do gwałtownego starcia między władzą i społeczeństwem. Dopiero w następnym roku ten wstrząs nastąpił i pozwolił na powstanie „Solidarności”. W czasie drugiej pielgrzymki, w 1983 roku, przeważała funkcja kompensacyjna: Papież starał się podnieść na duchu i pocieszyć zranione społeczeństwo, mówiąc o „zwycięstwie moralnym” pomimo poniesionej realnej klęski. Od tego czasu upłynęły cztery lata, w których — jak twierdzą obserwatorzy watykańscy — Papież dokonał pewnej „korektury kursu” (*correzione di rotta*) poprzez m.in. zaniechanie triumfalistycznych akcentów i egzaltacji polskich „zwycięstw moralnych”. Ten kult zwyciężonych prowadził bowiem do negatywnych objawów samouwielbienia i na manowce. W czasie ostatniej wigilii Bożego Narodzenia, na spotkaniu z rodakami (przeważnie emigranci czekający na wyjazd do krajów stałego osiedlenia lub też na powrót do Polski pod wpływem doznanych rozczarowań i upokorzeń) Papież położył nacisk na „słabości narodowe i egoizm” oraz wyraził niepokój i zarazem ostrzeżenie, że „należy przezwyciężyć niebezpieczną opinię o braku perspektyw w ojczyźnie”...

Trzecia podróż w warunkach „powszechnej świadomości klęski” — jak twierdzi ks. prof. J. Tischner z krakowskiej Papieskiej Akademii Teologicznej (w katolickim miesięczniku *30 Giorni*) — odbędzie się pod znakiem odpowiedzi na pytania: czy zrozumielśmy dobrze nauczanie Papieża podczas poprzednich pielgrzymek? Czego Jan Paweł II oczekuje od nas? Jego zdaniem istnieje w społeczeństwie „gotowość przyznania się do win”. A podzielać ocenę zarówno biskupów, jak i niektórych intelektualistów z kręgów niezależnych, pisze z przejęciem o tragicznych następstwach klęski w dziedzinie moralnej i materialnej egzystencji.

Można zatem powiedzieć, że tę trzecią podróż papieską będzie znamionować funkcja terapeutyczna, polegająca na rozpoczęciu leczenia ułomności narodowych i frustracji społecznych. Chodzi o to, by społeczeństwo mogło się odrodzić, nie doszukując się we władzy jedyne źródła wszelkiego zła.

Z perspektywy watykańskiej stawka w grze jest jeszcze poważniejsza, bo przekracza wyłącznie polski aspekt tej podróży. W przeddzień swego wyjazdu do Moskwy na naukową konferencję międzynarodową na temat Tysiąclecia Chrześcijaństwa, zwołaną przez patriarchat rosyjski (od 12 do 15 maja), pewien wybitny ekspert watykański powiedział mi: w tej podróży i jej pożądanym skutkach chodzi o to, by nie tylko Kościół i władze, ale również społeczeństwo polskie w pełni zrozumiało i dojrzało do wielkiej szansy otwarcia ku Wschodowi, ku pojednaniu z ZSSR. Od tego bowiem zależy jego przyszłość. Jest to wyzwanie podobne do tego, którego Watykan nie docenił w pierwszych latach po rewolucji październikowej, w czasach Lenina — jak wynika m.in. z ostatnio wydanego, udokumentowanego tomu

ojca Antoine Wengera pt. „Rome et Moscou, 1900-1950” (mówi on o rozmowach genewskich w latach dwudziestych).

Dominik MORAWSKI

Pisane 10 maja 1987 r.

Zamieszczając korespondencję Dominika Morawskiego, wstrzymujemy się od komentarzy, odkładając je do zakończenia wizyty Papieża w Polsce. Nie ukrywamy jednak wielkiej obawy, aby polityka Watykanu nie okazała się nowym Monachium.

REDAKCJA

LIST DO SEKRETARIATU KS. PRYMASA POLSKI

Warszawa, 11 marca 1987.

Na konferencji prasowej w Brukseli 26 lutego br., odpowiadając na pytanie dziennikarza dlaczego mówi się o 6 milionach Polaków zamordowanych podczas okupacji hitlerowskiej, podczas gdy co najmniej połowę z nich stanowili Żydzi, ks. Prymas Glemp odpowiedział:

„Twierdzenie, że zginęło 6 milionów obywateli polskich nie wyklucza, że byli wśród nich Żydzi, jeśli pan potrafi określić liczbę ludzi pochodzenia żydowskiego wśród tych obywateli polskich, można będzie to uwzględnić”.

Stwierdzenie ks. Prymasa, bagatelizujące rozmiary i znaczenie dokonanej przez hitlerowców, w ramach *Endlösung der Judenfrage* — zagłady Żydów polskich, uważamy za niedopuszczalne zarówno w treści jak i w formie. Słowa ks. Prymasa stoją także w sprzeczności ze wspólną katolicko-żydowską deklaracją z Genewy, która wzywa m.in. do „walki przeciw dezinformacji i banalizacji Shoah”. W nadziei, że mamy tu do czynienia jedynie z lapsusem, nie oddajęmy rzeczywistego stanowiska ks. Prymasa w tej sprawie, zwracamy się do Sekretariatu ks. Prymasa z prośbą o wyjaśnienie. Zarazem, jako że wypowiedź ks. Prymasa miała charakter publiczny, publicznym czynimy także ten nasz list.

Magdalena Bocheńska, Krystyna Bratkowska-Łukowska, Andrzej Bratkowski, Zofia Bydlińska, Wojciech Chruściel, Dzika 6 m. 284, Stefan Czyżowicz, Pereca 13/19 m. 1418, Szymon Datner, Litewska 10 m. 15, Helena Datner-Spiewak, j.w., Marek Drabikowski, Hirszfelda 16 m. 73, Kinga Dunin, Dantyszka 1 m. 22, Marta Fik, Złota 66 m. 6, Małgorzata Gajkowska-Kurkiewicz, Wincentego 83 m. 3, Konstanty Gebert, Bagatela 13 m. 14, Krzysztof R. Górski, Natolińska 2 m. 37, Jan Herczyński, Freta 38 m. 1, Barbara Kawalec, Szara 14 m. 11, Aldona Klimczak, Tadeusz Klimczak, Anka Kowalska, Monika Krajewska, Waliców 20 m. 515, Stanisław Krajewski, j.w., Tadeusz Krawczyk, Kaukaska 9 m. 15, Stanisław Kruszyński, Korczyńska 6 A m. 30, Hanna Leszczyńska, Styki 23 A, Wojciech Maczkowski, Karmelička 15 m. 3, Agnieszka Makowiecka-Pastusiak, Elekoralna 8/10 m. 27, Elżbieta Malicka, Wojciech Malicki, Małgorzata Melchior, Ewa Milewicz, Ewa Monsieł-Doktor, Al. Wilanowska 39 m. 11, Elżbieta Nekanda-Trepka, Michał Nakanda-Trepka, Capri 5 m. 49, Feliks Pastusiak, Elekoralna 8/10 m. 27, Teresa Prekerowa, Al. Jerolimskie 23 m. 4, Katarzyna Prot-Herczyńska, Freta 38 m. 1, Janusz Stawiński, Włociańska 2 m. 28, Piotr Sommer, Szekspira 4 m. 24, Krystyna Starczewska, Dantyszka 2 m. 4, Stefan Starczewski, Grójceńska 19 m. 2, Tomasz Świerzewski, Francuska 41 m. 2, Zuzanna Toeplitz, Al. Armii Ludowej 6 m. 165, Krzysztof Turlejski, Wąbrzyska 26 m. 23, Henryka Zachariasz, Puławska 26 m. 23, Guido Zlatkes, Bednarska 24 m. 1.

Kraj

Notatki z Polski

(LUTY — MARZEC — KWIECIEŃ)

Podwyżki cen i reforma gospodarcza, gorbaczowska *glasnost*, zbliżająca się wizyta Papieża — te tematy w ostatnich tygodniach skupiały uwagę polskiego społeczeństwa.

Ogłoszone 28 marca zmasowane podwyżki cen żywności i wielu innych artykułów powszechnego użytku (w tym węgla) dla nikogo nie były niespodzianką, od dawna spekulowano, jaka będzie ich wysokość. Pierwszy wiarygodny przeciek — wewnętrzny okólnik Departamentu Planowania Cen Ministerstwa Finansów, ujawniony przez prasę podziemną w końcu ub. roku — zapowiadał na 1987 rok średnio 13-procentowy wzrost cen żywności, zaś łącznie towarów i usług — 9,5 % w stosunku do grudnia 1986 (a więc nie w stosunku do średnich cen minionego roku!). Już w styczniu nastąpiła pierwsza przymiarka: w niektórych województwach podniesiono ceny nabiątu i wyrobów garmażeryjnych, ale po paru dniach rząd się wycofał, powołując się na protest OPZZ, który uzasadniał swój sprzeciw wrzeniem w zakładach. Nie ulegało wątpliwości, że zrobiono jedynie chwilowy manewr, były nawet podejrzenia, że jest to rodzaj spektaklu odegranego w celu uwiarygodnienia neozwiązków.

Stanowisko „Solidarności” wobec oczekiwanych podwyżek, sformułowane w styczniowym oświadczeniu — podpisanym wspólnie przez TKK, TR „Solidarności” i Lecha Wałęsę — było jednoznaczne: wzrost cen może być zaakceptowany tylko jako element reformy gospodarczej o charakterze rynkowym, ponadto muszą mu towarzyszyć działania zabezpieczające najuboższe grupy ludności przed nędzą.

„Z powodu plotek o dużych podwyżkach cen sytuacja społeczna jest dość niespokojna”, „realizacja podwyżek może wywołać znaczny wzrost niezadowolenia na tle płacowym”, „w róż-

nych środowiskach powątpiewa się, czy podwyżkom cen towarzyszy właściwe rozeznanie sytuacji materialnej pracowników" — tak oceniali w połowie marca nastroje społeczne komitety wojewódzkie PZPR w poufnych informacjach dla KC. Wyrazem tych nastrojów jest permanentna presja na płace: przez cały czas prasa podziemna informuje o pojedynczych strajkach, nieodbieraniu pensji czy premii, starciach z dyrekcją, wreszcie licznych wymówieniach pracowników opłacanych w swoim mniemaniu zbyt nisko.

Jednak mimo napięcia w zakładach apel TKK z 31 marca wzywający zakładowe ogniwa „Solidarności” do akcji strajkowych z żądaniem natychmiastowych podwyżek płac wyrównujących wzrost cen, okazał się chybyony. Nie poprzedzał go choćby sondaż opinii, nie towarzyszyły mu też żadne posunięcia organizacyjne typu akcji ulotkowych czy spotkań z TKZ-ami. Napisany językiem dawnych wezwań TKK — które wówczas uwiarygodniały podpisy ukrywających się przywódców podziemia i w które uważnie wsłuchiwało się niemal całe społeczeństwo — dziś zabrzmiał anachronicznie. Sytuacja w „Solidarności” zmieniła się na tyle, że nie można oczekiwać, by głos TKK docierał do ludzi po kilku dniach. Dodatkowe nieporozumienie wprowadził fakt, że korespondenci zagraniczni komentowali ten apel jako ogłoszenie strajku generalnego, tak że rzecznik prasowy Związku, Janusz Onyszkiewicz, musiał wyjaśnić: „TKK apeluje tylko o używanie w obronie zagrożonego poziomu życia nawet broni strajkowej, w zależności od sytuacji lokalnej i w czasie uznanym przez TKZ-y za najwłaściwszy”.

Nie ulega wątpliwości, że robotnicy nie będą dziś strajkować całą Polską, natomiast gotowi są do wymuszania podwyżek płac u siebie w zakładzie poprzez niezorganizowane przerwy w pracy, bez sztyku „Solidarności” i bez przywódców. Dzieje się tak choćby dlatego, że ten rodzaj nacisku okazał się w ostatnich latach najskuteczniejszy. W tej dziedzinie podwyżki nie stały się żadną cezurą. Było wprawdzie kilka strajków, ale nie doszło do żadnych wystąpień o szerszym zasięgu, nawet we Wrocławiu, gdzie Władysław Frasyniuk na kilka dni zszedł do podziemia, by rozeznać się w nastrojach i możliwościach zakładowych ogniów Związku. Odbyło się natomiast kilka spektakularnych protestów: w Krakowie manifestacja na Rynku, w Nowej Hucie pod „Arką”, we Wrocławiu trzy marsze z transparentami, w Warszawie wielkie napisy na tramwajach „podwyżki — stop!” i ponad 100 tys. ulotek.

Wszystko to nie znaczy, by podwyżki przeszły bez echa. Jak nigdy dotąd, zgodne były głosy Lecha Wałęsy i neo-związków, Episkopatu Polski i rządowych ekonomistów. Prof. Józef Pajestka na łamach *Życia Gospodarczego* powiedział: „Metodami cenowymi czy nawet cenowo-dochodowymi nie rozwiąże się problemu równowagi gospodarczej. Za kilka miesięcy znów bowiem stanimy wobec konieczności łapania równowagi operacją cenową. Który to już raz? Czegoś takiego nie wytrzyma żadne społeczeństwo i żadna władza”.

Po obu stronach — zarówno rządowej, jak i solidarnościowej — istnieje co do tego pełna zgodność. Dyskusja nad programem gospodarczym Związku ostatnio znacznie się ożywiła, obracając wokół takich problemów jak: zakres rynku, priorytet sektora państwowego czy prywatnego, konieczność jednoczesnych reform politycznych, formy własności, rola samorządu, zabezpieczenie socjalne. Wielokrotne spotkania szerokiego grona ekspertów ekonomicznych „Solidarności”, którym sporo miejsca poświęciła prasa podziemna, doprowadziły w końcu, po konsultacjach w regionach, do opublikowania w kwietniu „Stanowiska NSZZ 'Solidarnosc' w sprawie sytuacji i kierunków przebudowy gospodarki polskiej”.

Nie próbując tutaj oddać nawet najważniejszych wątków tego obszernego dokumentu, zacytuemy kluczowe stwierdzenia: „(...) Za sprawę zasadniczą (...) uważamy jak najszybsze i najszerze odblokowanie naturalnych sił aktywności i przedsiębiorczości poprzez zniesienie ograniczeń i restrykcji, które hamują obrót gospodarczy i utrudniają powstawanie nowych inicjatyw (...). Domagamy się głębokiej reformy, która stworzy równouprawnienie wszystkich sektorów własności, odrzucając doktrynalne dogmaty; która ograniczy rolę i funkcje państwa w gospodarce, przywracając mechanizmom rynkowym rolę podstawową; która poprzez rozwój samorządu pracowniczego i akcjonariatu pracowniczego będzie wspomagać proces uspołecznienia życia gospodarczego” (...).

Niemal w tym samym czasie, przed samymi świętami Wielkanocnymi, rząd ogłosił „Tezy w sprawie II etapu reformy”. Od wielu miesięcy wydawało się na podstawie oficjalnych enuncjacji władzy, że jest on już w toku (dla przykładu w grudniu ub. roku plenum KC zobowiązało Biuro Polityczne, by raz w miesiącu oceniało przebieg wdrażania II etapu). Tymczasem Urban na konferencji prasowej 24 marca oświadczył, że „program II etapu nie został jeszcze skonkretyzowany”. To, co docierało do opinii publicznej przez ten miesiąc do czasu opublikowania „Tez...” za pośrednictwem tychże konferencji składało się na obraz pełnego zamętu. I tak 31 marca rzecznik rządu roztoczył przed dziennikarzami wizję przełomowych zmian wymieniając jednym tchem: rozwijanie gospodarki wielosektorowej, tworzenie własności mieszanej państwowo-prywatnej i państwowo-społdzielczej, zniesienie reglamentacji surowców, wypuszczenie akcji i obligacji, reformę banków, ograniczenie liczby ministerstw i urzędów centralnych. Podobnie wypowiedział się w Sztokholmie i nagle po paru dniach stanowczo zdementował własne słowa. Zaraz potem okazało się, że zamierzenia reformatorskie rządu są więcej niż skromne: na posiedzeniu Komisji d/s Reformy (zreferowanym w *Życiu Gospodarczym*) większość rządowych ekonomistów skrytykowała przedstawiony tam projekt II etapu tak gruntownie, że nie było mowy, by firmowała go Komisja. Z drugiej strony, po mieście zaczęły krążyć informacje z wiarygodnych przecieków, że w najbliższych dniach powołany zostanie rząd ekspertów z prof. Baką, byłym ministrem d/s reformy jako premierem.

Doszło do tego, że nawet generał Kiszczak przedstawił publicznie swoją, oczywiście policyjną, wersję reformy, której oryginalnym elementem był pomysł rekwirowania przedsiębiorstwom samochodów za jazdę bez ładunku.

Wszystkie te sprzeczne sygnały zdają się wskazywać, że nie były to wyłącznie manewry propagandowe dla stonowania nastrojów po podwyżkach czy dla wprowadzenia w błąd Zachodu, lecz wyraz sporów i wahań w łonie ekipy rządzącej. O tym, że wciąż jeszcze nie rozstrzygnięto nawet najbardziej podstawowych kwestii, świadczy wypowiedź szefa Komisji Planowania, Manfreda Gorywody, który 25 kwietnia na posiedzeniu — ta nazwa mówi sama za siebie — „sztabu sterującego kampanią wyjaśniająco-konsultacyjną w sprawie II etapu reformy” powiedział: „nie dajemy jeszcze pełnej odpowiedzi na wiele pytań, np. dokąd w gospodarce socjalistycznej można rozwijać własność prywatną czy też jak daleko mogą sięgać drapieżne reguły gry rynkowej”. Same zaś „Tezy” proponują rozwiązania nawet nie połowiczne: co prawda sugerują przebudowę centrum, reformę banków i systemu finansowego przedsiębiorstw oraz pewną rozbudowę mechanizmu rynkowego, ale w sumie jeszcze bardziej odsuwają reformę w czasie.

W ostatnich dwóch-trzech miesiącach jeśli bierzemy do ręki czy to jednokartkowe gazetki zakładowe czy opaste miesięczniki i kwartalniki, nie mówiąc o warszawskich tygdnikach PWA, TM, Kos — wszędzie znajdujemy materiały o ZSSR i o Gorbaczowie. Nigdy dotąd o żadnym I sekretarzu KC KPZS w prasie niezależnej, a więc odzwierciedlającej w jakiejś mierze zainteresowania i opinie społeczeństwa — nie pisano tyle, co o nim właśnie. Kolejny symptom tego zainteresowania: trudno dostać w Warszawie sowiecką prasę (*Ogoniok* czy *Literaturną Gazetę*), która do niedawna zalegała kioski, słyszy się komentarze na temat emitowanego z Moskwy programu TV (głównie zresztą są to wyrazy rozczarowania, że przynajmniej w tym co nam serwują — jakoś nie widać *glasnosti*). Dodajmy do tego, że w Warszawie odbyło się nieoficjalne seminarium na temat Gorbaczowa oraz że na spotkaniach i prelekcjach przy duszpasterstwach ludzie wciąż pytają o nową politykę genseka. W ogóle o Gorbaczowie dziś się w Polsce mówi na spotkaniach towarzyskich, w kolejkach, w taksówkach. Jest to jeden z bardziej poruszających tematów, i to nie tylko wśród inteligencji. A trzeba przecież pamiętać, że zainteresowanie to przebiło się przez mocno utrwalony stereotyp robienia na złość władzy, która całymi latami zabiegała, by nie odrzucono automatycznie wszystkiego, co sowieckie. Może zresztą ludzie czują, że w tej chwili takie nastawienie nie jest władzy na rękę?

Wszystko to nie oznacza oczywiście, że Polacy uwierzyli w gorbaczowską *glasnost'* i *pieriestrojkę*, że wiążą z nimi zbyt wielkie nadzieje. Po prostu uważniej niż kiedykolwiek ludzie przypatrują się temu, co się dzieje u Wielkiego Brata. I tak np.

w pismach podziemnych większość materiałów ma charakter informacyjny i nie formułuje jednoznacznej oceny procesów zmian w ZSSR. Można jednak w oparciu o nie wyróżnić pewne postawy, charakterystyczne — jak się wydaje — dla polskiego społeczeństwa.

Z jednej strony są więc „nieprzejednani”, którzy wszystkie poczynania Gorbaczowa traktują jako działania pozorne, propagandowe manipulacje obliczone na otumanienie Zachodu i wprowadzenie w błąd własnego społeczeństwa. Twierdzą oni, że po osiągnięciu swoich celów wróci on do starych porządków i po odnowie nie zostanie ani śladu. Na drugim biegunie plasują się nieliczni entuzjaści, którzy zresztą wierzą nie tyle w samego I sekretarza, co w nieodwracalność zmian w świadomości społecznej zainicjowanych przez jego politykę. Ci sądzą, że będzie to początek rzeczywistej demokracji w całym bloku (nie mówimy tu oczywiście o entuzjastach z rodzimego aparatu, tacy bowiem nie ujawnili się do tej pory). Najbardziej rozpowszechniona jest postawa sceptycznego wyczekiwania. Polskie społeczeństwo w swojej masie uważa, że w ZSSR jak dotąd nie dokonały się żadne autentyczne zmiany, nie wprowadzono tam nic takiego, co nie dałoby się cofnąć w 48 godzin.

Oczywiście i nieprzejednani, i entuzjaści, i sceptycy zadają sobie to samo podstawowe pytanie: co rozluźnienie za wschodnią granicą może przynieść Polsce? Odpowiedź najczęściej brzmi tak: jak na razie reformy Gorbaczowa nie muszą prowadzić u nas do żadnych zmian, choćby dlatego, że wciąż jesteśmy społeczeństwem o tak dużym stopniu podmiotowości, o jakiej w Rosji nikomu się nie śniło, a polskie władze już dawno zostały zmuszone przez zorganizowany nacisk społeczny do wprowadzenia reform znacznie dalej idących niż to, co głosi I sekretarz KPZS.

Natomiast są w Polsce ludzie, którzy uważają, że *pieriestrojka* w ZSSR stanowi rodzaj bicza na ekipę Jaruzelskiego, którą można popychać ku liberalizacji i demokracji odwołując się do hasła „Gorbaczow”. Pojawiają się nawet jakby scenariusze wykorzystywania kremlońskiej odwilży dla forsowania zmian w Polsce (takie sugestie formułuje np. publicysta podziemny Janusz Białołęcki czy Jacek Kuroń). Przy założeniu, że Moskwa będzie musiała zaakceptować nasze prawo do inności, do posiadania instytucji społeczno-politycznych odbiegających znacznie od wzorca sowieckiego — problem polega na tym, by nie dać się dogonić, by utrzymać dystans wypracowany w ciągu 40 lat oporu i walki. Fakt, że w Rosji jednak drgnęło, umożliwia skuteczniejsze wywieranie presji na północ, a nas krok czy dwa dalej. Zwłaszcza, że coraz bardziej traci na znaczeniu tradycyjny straszak sowieckiej interwencji: im dalej będzie szedł Gorbaczow, tym ludziom w Polsce będzie się ona zdawała mniej prawdopodobna i tym większe będą możliwości nacisku.

Nie wydaje się, by szersze kręgi społeczeństwa dostrzegały możliwość wykorzystania poczynania Gorbaczowa dla wywierania presji na polskie władze. Dysponujemy zaledwie kilkoma przykładami, które — choć incydentalne — wydają się być wartymi odnotowania.

wania. Oto na zebraniu Rady Naukowej PAN doc. Michał Głowiński odwołał się do gorbaczowowskiej odwilży ubolewając, że w Polsce mimo to nic się nie zmienia, a w Instytucie Badań Literackich nadal ze względów cenzuralnych utracą się publikacje i represjonuje osoby niemile widziane przez władzę (charakterystyczne, że odpór dał mu szef Instytutu, były kierownik Wydziału Kultury KC, Witold Nawrocki stwierdzając, że jest przeciwnikiem „mechanicznego przenoszenia wzorców sowieckich na grunt polski”). Oto w bydgoskiej gazecie „Solidarności” informacja z sowieckiej prasy o aresztowaniu grupy milicjantów, którzy dokonywali napadów z bronią w rękę, opatrzona została tytułem „To naśladować!” oraz komentarzem: „Zwracamy uwagę stosownych instytucji w PRL, że jest to chyba pierwszy przypadek kiedy podziemna prasa wzywa do naśladowania sowieckich wzorów”. Oto w rocznicę Marca 68 studenci wrocławscy urządzili rajd z transparentami „Chcemy Gorbaczowa”; takie same hasła pojawiły się w Krakowie na demonstracji przeciwko podwyżkom w początkach kwietnia. Oto Lech Wałęsa, przemawiając do tłumów zgromadzonych przed kościołem św. Brygidy w Gdańsku w dzień po ogłoszeniu podwyżek, powiedział: „Popieram reformy, jakie w Rosji przeprowadza Gorbaczow”.

Oczywiście, ciężar gatunkowy tych faktów jest niewielki. Można się jednak zastanawiać czy nie są one symptomatyczne.

Trudno oprzeć się się wrażeniu, że przygotowania do trzeciej pielgrzymki Papieża odbywają się w jakiejś innej atmosferze niż w roku 1979 i 1983. Nie towarzyszy im ani taki entuzjazm, ani tak wielkie nadzieje jak poprzednio. Przed czterema laty wierzono choćby, że Jan Paweł II wynegocjuje zwolnienie więźniów politycznych, dziś nikt się nie łudzi, że wizyta Papieża będzie miała znaczące skutki polityczne. Co więcej, ludzie spodziewają się raczej, że jego wyjazd zakończy okres zawieszania i znowu zaczną się ostre represje. Krąży nawet plotka, że w lipcu zostały odwołane wszystkie urlopy w MSW i wojsku.

Jeśli uznać prasę podziemną za odbicie nastrojów społecznych, to musi zastanawiać, że jak dotąd pielgrzymka papieska jest w niej nieomalże nieobecna. W nielicznych materiałach, jakie się ukazują, wyczuwa się rodzaj rozczarowania, że tym razem do przyjazdu Ojca Świętego przygotowuje się nie Kościół wraz z narodem, lecz Episkopat i państwo. Z jednej strony, arcybiskup Dąbrowski i ks. Orszulik na spotkaniu redaktorów naczelnych prasy katolickiej powiedzieli, że władza wykazuje „daleko idące zrozumienie” i „niesłychaną życzliwość” oraz że prawie nie ma postulatów, których by nie spełniała. Z drugiej strony, lektor KW w Koninie na zebraniu aktywu partyjnego jednego z największych zakładów województwa stwierdził: „Pobyt będzie miał charakter kościelno-państwowy. Z góry planuje się trzy spotkania Papieża z Jaruzelskim. (...) W województwach będzie wszędzie witany nie tylko przez biskupów, ale osobiście przez wojewodów (...). Rzeczywiście chcemy zrobić ukłon pod adresem

Papieża. Jest on konieczny w dzisiejszych czasach, my po prostu nie jesteśmy zainteresowani konfliktowaniem”.

Wydaje się, że panuje pełna zgodność między władzami a Episkopatem, że trzecia pielgrzymka ma sprzyjać normalizacji stosunków Kościół-państwo. Poufne informacje KC stale podkreślają dobrą wolę władz kościelnych (to np. że już teraz apelują one do księży, by nie poruszali w kazaniach tematów politycznych) i harmonijne współdziałanie z nimi w organizowaniu zbliżającej się wizyty. Uzgodniono np. że należy wyeliminować wszystkie transparenty i sztandary oprócz kościelnych* (poprzednio solidarnościowe stanowiły dominujący akcent), że w programie nie znajdzie się gdański Pomnik Poległych Stoczniovców. W tej atmosferze nie dziwi zachowanie rektora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, bpa Hemperka, który nakazał usunąć z witrzyn uniwersyteckiej księgarni wydawnictwa z podobiznami Lecha Wałęsy, ks. Jerzego Popiełuszki i Czesława Miłosza, by nie drażnić oficerów MSW, którzy przybyli na KUL „dla zabezpieczenia obiektów przed wizytą Papieża”.

Oczywiście, sam przebieg pielgrzymki może spowodować zmianę nastrojów, przecież Papież już nie raz umiał znaleźć właściwą formułę mówienia do Polaków. Teraz wydaje się, że będzie skrupowany nie tylko tym, że jego wizyta ma służyć normalizacji stosunków Kościół-państwo, ale i wymogami watykańskiej *Ostpolitik* (perspektywa odwiedzenia ZSSR). Nie wyklucza to jednak, że usłyszymy od niego słowa, które — jak i poprzednio — staną się ważkim przesłaniem moralno-politycznym.

Każda pora roku w PRL ma swoje klęski żywiołowe. Tej wiosny Wisłą zaczęła płynąć — trafiając do kranów warszawskich mieszkań — brązowa cuchnąca woda. Gazety uspokajały że co roku wraz z wiosennymi roztopami spływają do rzek wymywane z pól związki azotowe i że podejrzaną ciecz można pić bez szkody dla zdrowia. W tym akurat wypadku uspokajano, ale w ogóle oficjalna prasa bije na alarm, opisując niewiarygodne wprost zanieczyszczenie środowiska w wielu regionach kraju. Zatruta woda, wymierające lasy, skażone powietrze i żywność — taki obraz wyłania się z tej lektury. Ostatnio ekologią zaczęły się w większym stopniu zajmować również regionalne jawne rady „Solidarności”. W marcu i kwietniu ogłosiły one raporty o stanie środowiska w konińskim, opolskim i lubelskim, bardziej alarmujące od danych oficjalnych. Zwracają tam uwagę, że władza — choć dziś jest już skłonna przynajmniej do rozmiarów zagrożenia ekologicznego — w dalszym ciągu nie robi niczego, by zahamować postępującą degradację środowiska naturalnego.

(j.a.)

* Trudno sobie wyobrazić, jak coś takiego Episkopat mógłby wyegzekwować. Wiadomo co prawda, że w tej sprawie ks. Orszulik rozmawiał z L. Wałęsą, jednak i ten nie chciał się w ogóle angażować w tę sprawę.

jednak o niełatwe pogodzenie trzech podstawowych czynników: funkcji, którą jest modlitwa wymagająca odpowiedniego nastroju, tradycji, która jest z tym ściśle związana, bo jest wynikiem wielowiekowego rozwoju i wreszcie współczesnego ujęcia dla wykazania, że wiara nie jest sprawą przeszłości lecz że w dalszym ciągu trwa.

Projekty kościelne stały się więc wśród architektów pożądanym tematem pracy. Niezależna twórczość stworzyła jednak także problemy niełatwe do rozwiązania. Na to żeby taka twórczość należycie funkcjonowała musi być ujęta w kodeks etyki zawodowej, określający ściśle ramy w jakich ma się ona odbywać. SARP (Stowarzyszenie Architektów Rzeczypospolitej Polskiej) podjął wprawdzie kiedyś uchwałę w tej sprawie, ale zamiast związłymi paragrafami operuje ona wniosłą kazuistyką na temat celów architektury w ogóle, co może być dowolnie interpretowane. W rezultacie zaistniały warunki, w których wygrywają ci, którzy mają „większe plecy” i mniej skrupułów, a artystyczny poziom pozostawia dużo do życzenia. Zdawałoby się, że oczywistym rozwiązaniem problemu mogłyby być konkursy, ale takie w których obowiązywałaby anonimowość. To jednak w konkursach organizowanych przez SARP jest już tylko wspomnieniem przedwojennych czasów, od dawna zarzuconym*.

Artykuł ten zatytułowałem „zawód architekta w Polsce wczoraj i dzisiaj”. Kończę go pytaniem jaki będzie on jutro?

Stanisław PIOTROWSKI

* Przed wojną przepisy konkursowe wymagały, by do każdego projektu dołączona była zalakowana koperta, zawierająca imię i nazwisko autora pracy. Te które nie były nagrodzone odbierało się z kopertami o nienaruszonych pieczęciach, co dawało gwarancję, że nie były otwierane. Obecnie te koperty się pali, co oczywiście nie daje żadnej rękojmi, że po rozstrzygnięciu konkursu nie zostały otwarte i „niewygodni” architekci pozbawieni nagrody.

W A W E L PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Sprawy i troski

40 lat polskiej prasy w Australii

W 1949 roku ksiądz Konrad Trzeciak, C.M. zdecydował że rozpocznie wydawanie pisma, „które by w języku dostępnym dla wszystkich podawało z jednej strony wiadomości ze świata, a jednocześnie ułatwiałoby nowoprzybyłym do Australii rodakom zrozumienie nowych warunków i nieznanego języka”. Oraz „aby choć częściowo pomóc rodakom-katolikom w przełamaniu napotykanym trudności, dając równocześnie godziwą rozrywkę po trudach tygodniowej pracy”. Pisma, które winno być „pomocą i łącznikiem wszystkich Polaków-katolików w Australii”.

W pierwszej fazie ks. Trzeciak był redaktorem, wydawcą, maszynistą, drukarzem i administratorem. Już wkrótce przekonał się, że jego trudy nie szły na marne i że Polacy, „odczuwali potrzebę takiego właśnie jak nasze piśmię”. Kapłańsko skromna, ta opinia nadal jest aktualna — pismo polskie w Australii wciąż jest potrzebne.

Tak powstał *Tygodnik Katolicki* wychodzący obecnie pod tytułem *Tygodnika Polskiego*, i już nie piśmię tylko — wnioskując z poczytności — a poważne pismo, tak samo popularne i szanowane przez społeczeństwo jak i wtedy, blisko czterdzieści lat temu. Wypada dodać, że zmiana tytułu nastąpiła za zgodą księdza Trzeciaka, udzieloną ówczesnemu redaktorowi, Romanowi Gronowskiemu.

Tygodnik Polski, obecnie pod redakcją Jerzego Grot-Kwaśniewskiego, nie jest jedynym piśmiem polskim w Australii. Tak się złożyło, że Polonia australijska miała specjalnie sprzyjające warunki dla posiadania w krótkim czasie dobrej prasy na antypodach. Można powiedzieć bez przesady, że powojenni emigranci polscy dosłownie przyszli do gotowego. Albowiem już na kilka lat przed zawieszeniem broni znalazła się tu grupa inteligentów osadzonych na australijskiej mieliźnie przez wojenne losy. Trzej konsulowie i jeden zawodowy dziennikarzy, do których potem dołączył jeden bezrobotny ambasador. Dr S. Gruszka, W. Noskow-

ski, dr Z. Przybyłkiewicz, redaktor R. Krygier i ambasador A. Poniński — zaczęli wydawać najpierw biuletyn informacyjny (1942 rok), który potem przekształcił się w *Wiadomości Polskie*, rozsyłane do Polaków na adresy posiadane przez sydneyjski konsulat RP.

Wiadomości Polskie wychodzą po dziś dzień. Jako jedenasty z kolei redaktor objął je w 1954 roku Jan Dunin-Karwicki i wciąż je wydaje, z tą samą energią, pomimo że nie jest już taki młody. Utrzymanie redakcji przez jednego człowieka od 34 lat, to nie lada wyczyn w naszym wolnym społeczeństwie — niewolnym wszelako od zawiści, zazdrości, intryg i kopania dołków, na co redaktor jest wystawiony na każdym kroku. Niektórych to do bija, innych tylko bardziej hartuje.

Jednak nikt chyba nie zaprzeczy że to ks. K. E. Trzeciak zasługuje na tytuł ojca prasy polonijnej powojennej emigracji australijskiej. Wszyscy inni, włącznie z niezmordowanym Karwickim, przyszli do istniejącej już placówki, do redakcji na chodzie. Żaden z nich nie zaczął w tak trudnych jak trzeciakowe warunkach.

Jasne jest, że nawet najzdolniejszy i najbardziej gotowy do poświęceń redaktor-wydawca-administrator w jednej osobie nie mógł liczyć na kontynuowanie gazety bez współpracowników. Na dłuższą metę sam entuzjazm nie rozwiązywał problemu. Zdawał sobie z tego sprawę ks. Trzeciak gdy otwarcie i w druku wzywał do współpracy wszystkich. Może on — i inni redaktorzy po nim — wierzył w to co podobno kiedyś powiedział pewien Anglik: że „gdzie są dwaj Polacy, tam powstaną trzy gazety”. Jest w tym sarkazmie więcej niż ziarno prawdy.

Przed wszystkim potrzebni byli piszący, obdarzeni tym czego nie można nauczyć się w żadnej szkole: talentem dziennikarskim, czyli zdolnością informowania bez nudzenia. I pod tym względem dochodząca do osiemdziesięciu tysięcy masa emigrantów polskich w Australii miała szczęście. Już w pierwszej fali znalazło się tu aż siedmiu przedwojennych dziennikarzy zawodowych, wśród nich pięciu z uniwersyteckimi dyplomami. Byli to: Eugeniusz Bajkowski, Edmund Jakubowski, Ludwik Kruszelnicki, Ryszard Krygier, Adam Nasielski, Władysław Polak i Bronisław Syrokomla-Stefanowski.

Do tej siódemki w najbliższych latach dołączyła jakaś trzyczestka uzdolnionych amatorów, z których potem wyłoniły się takie talenty jak Chciuk, Gawroński, Grot-Kwaśniewski, Gronowski, Kleberg, Korpowski, Nowacki, Racięski, Suski i wielu innych. Pisywali przeważnie do obu tygodników. Ponadto ksiądz Trzeciak potrafił wciągnąć do współpracy aż dziewięciu księży z Franciszkiem Arciszewskim i Wojciechem Sojką na czele.

Marian Szczepanowski w swoim zarysie monografii *Wiadomości Polskich* wymienia ponad siedemdziesiąt nazwisk stałych i okazyjnych współpracowników zasilających tygodnik swoimi utworami. Jerzy Dobrostański w opracowaniu historii *Tygodnika Polskiego* wlicza około trzydziestu mniej więcej stałych współpracowników.

„Złoty wiek” polskiej prasy w Australii przypada na lata 1954-1974 — erę entuzjazmu piszących i czytających, okres zdrowej rywalizacji, polemik, licznych i realistycznych (w przeciwstawieniu do czysto grafomańskich) listów do redakcji; okres dodatków: młodzieżowych, harcerskich, sportowych; konkursów piękności i ankiet. W tym też czasie powstały inne gazety — produkty superoptymizmu niektórych jednostek marzących o laurach edytorskich jako biletach wstępu do historii emigracji. Rezultatem były pisma niekiedy nawet o dużej wartości lecz małej wytrzymałości: *Echo* w Perth, *Głos Polski* w Melbourne (mutacja), *Nasza Droga* w Adelajdzie i stojące na wyjątkowo wysokim poziomie ale krótkotrwałe *Forum*. Nie wolno też zapomnieć o *Kombatanckim*, wydawanym przez Wiktora Larysa-Domańskiego, magistra farmacji, który okazał się nadspodziewanie bystrym, wnikliwym choć czasami zbyt zawziętym redaktorem. Tu też można wspomnieć kilka efemeryd jakie ukazywały się mniej-więcej pod egidą tutejszej placówki konsularnej. Wcale nie najgorsze, zmarły śmiercią naturalną na brak dostatecznej poczytności i reklamowego poparcia.

Wtedy, w okresie szczytu rozwojowego prasa polonijna była naprawdę australijsko-polska. Zatrudniała przede wszystkim tutejszych współpracowników z dużym odsetkiem dziennikarzy z prawdziwego zdarzenia; interesowała się problemami tutejszej Polonii; była czytana z dumą przez odłam społeczeństwa dla którego te dwa pisma stały się instytucją. Wtedy hasło Gronowskiego „Nie ma tygodnia bez Tygodnika” było czymś więcej niż sloganem — było prawdą.

Trzeba podkreślić, że nasza prasa w Australii nigdy nie była subsydiowana finansowo — potrafiła utrzymać się własnymi siłami i to było w równej mierze zasługą redakcji jak i społeczeństwa. Pomimo to — w porównaniu z ilością potencjalnych czytelników — jej nakłady były, i wciąż są, proporcjonalnie nikome, wystarczające na utrzymanie się na powierzchni, lecz nie gwarantujące takich zysków na jakie zasługiwała. Może, co wygląda na paradoks, była za dobra, stała na zbyt wysokim poziomie jako lektura dla „lepszych gości”, nie dla masowego odbiorcy. Jakiegoś robotnika w odlewni stali zainteresuje na przykład artykuł zatytułowany: „Hoene-Wroński — odkrywca absolutu”?

Siłą rzeczy, tygodniki nie były nastawione na gorące czy nawet ciepłe nowiny — ani lokalne, ani zagraniczne — bo gazeta tygodniowa jest post-datowana, drukowana przed nowinami i rozsyłana zwykłą pocztą na dość dalekie odległości, nierazdo na tysiące kilometrów tego wielkiego kontynentu. Rozumiał to od początku każdy inteligentny czytelnik, który już wkrótce nauczył się zaspokajać głód nowin radiem, telewizją i normalnymi dziennikami australijskimi, które niektórzy wciąż określają jako „prawdziwe gazety”, nie stanowiące jednak konkurencji dla naszych tygodników, bo prawie nikt nie czyta *Tygodnika* czy *Wiadomości* dla nowin — tylko dla ich polskości. Zdawali sobie z tego sprawę redaktorzy i wynikiem był — i jest — tygodnik raczej rozrywkowy, trochę literacki, z dostateczną dozą patriotyzmu za-

barwionego ostatnio na solidarnościowo; szczypta humoru, prymitywna krzyżówka dla początkujących i tak zwane nowinki z naszego podwórka z wiadomościami czasem spóźnionymi o kilka miesięcy, powiedzmy z komunikatem jakiegoś październikowego zebrania wydrukowanym w styczniu następnego roku. Ale i na to nikt jakoś za bardzo nie narzeka, bo mamy tu bardzo cierpliwych, lub bardzo obojętnych czytelników; grunt że gazeta jest polska, nasza, nie nudna i ukazująca się regularnie. Jednym słowem: swojska. Pomimo to widoki na zwiększenie nakładów są raczej mgliste.

Wraz z zadowoleniem się na australijskiej glebie następowało kształcenie młodzieży w tutejszych szkołach. Ci młodzi poczuwają się do polskości, lecz nie do tego stopnia aby zaprenumerować nasze gazetki, bo nie jest pewne czy by je naleźycie zrozumieli. A ich deklaracje patriotyczne, nie zawsze własnej redakcji, to już raczej frazesy, klasyczna anglosaska *lip service* — bez względu na to co piszą o nich starsi, ulegający zapałowi *wishful thinking*.

A tych starszych jest coraz mniej. Nieubłagany czas robi swoje i szereg zaprzysiężonych czytelników naszych gazet wykruszają się. Już niewielu ich pozostało. I gdyby nie napływ po-solidarnościowej imigracji nakłady naszych tygodników byłyby z roku na rok coraz bardziej nieekonomiczne, może nawet katastrofalne. Nie bez powodu nasi redaktorzy tak szczerze i tak często chwalą *Solidarność* — chyba też dla jej australijskich konsekwencji demograficznych: jej członkowie to nie tylko wartościowi Polacy, to też potencjalni czytelnicy, szczególnie w pierwszych miesiącach na obczyźnie, kiedy polska gazeta lokalna jest wprost psychologiczną potrzebą.

Nie tylko starzy czytelnicy wymierają. To samo odnosi się do tych, którzy dla tych czytelników tak entuzjastycznie pisali.

Już nie żyją: Chciuk, prof. Goebel, dr Goldschlag, red. Gronowski, dr Gruszka, Jasiński, gen. Kleeberg, Korpowski, Kruszelnicki, red. Krygier, Kurnatowski, sędzia Malcharek, Nowacki, red. Polak, amb. Poniński, Polowiec, dr Przybytkiewicz, płk Racięski, Saryusz-Bielski, mgr Szczepanowski, ks. Trzeciak. I wielu innych.

Zaś spośród ostatniej emigracji jakoś nie wyłaniają się te dziesiątki nowych współpracowników prasowych dotychczasowej kategorii. Może dlatego że zorientowali się iż można wydawać polskie gazety bez współpracy dziennikarzy lokalnych. Albowiem prasa polska w Australii przechodzi w nowy okres — w fazę przedruków.

Nie nastąpiło to od razu, ani zbyt szybko. Redaktorzy zorientowali się, że w miarę wymierania i odpadania dotychczasowych eseistów, felietonistów, reporterów i bardziej znośnych grafomanów płci obojga, trzeba było jakoś wypełnić tę powierzchnię pisma. Więc początkowo zastosowano system zmniejszenia ilości stron, co było zresztą dodatkową oszczędnością na drogim papierze. Gdy jednak i to nie pomagało i krąg regularnych ochotników-współpracowników zaczynał kurczyć się niepokojąco, redak-

torom nie pozostało nic innego: trzeba było czerpać coraz więcej materiału z przedruków. Chyba żeby zamknęli pismo, lecz o tej alternatywie nie było mowy.

Ale, Bogu dziękować, wychodzi wciąż prasa polska w Londynie i na kontynencie amerykańskim, jest też w Paryżu *Kultura*. Są też inne, nie tak mocno zakorzenione nowotwory. Więc na pierwszym miejscu jako źródło „pożyczek” czy jak to nazwać, są: londyński *Tydzień Polski* — najbardziej popularna kopalnia artykułów, następnie *Dziennik Polski*, *Na Antenie*, nowojorski *Nowy Dziennik* i jego *Przegląd Polski*.

W drugim rzędzie są wykorzystywane: *Tygodnik Mazowsze*, paryski *Kontakt*, krajowe: *Przyjaciółka*, *Kurier Polski*, stateczny krakowski *Tygodnik Powszechny*. Ostatnio pojawiły się sporadyczne przedruki z telawińskiego pisma *Nowiny-Kurier*, z argentyńskiego *Głosu Polskiego* i z enigmatycznego *Biuletynu Afgańskiego*. Można też zanotować wypadek przedruku z własnego archiwum — felietonu sprzed trzech lat.

Przedruki nie zawsze cytują źródło, ale nietrudno je rozpoznać, szczególnie gdy jest po prostu sfotografowane. Czasami, dla urozmaicenia przedruk jest skromnie zawołowany nad podpisem „opracował” (czytaj: skondensował). Także bardzo wydatnie pomagają w wypełnieniu powierzchni gazety — fotografie, najchętniej duże, powiedzmy na pół strony, czy nawet na całą stronę, niekiedy w rodzaju nie-przypiął-ni-przyłatał, jak np. Giewont dla ilustracji przeglądu prasy australijskiej, lub monachijski ratusz w reportażu z Hamburga. *Any port in a storm*, jak mówią w Royal Navy.

Zdarza się — dość często — że oba tygodniki w tym samym tygodniu publikują ten sam przedruk pod identycznym tytułem. Bywają też przedruki z przedruków — na przykład swego rodzaju *curiosum* o charakterze globalnym: gdy nowojorskie pismo przedrukowało artykuł z Londynu, który potem skopiował z Nowego Jorku redaktor w Sydney. Zagmatwane? — ale pouczające i godne wzmianki jako przykład łączności Polonii całego świata, przez dwa oceany; oraz jako dowód że w Nowym Jorku też przedrukują.

Nie należy do rzadkości dosłowne fotografowanie całych stron systemem fotochemicznym — uprawia to z zamiłowaniem jeden z naszych tygodników którego strona tytułowa jest mniej-więcej kopią londyńskiego kolegi.

Czasem to wszystko nie wystarcza, więc wypełnia się powierzchnię druku fragmentem książki, oczywiście z podaniem ceny i punktu sprzedaży.

Materiał oryginalny, już włączając stereotypowe komunikaty, waha się między przeciętną 11% w jednym a 19% w drugim tygodniku. Był taki pechowy tydzień gdy materiał oryginalny w jednym numerze wynosił 2%. Oczywiście przedruki w prasie emigracyjnej to nic nowego — nigdy jednak nie osiągnęły one takiej proporcji jak obecnie w Sydney i w Melbourne. Nic przedziwnego że taki tygodnik wygląda czasami jak prawdziwy ale — to trzeba obu redaktorom przyznać — smaczny prasowy bi-

gos. Czego tam nie ma? — wywiad z żoną Moczulskiego, zyciorys generała Ducha, teatrologia australijska i artykuł o Chyrowie, japońska mafia i Czy Papież Odwiedzi Litwę; Sinfonia Sacra Panufnika 1985 i konspiracja wileńska 1941. I temu podobne. Jak za Składkowskiego — byle nie było białych plam.

Wszystko to nawet ciekawe, bywa że i fascynujące, ale już nie takie swojsko australijskie jak felietony Chciuka na tematy lokalne, eseje Nowackiego czy komentarze polityczne Ponińskiego. Wtedy mieliśmy własną prasę, rozwijaliśmy się, świeciliśmy przykładem innym, od których nie byliśmy gorsi, często nawet lepsi. Byliśmy samodzielni, niezależni, z okazji jubileuszu otrzymywaliśmy gratulacje z całego świata polonijnego. Obecnie wegetujemy z „pożyczek”, z przedrukowej łaski. Stałych współpracowników-dziennikarzy możemy już liczyć na palcach jednej ręki.

Lecz wolno zapytać: czy rzeczywiście nie ma już wśród Polaków australijskich materiału ludzkiego, z którego można by wychować nową ekipę piszących — może nie od razu i nie tak dobrą jak ci z powojennej emigracji, bo powtórna fala konsulów, generałów, poetów i prawdziwych redaktorów jest mało prawdopodobna. Jeżeli zaś nowa ekipa da się zebrać, to czemu obecni redaktorzy wciąż spoczywają na przedrukowych laurach, dlaczego nie ogłaszają wezwania do współpracy, tak jak to kiedyś uczynił ks. Trzeciak, który musiał zaczynać z niczego? Czy to już starcza inercja, lub też cyniczne przekonanie, że „czytelnik wszystko przełknie” jak mi powiedział kiedyś tutejszy społecznik i znawca stosunków w tej dziedzinie?

Jak będzie dalej? Bez wpadania w prorokowanie można wyrazić nadzieję, że jednak nadejdzie czas gdy na fotelach redakcyjnych zasiądą młodszy, ambitni i energiczni, zdolni do przyciągnięcia nowego zespołu piszących. Nie tylko w Australii.

Tymczasem, tu na antypodach będziemy czytać przedruki i kompilować zamiast redagować. To nawet łatwiej.

Adam NASIELSKI

SPRAWOZDANIE FUNDUSZU POMOCY NIEZALEŻNEJ LITERATURZE I NAUCE POLSKIEJ ZA LATA 1982-1986

1. W marcu 1982 roku utworzony został Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej: Czesław Miłosz (prezes), Wojciech Karpiński (koordynator), Mirosław Chojecki (sekretarz). W skład Komitetu Wykonawczego weszli ponadto: Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński, Konstanty A. Jeleński, Krzysztof Pomian i Olga Scherer. Członkami Funduszu zostali: Stanisław Barańczak, Józef Czapski, Maria Danilewicz Zielińska, Feliks Gross, Zygmunt Kallenbach, Leszek Kołakowski, Sławomir Mrozek, Wiktor Weintraub.

2. W sytuacji jaka zaistniała po wprowadzeniu stanu wojennego, członkowie założyciele Funduszu uznali, że jego naczelnym zadaniem powinno być uzyskanie pieniędzy pozwalających pomóc wydawnictwom emigracyjnym w zwiększeniu liczby ogłaszanych książek. Z pomocy tej zrezygnował od razu Instytut Literacki w przekonaniu, że korzystanie z niej nie daje się pogodzić z udziałem dyrektora Instytutu w pracach Komitetu Wykonawczego Funduszu.

3. Wniosek Funduszu przedstawiony Fundacji Forda został przez nią przyjęty. Dzięki otrzymanej od niej subwencji Fundusz mógł współfinansować w ciągu minionych pięciu lat 35 tytułów. Ze zrozumiałych powodów nie wszystkie mogą być ujawnione. Oto wykaz tych, których to zastrzeżenie nie dotyczy:

Stanisław Barańczak — *Poeta pamięta*.
 Władysław Bartoszewski — *Dni walczącej stolicy*.
 Ewa Bienkowska — *Dane odebrane*.
 Włodzimierz Brus — *Gospodarka państw Europy wschodniej*.
 Cornelius Castoriadis — *W obliczu wojny*.
 Jan Erdman — *Droga do Ostrej Bramy*.
 Henryk Grynberg — *Szkice*.
 Jan Krzysztof Kelus — *Poezje prawie zebrane*.
 Jan Kott — *Kamienny potok*.
 Marian Kukiel — *Dzieje Polski porozbiorowej*.
 Joanna Kulmowa — *Kłamstwo gołębie*.
 Barbara Łopieńska i Ewa Szymańska — *Stare numery*.
 Bronisław Maj — *Zagłada Świętego Miasta*.
 Adam Michnik — *Szanse polskiej demokracji*.
 George Orwell — *Eseje wybrane*.
 Jan Polkowski — *Wiersze (1977-1984)*.
 Władysław Pobóg-Malinowski — *Najnowsza Historia Polityczna Polski*.
 Krzysztof Pomian — *Wymiary polskiego konfliktu*.
 Jerzy Surdykowski — *Notatki gdańskie*.
 Małgorzata Szejnert i Tomasz Zalewski — *Szczecin: grudzień — sierpień grudzień*.
 Aleksander Wat — *Pisma wybrane*.
 Witold Wirpsza — *Utwory wybrane*.
 Adam Zagajewski — *Solidarność i samotność*.
 Raport „5 lat po sierpniu”.
 Raport Międzynarodowej Organizacji Pracy.

4. W latach 1983-1986 Fundusz otrzymał również subwencje z innych Fundacji. Zostały one przeznaczone na udzielanie pomocy niezależnym instytucjom kultury, oświaty i nauki w kraju oraz na przyznawanie stypendiów indywidualnych na krótkoterminowe pobyty na Zachodzie. Łącznie przyznano 127 miesięcznych stypendiów, z tego 34 w roku 1983, 37 — w roku 1984, 8 — w roku 1985, 48 — w roku 1986. Wśród stypendystów 29 % stanowili pracownicy nauki, 19 % — plastycy, 18 % — literaci, 18 % dziennikarze i publicyści, 9 % niezależni wydawcy, 7 % filmowcy i aktorzy.

5. Nakładem Funduszu ukazało się 7 numerów informatora *Co czytać*, reklamującego książki wydane przez polskie oficyny na Zachodzie.

6. Sprawozdanie finansowe Funduszu za okres od marca 1982 do grudnia 1986 przedstawia się jak następuje:

W P Ł Y W Y :

| | |
|---|---------------|
| Ford Foundation | 206.000,00 \$ |
| Wpływ z aukcji dzieł sztuki plastyków niemieckich, ze względów administracyjnych przekazany Fondation pour Une Entraide Intellectuelle Européenne w 1983 r. | 66.195,43 \$ |
| National Endowment for Democracy | 30.000,00 \$ |
| Polcul Foundation | 20.000,00 \$ |
| Institusjonen Fritt Ord | 16.363,64 \$ |
| Wpłaty indywidualne | 15.487,26 \$ |
| Ethnic and Public Policy Centre | 5.000,00 \$ |
| Wpłaty z operacji bankowych | 3.036,78 \$ |
| Wpływy z biuletynu <i>Co czytać</i> | 392,29 \$ |

Razem : 362.475,00 \$

W Y D A T K I :

| | |
|--|---------------|
| Dofinansowanie publikacji książek | 127.915,67 \$ |
| Przekazane niezależnym instytucjom kultury, oświaty i nauki w kraju | 78.460,00 \$ |
| Stypendia indywidualne | 65.439,68 \$ |
| Stypendium sekretarza przyznane przez Ford Foundation | 58.000,00 \$ |
| Publikacja informatora <i>Co czytać</i> | 12.704,65 \$ |
| Koszta administracyjne | 8.024,51 \$ |

Razem : 350.544,51 \$

Różnica : 11.930,89 \$

znajduje się na koncie Funduszu w banku Crédit Industriel et Commercial nr konta 30066-00854-062101644-42.

7. Zważywszy przewidywane zmniejszenie się wpływów oraz ukształtowanie się w ostatnich latach struktur niezależnej oświaty, kultury i nauki w kraju, Komitet Wykonawczy Funduszu na ostatnim posiedzeniu postanowił skupić się wyłącznie na dofinansowywaniu książek publikowanych przez polskie wydawnictwa na Zachodzie. W związku z tym Fundusz nie będzie odtąd przekazywał żadnych pieniędzy do kraju. Fundusz postawi nadto kwoty przeznaczone na krótkoterminowe stypendia do dyspozycji Fondation pour une Entraide Intellectuelle Européenne, zastrzegając sobie prawo zgłaszania kandydatów do tych stypendiów w ramach przekazywanych tej fundacji sum.

8. Dnia 27 marca 1987 Komitet Wykonawczy przyjął rezygnację z członkostwa w Funduszu Sławomira Mrożka oraz dymisję Mirosława Chojeckiego z funkcji sekretarza. Komitet Wykonawczy wyraził podziękowanie Mirosławowi Chojeckiemu za dotychczasową pracę na stanowisku sekretarza i powołał na nie Wojciecha Sikorę. W związku z tym ulega zmianie adres Funduszu:

FONDS D'AIDE AUX LETTRES POLONAISES INDÉPENDANTES
c/o WOJCIECH SIKORA
5, RUE DORIAN, 75012 PARIS.

KOMITET WYKONAWCZY
FUNDUSZU POMOCY NIEZALEŻNEJ LITERATURZE
I NAUCE POLSKIEJ

Paryż, 27 marca 1987

A P E L

Towarzystwo Opieki nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi we Francji, działające już od roku 1841, pod różnymi nazwami, posiada zawsze ten sam cel — opiekę nad polskimi grobami historycznymi we Francji.

Na emmentarzach paryskich (Montmartre, Père-Lachaise, Montparnasse), podparyskich (Montmorency, Chantilly, St-Germain-en-Laye) i wielu innych znajdują się groby wybitnych emigrantów — żołnierzy, uczonych, polityków czy artystów. Są to na ogół zabytki ponad stuletnie i obecnie wymagają koniecznych odnowień i kosztownych napraw. A na to są potrzebne fundusze.

Zwracamy się więc z gorącym apelem do wszystkich Polaków i Francuzów polskiego pochodzenia, często potomków zasłużonych emigrantów z okresu powstań i walk z zaborcami o wolną Polskę, by wsparli finansowo nasze Towarzystwo.

Towarzystwo nasze stara się również rejestrować i restaurować wszystkie pamiątki polskie, które znajdują się na terenie Francji. Dlatego prosimy o przekazywanie nam wiadomości o ewentualnie odkrytych polskich zabytkach i pamiątkach.

Datki można przekazywać bezpośrednio na konto pocztowe Towarzystwa: „Société pour la Protection des Souvenirs et Tombeaux Historiques Polonais en France” — CCP PARIS N. 13.775.31 X lub czekiem bankowym wysłanym na Towarzystwo (jak wyżej) na adres skarbnika:

Madame Krystyna CHODKIEWICZ — 41, rue Censier, 75005 PARIS.

Towarzystwo Opieki nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi we Francji — 6, quai d'Orléans, 75004 PARIS.

P



**KSIĘGARNIA
POLEMIKA**

WYDAWNICTWA POLSKIE
I OBCOJĘZYCZNE NA TEMAT
POLSKI I EUROPY
WSCHODNIEJ

ANTYKWARIAT
49, RUE GAY LUSŒAC
75005 PARIS
TÉLÉPHONE : 354.25.48

MÉTRO : LUXEMBOURG
AUTOBUS : 21-27 : FEUILLANTINES

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

„Ludzie się niepokoją, czy istnieją realne gwarancje, że rozpoczęty w kraju proces *pieriestrojki* nie cofnie się” — z takim oto pytaniem zwróciła się 21 kwietnia gazeta *Izwestia* do Tatiany Zaslawskiej, członka Akademii, prezeski sowieckiego Towarzystwa Socjologicznego, która podobno należy do: „trustu mózgów” Gorbaczowa. Akademik Zaslawska odpowiedziała mętnie i wymijająco: „Tylko świadome działanie narodu, wszystkich składających się nań grup społecznych, przesądzi o prawdziwym losie *pieriestrojki*”. Po czym powtórzyła: „Jestem przekonana, że decydującym czynnikiem udanej *pieriestrojki* jest kolektywna wola wszystkich obywateli”. Ta sama myśl powtarza się następnie po raz trzeci: „Rozwinięta świadomość społeczna szeregowych obywateli jest główną gwarancją nieodwracalności postępowych zmian społecznych”.

Równie mętnie i wymijająco formułuje Tatiana Zaslawska myśl o „konieczności rozwoju świadomości społecznej narodu” i roli każdego obywatela: „każdy marynarz powinien panować nad sytuacją”. Jak ma to robić, nie mówi. Natomiast znacznie jaśniej formułuje koncepcję ograniczonego trwania „przebudowy”: „Nie należy przeciągać okresu przemian, ale też nie przeprowadzać ich zbyt szybko”. W zasadzie — powiada akademik Zaslawska — „przebudowy” można dokonać albo szybko i radykalnie, albo stopniowo. W pierwszym przypadku nauka (socjologia) nie nadąża z opracowaniem potrzebnych podstaw i przebudowa „znowu potoczy się metodą prób i błędów”. Poza tym — zauważa Zaslawska — pośpiech rodzi ryzyko „biurokratyzacji procesu demokratyzacji”. Niebezpieczeństwo to, dodajmy, jest oczywiste dla wszystkich, którzy śledzą obecną sowiecką prasę. Tendencja ta najwyraźniejsza jest w hasłach pierwszomajowych KC KPZS (*Prawda* z 19 kwietnia 1987). Hasło nr 20 brzmi: „Obywatele ZSSR! Zwiększajcie aktywność polityczną! Rozwijajcie jawność, krytykę i samokrytykę, wypróbowane środki de-

mokracji socjalistycznej!”. Znaczy to, że każdy obywatel ZSSR ma obowiązek w jak najkrótszym terminie uaktywnić się politycznie i zostać demokratą.

Pośpiech jest groźny, ale i przeciąganie przebudowy nie jest bez ryzyka. Tatiana Zaslawska przytacza interesujący przykład. Uważa mianowicie, że doświadczenie węgierskie pokazało, jak niebezpieczne jest przeciąganie reform: „Fakt, że poszczególne zmiany wprowadzono tam do mechanizmu państwowego pojedynczo, w dużych odstępach czasu, nie pozwolił osiągnąć jakościowej poprawy systemu zarządzania gospodarką i obniżyć ogólną wydajność ekonomiczną”. Najlepszy wariant strategiczny polega, zdaniem Zaslawskiej, na „stosunkowo szybkim terminie (około roku-dwóch, najwyższej trzech) kompleksowego przekształcenia systemu stosunków społeczno-ekonomicznych”.

Jest to odpowiedź konkretna: przemiany nie powinny trwać dłużej niż trzy lata. Niestety Zaslawska nie mówi, od kiedy należy zacząć liczyć: od kwietnia 1985, kiedy plenum KC KPZS intronizowało Gorbaczowa, czy od kwietnia 1987, kiedy opublikowano wywiad z nią? Nawet jeśli przyjąć tę drugą datę, czy jest do pomyślenia — czy jest do pomyślenia dla szanującego się uczonego — by w ciągu trzech lat można było przekształcić niesłychanie ciężką, skostniałą sowiecką maszynę państwową? Rozwiniąć „świadomość społeczną obywateli sowieckich”? Odpowiedź na te pytania — których *Izwestia* nie zadały — równa się odpowiedzi na pytanie o gwarancje „przebudowy”.

Obywatel sowiecki ma niemal z dnia na dzień zostać demokratą. Czyżby nim nie był? Rozmawiająca z Zaslawską dziennikarka pyta: „Wszyscy znają sens słowa 'demokracja' — władza ludu, ale konkretnie: czego nam brakowało?”. Rzeczywiście, czego brakowało w pierwszym w świecie państwie socjalistycznym, które już w 1936 roku (pół wieku temu!) przyjęło najdemokratyczniejszą na świecie stalinowską konstytucję?

Socjolog Władimir Szubkin tłumaczy w artykule pt. „Biurokracja” (*Znamia* nr 4/1987), że wszystkie obecne kłopoty państwa sowieckiego wynikają z „biurokracji”. Artykuł Szubkina jest doskonałym przykładem, na ile możliwa, a na ile niemożliwa jest w dzisiejszym ZSSR poważna dyskusja i jakie są granice „jawności”. Socjolog wspomina o dziedzictwie historycznym, poczynając od szybkiego wzrostu biurokracji za Piotra I, pisze o „ogólnoświatowym procesie koncentracji i centralizacji produkcji”, mimochodem wspomina nawet, że nie bez wpływu na wzrost biurokracji było „uspolecznienie środków produkcji i centralizacja władzy”. Szubkin przytacza mnóstwo przykładów zgubnego wpływu biurokratów i biurokracji na rozwój ZSSR. Byłoby to bardzo ciekawe, gdyby nie było powtarzane przez ostatnich siedemdziesiąt lat.

W 1919 roku — półtora roku po rewolucji — ojciec państwa sowieckiego, Lenin, przyznał, że powstaje biurokratyczne monstrum. Stalin, jak wszyscy wiedzą, przez całe życie zażarcie walczył z biurokracją. Kruszył przeciw niej kopie Chruszczow. Na Zachodzie napisano setki książek, analizujących wszystkie aspek-

ty sowieckiej biurokracji. I oto pada sygnał: pełną parą od nowa, walczyć z biurokracją.

Nie ulega wątpliwości, że Szubkin doskonale wie, w czym tkwią korzenie biurokracji, ale mówić o tym nie wolno. Wystarczy, że napisze: „W swoim czasie, kiedy Stalin postanowił przedwcześnie zlikwidować NEP, uciekając się do środków czysto administracyjnych i wręcz do przemocy, doprowadziło to rolnictwo, łagodnie mówiąc, do opłakanych rezultatów. Produkcja rolna upadła, w szeregu rejonów pojawił się głód... Życie dziesiątków milionów obywateli sowieckich... było pełne niewiarygodnych wyrzeczeń i trudności, często na granicy zagłady czysto biologicznej”. Szubkin ma na myśli kolektywizację. I dodaje: „Od tych czy owych wydarzeń dzielą nas dziesiątki lat, ale wciąż jeszcze wpływają one na nasze życie, tym mocniej, im staranniej udajemy, że ich nigdy nie było”. Właśnie to każe wątpić w szczerość intencji obecnych „reformatorów”: kolektywizacja, o której tak ostrożnie i oględnie napomyka Szubkin, została znacznie ostrzej skrytykowana ćwierć wieku temu, w okresie „odwilży”.

Analizując najrozmaitsze przejawy sowieckiej biurokracji, sowiecki socjolog pomija milczeniem rolę ideologii i partii. Tymczasem w 1922 roku Trocki tłumaczył Leninowi główne źródła biurokracji: połączenie biurokracji państwowej i partyjnej. Rzecz „we wzajemnym zatajaniu wpływowych grup, skupiających się wokół hierarchii sekretarzy partyjnych”, powiedział ówczesny członek Politbiura i ludowy komisarz marynarki wojennej i armii („Moja żizń”, Berlin 1933, tom II, str. 216).

„A oto biurokrata” — powiada pisarz Władimir Dudincew w wywiadzie dla *Literaturnoj gazety* (25 marca 1987). To z jego winy od dziesiątków lat stoją kolejki przed sklepami, to on uosabia „mechanizm hamujący rozwiązanie naszych problemów gospodarczych”. Władimir Dudincew wie, o czym mówi. Trzydzieści lat temu opublikował powieść „Nie samym chlebem...” (*Nowyj mir* nr 8-10/1956), jedno z głównych wydarzeń „odwilży”. Przez następnych trzydzieści lat Dudincew pracował nad nową powieścią, którą teraz zaczął publikować w piśmie *Newa*. Nowa książka nosi tytuł „Białe kitle” i dotyczy największego szalbierstwa XX wieku — „teorii Trofima Łysenki”.

Smiem sądzić, że „Białe kitle” nie staną się wydarzeniem historycznym, mimo że książka zawiera wiele ciekawych informacji o metodach Łysenki i jego diabelskiej drużyny. Rzecz nie w literackiej słabości powieści. „Nie samym chlebem...” też trudno uznać za wybitne dzieło sztuki. Rzecz w tym, że w pierwszej powieści Dudincew obnażył mechanizm systemu sowieckiego z jego perwersyjnymi kryteriami selekcji na kierownicze stanowiska, bezgranicznym cynizmem, okrucieństwem. W nowej powieści nie ma niczego nowego. Wszystko zostało już powiedziane trzydzieści lat temu, i nic się nie zmieniło.

Szubkin pisze, że w minionych czasach, „za przekłętęgo reżymu”, jak lubili wyrażać się sowieccy agitatorzy, przeciwstawia biurokracji była etyka społeczna. A potem etyka gdzie przepa-

dła. „Wzrost biurokracji — stwierdza socjolog — jest zawsze skutkiem upadku norm moralnych”. O upadku norm moralnych i potrzebie „duszy” piszą dziś wszyscy. Temat jest modny i dozwolony. „Dużo myślałem o psychologii łysenkowszczyzny — powiada Dudincew — starając się zrozumieć przyczyny tego zła. Ale potykałem się o utrwalone w naszych mózgach dogmaty, które utrudniają zrozumienie. Jeden z takich obalonych dziś dogmatów zabraniał nam zbyt zajmować się tak zwanym siedliskiem zła i dobra, czyli duszą człowieka”.

Trzydzieści lat temu Dudincew opisał człowieka bez wszelkich zasad moralnych i bez duszy — dyrektora, potem wiceministra Drozdowa. Drozdow nie miał wątpliwości, że świat doskonale obywa się bez zasad moralnych. „Ścigamy się ze światem kapitalistycznym. Najpierw należy zbudować dom, a dopiero potem wieszać obrazy”. O duszę się nie martwił, gdyż jako człowiek wychowany na „Krótkim kursie WKP(b)” wiedział, że ten, „któ pracuje na bazę materialną, musi być wolny od skrajności. Dlatego, że jest pierwotna”.

Drozdow filozofował tak w latach 40-tych, ale problem „duszy” rozwiązano znacznie wcześniej. Lenin wprowadził nową moralność, uznając za moralne wszystko, co sprzyja budownictwu komunizmu. W drugiej połowie lat 20-tych zanik duszy był przypieczętowany. Najlepsi pisarze tego okresu zarejestrowali to zjawisko. Jurij Olesza w „Zawiszi” (1927) opisał przywódcę (przodka Drozdowa), któremu niepotrzebna jest dusza, bo wyrabia kiełbasę. Inżynier Archimedeo w powieści W. Kawierina „Nieznany artysta” (1931) przyznawał, że „martwy inwentarz socjalizmu rośnie szybciej niż żywy” i ogłaszał credo budowniczych nowego świata: „Moralność? Nie mam czasu na zastanawianie się nad tym słowem. Jestem zajęty. Buduję socjalizm. Gdybym jednak miał wybierać między moralnością a spodniami, wybrałbym spodnie”. Bohater komedii Płatonowa „Katarinka” (1933) odpowiada cudzoziemcowi, który przyjechał szukać duszy w ZSSR: „Duszy nie mamy, ale będziemy mieli zeppelin”. Pół wieku później wiadomo już, że zanik duszy doprowadził do zaniku spodni, kiełbasy, mieszkań i wszystkiego innego (poza zeppelinami, które zamieniły się w rakiety). Trzeba było na serio zająć się moralnością, ogłoszono więc kampanię odrodzenia duszy, wyrwanej pazurami i wypalanej ogniem przez siedemdziesiąt lat.

Wśród ważnych instrumentów odradzania duszy pierwsze miejsce zajmuje dziś historia. Pisze się o niej artykuły i książki, pełne jej są wywiady z pisarzami i przemówienia działaczy partyjnych. Na pierwszej stronie *Prawdy* z 29 marca br. pojawił się artykuł zatytułowany „Znać, chronić, tworzyć historię”. Wywiad z historykiem w *Izwestiach* z 3 maja br. nosi tytuł „Szacunek dla własnej historii”. W *Literaturnoj gazecie* z 22 kwietnia br. ukazał się artykuł zatytułowany „Sprawdzian historii”. Wylizać można w nieskończoność. Dziś wszyscy chcą znać prawdę o przeszłości, wszyscy żałują, że „istnieje prawdziwy kryzys zaufania do nauki historii” (*Izwestia* z 3 maja br.). W *Izwestiach* doktor nauk historycznych Stanisław Tiutiukin mówi wprost: „Pora

oczyszczyć historię z licznych naleciałości i deformacji, przywrócić jej obywatelskość, uczciwość i odwagę". Słowa te czytałoby się z przyjemnością (choć za termin „obywatelskość” w odniesieniu do historii budzi zastanowienie), gdyby autor nie wspomniał, że koniecznie należy zwołać wszechzwiązkową naradę historyków, jako że ostatnia odbyła się dwadzieścia pięć lat temu. Z tego zdania można wnosić, że doktor nauk historycznych Tiutiukin zna materiały z owej poprzedniej narady historyków, która miała miejsce w grudniu 1962 roku. Skrócony stenogram obrad został opublikowany w Moskwie w 1964 roku w nakładzie pięciu tysięcy egzemplarzy i natychmiast stał się białym krukiem.

Trudno o bardziej przekonujący dowód, że w ZSSR wszystko się powtarza, jak porównanie wypowiedzi historyków na naradzie w 1962 roku i ich obecnych wypowiedzi w prasie: te same zarzuty, te same usprawiedliwienia, te same zalecenia, te same słowa. W materiałach z wszechzwiązkowej narady historyków czytamy: „W okresie kultu jednostki Stalina wielu ludzi odwykło od prawdy historycznej. A pisać trzeba prawdziwie” (str. 163); „W imię ideologii kultu jednostki zniekształcano prawdę historyczną” (str. 256); „nie było prawdy w nauczaniu historii” (str. 267) itd., itp. A. W. Sniegow, działacz partyjny i historyk, zwolniony, po blisko dwudziestoletnim pobycie, z łagru i biorący udział w opracowaniu „tajnego referatu” Chruszczowa na XX Zjazd, wniósł konkretną propozycję. Na pytanie, w jaki sposób zabezpieczyć pracę historyków przed nieprawdą, zaproponował, aby każdy doktor historii składał jak lekarz przysięgę lub uroczyste zobowiązanie, że będzie uczciwie pracował i nie „zaśmiecał ludziom mózgow” (str. 273). Propozycji Sniegowa nie przyjęto, ale uczestnicy narady z optymizmem patrzyli w przyszłość, oświadczając: „Wszystko to (chodzi o kłamstwo w historii) zmieni się teraz gruntownie” (str. 256).

Dwadzieścia pięć lat później wszystko jest nadal po staremu. Dodajmy, że o ile w 1962 historycy mogli z pełnym uzasadnieniem tłumaczyć się tym, że bali się Stalina, to dzisiejsi historycy takiego usprawiedliwienia nie mają: Stalin nie żyje od trzydziestu czterech lat.

Niezależnie od kolejnych gorących apeli o prawdę o przeszłości, praktyka nie daje żadnych podstaw do optymizmu. W nowych książkach historycznych królują jak zawsze półprawdy, przemilczenia, fałszywe i kłamstwa.

Zważywszy, że przez ostatnie pół wieku obywatele sowieccy przeżyli „kult jednostki”, „jednoosobowe kierownictwo” i „okres zastoju”, zważywszy że — jak pisze Tiutiukin — „nie istnieją głębokie, wyważone oceny J. W. Stalina, N. S. Chruszczowa i L. I. Breżniewa”, pozostaje tylko „złoty wiek” Lenina. Nowa powieść Dania Granina „Zubr”, opublikowana w pierwszych dwóch numerach *Nowego mira* z 1987 roku, jest doskonałym przykładem „nowego” stosunku do historii. Bohaterem powieści jest biolog Nikołaj Timofiejew-Riesowski. Kto czytał „Archipelag GUŁag”, ten zna to nazwisko: Sołżenicyn, który zetknął się z Timofiejew-

wem-Riesowskim w więzieniu, dał świetny wizerunek tego wybitnego uczonego i nietuzinkowego człowieka. Timofiejew-Riesowski wyjechał na początku lat 30-tych do Niemiec, by pracować w jednym z tamtejszych laboratoriów, w 1937 odmówił powrotu do ZSSR. W 1945 aresztowano go i posłano kolejno do więzienia, łagru i szarazki. D. Granin opisuje — i to jest w literaturze sowieckiej nowość — że w hitlerowskich Niemczech uczyonym łatwiej było żyć i pracować aniżeli w stalinowskim Związku Sowieckim. Jednak tam gdzie autor „Zubra” pisze o latach leninowskich, tam kłamie. Twierdzi na przykład, że w 1922 roku Lenin wielkodusznie pozwolił naukowcom i artystom przeciwnym rewolucji wyjechać na Zachód. W rzeczywistości, na osobiste polecenie Lenina, liczną grupę „ludzi myśli” aresztowano i zesłano za granicę. Stronice opisujące życie Timofiejewa-Riesowskiego w szarazce, a także po śmierci Stalina, kiedy nadal był przesładowany, są pełne przemilczeń i półprawd.

Jeszcze w ubiegłym roku zapowiedziano wydanie książki Anatola Rybakowa „Dzieci Arbatu”. Z licznych wywiadów pisarza, udzielanych zarówno sowieckim jak zagranicznym gazetom i czasopismom, wynikało, że powieść została napisana dwadzieścia lat temu i odrzucona przez cenzurę, i że zawiera sensacyjny, demaskatorski materiał o Stalinie. W kwietniowym numerze *Drużby narodow* opublikowano pierwszą część książki. Trudno przesądzić jej wartość przed końcem publikacji, ale już z pierwszych rozdziałów widać, że „Dzieci Arbatu” nie są zapowiadaną „książką stulecia”. Nie tylko dlatego, że Rybakow nigdy nie był i dalej nie jest wybitnym pisarzem, ale dlatego, że w książce jego odnajdujemy znany od dawien dawna schemat: w 1933 roku zostaje aresztowany uczciwy komunista (powieść jest autobiograficzna). Przesłuchujący go śledczy narusza sowieckie prawo, ale pojawia się i szlachetny śledczy; winę za aresztowania uczciwych komunistów ponosi Stalin, który ma zły charakter, na co już zwracał uwagę Lenin. Widać, że jedną z głównych postaci powieści będzie Stalin. Dostaniemy jeszcze jeden portret ojca narodów, po Sołżenicynie, Dombrowskim, Maksimowie, Zinowie i wielu innych...

„Zubr”, „Dzieci Arbatu”, sztuki o Leninie Szatrowa to przykłady „inteligentkiej” interpretacji przeszłości: w tej mieszaninie prawdy i kłamstwa prawdziwe fakty podpierają fałszywe, a fałszywe pozwalają przemycić trochę prawdy. Należy jednak zwrócić uwagę na zwiększoną ostatnio aktywność przedstawicieli „czystego kłamstwa” w opisach przeszłości. Może to być przypadkiem, ale w marcu-kwietniu 1987 sowieccy historycy-publicyści i publicyści-historycy szczególnie natrętnie zajęli się katolicyzmem, Watykanem, papieżem i unitami. Materiały, poświęcone tym nagle palącym tematom ukazały się w gazecie *Moskowskije nowosti*, w piśmie *Kommunist woorużonych sił*, w miesięcznikach *Nasz so-wriemiennik* i *Nauka i religia*.

Najpopularniejszy sowiecki pisarz, autor beletrystyki historycznej Walentin Pikul, którego ciemnota równa się tylko jego nienawiści do Żydów, Polaków i innych obcoplemieńców, opubli-

kował w *Naszem sowriemiennikie* (nr 4/1987) „Dziesięć tematów” — dziesięć opowiadań o przeszłości. Pierwszy „temat” nazywa się „Zamknięcie rosyjskiego sklepika”. Pikul tłumaczy słowo „kongregacja” jako „sklepiak”, tworząc w ten sposób szampański kalambur, jako że mowa o nieudanej misji Antonio Possevino w Rosji, o porażce jezuitów, którym nie udało się skatolicyzować Rosji za Piotra Groźnego. Walentin Pikul nie szczędzi nikogo: ani jezuitów, których nazywa „psami bożymi” (myśląc być może o dominikanach), ani Possevino, „głównego ideologa Watykanu”, ani Stefana Batorego, zdaniem Pikula „okrutnego jak zwierzę”. Z rozmowy Iwana Groźnego z Possevino Pikul cytuje „legendarne słowa” cara: „Twój papież to wilk, a nie ludzki pasterz...”. Historyczna opowiadka Pikula kończy się przejrzystą aluzją: trzysta lat po śmierci Possevino jego „rzymscy następcy” wydrukowali „w przeddzień napaści hitlerowskiego Wehrmachtu na ZSSR” modlitewniki po rosyjsku.

W *Nauce i religii* ukazał się wywiad z ukraińskim historykiem N. F. Kotlarem, który komentuje broszurę kardynała Mirosława Lubaczińskiego, „głowy ukraińskiego Kościoła unickiego na Zachodzie”, obalając wszystkie cytowane w niej fakty i twierdzenia.

Najbardziej charakterystycznym przykładem „agresywnej” sowieckiej historiografii jest *opus* N. Jakowlewa „CIA contra ZSSR”. Oto najlepszy przykład, że sowiecka nauka o przeszłości jest dziecinnie uwarunkowana. „Znany historyk, profesor, laureat nagrody leninowskiego Komsomołu”, jak go redakcja przedstawia czytelnikom, opublikował „CIA contra ZSSR” pod koniec lat 70-tych. W roku 1980 wyszło drugie wydanie, w 1983 trzecie. Ku zadowoleniu czytelników w pierwszych numerach *Oktiabru* z 1987 roku znowu pojawił się znajomy tytuł „CIA contra ZSSR”. Nie było to czwarte wydanie wspomnianego dzieła, lecz dalszy ciąg, o podtytule „Bóg a bomba”. Przedmiotem nienawiści Jakowlewa są: „niegodziwy metropolita” Szeptyckij, jego wspólnik „unicki duchowny Slipyj”, „kolejny wróg naszej ojczyzny” Watykan i kapitalizm. Starając się dowieść, że należy do kręgu zaufanych, sowiecki historyk obficie cytuje protokoły przesłuchań kardynała Slipyja.

Chronologia Jakowlewa nie krępuje: śmiało włącza CIA w „antysowiecką działalność unickiej Cerkwi” przed wojną, w czasie wojny i po wojnie. Unici są jednak tylko jednym z przedmiotów zainteresowania Jakowlewa. Drugim są adwentyści siódmego dnia. Sumienny historyk szczegółowo opisuje W. A. Szełkowa, który głosił między innymi szóste przykazanie biblijne, „nie zabijaj” i odmówił służby wojskowej. Zdaniem Jakowlewa było to przestępstwo „umyślnej nie-obrony ojczyzny”. Jakowlew z zadowoleniem wylicza liczne aresztowania i wyroki Szełkowa, kończąc opowiadanie z pewnym żalem: „Szełkow, skazany w 1979 roku na pięć lat pozbawienia wolności... następnego roku zmarł”. Miał 85 lat.

Systematyczna lektura sowieckich gazet i czasopism ery „jawności” bezustannie przypomina mi stare powiedzenie: „Nowe

wraca”. Przypomniało mi się ono też, kiedy przeczytałem artykuł w *Sowieckiej kulturze* z 31 marca br., zatytułowany „Wraca święto”. W artykule mowa jest o tym, że z sowieckiego życia od dawna zniknął śmiech. Ale oto nadeszły nowe czasy i można się bawić. Niestety i tu był precedens. W 1934 roku Stalin oświadczył: „żyje się lepiej, żyje się weselej”. Na co słynny poeta natychmiast odpowiedział: „Będziemy śpiewać i śmiać się jak dzieci...”. „Na nasze ulice — czytamy w *Sowieckiej kulturze* — wraca świąteczny śmiech”. Już raz wracał...

Adam KRUCZEK

12 maja 1987

60-lecie twórczości Ułasa Samczuka

W roku ubiegłym ukraińska emigracja obchodziła sześćdziesięciolecie twórczości znakomitego prozaika, Ułasa Samczuka. W lutym bieżącego roku pisarz skończył osiemdziesiąt dwa lata. Urodził się w wołyńskim Dermaniu 20 lutego 1905 roku, a debiutował w 1926 opowiadaniem „Na starych ścieżkach”, w wychodzącym wtedy w Warszawie czasopiśmie *Nasza Biesiada*. Zastużony rozgłos zdobył Samczuk za trzytomową powieść epicką „Wołyń”, którą napisał w latach 1932-1937. Dobry przekład tej trylogii na język polski dał Tadeusz Hollender, poeta lwowski, który zginął później pod okupacją hitlerowską. Istnieją także niezłe wersje „Wołynia” po francusku i chorwacku.

W czasie wojny, pod okupacją niemiecką Samczuk nie zaprzestał twórczości, chociaż zajmował się bardziej publicystyką niż epiką. Wysoko stawiam tom wspomnień z okresu wojennego „Na wronym koniu”, w którym autor dał szczegółowy opis swoich zmagania o ukraińską kulturę narodową pod terrorem hitlerowskim.

W obozach uchodźców ukraińskich w pierwszych latach powojennych, zanim te obozy rozładowały się, a ich mieszkańcy rozlecieli po całym świecie, Samczuk był głównym organizatorem i przywódcą Artystycznego Ruchu Ukraińskiego (MUR), który w owej niełatwej sytuacji usiłował tworzyć przynajmniej namiastkę życia artystyczno-literackiego. W roku 1948 pisarz osiedlił się w Kanadzie i powrócił do normalnej działalności pisarskiej. W Kanadzie prowadził nadal intensywną pracę literacką i publicystyczną oraz stał się jednym z założycieli Zjednoczenia Pisarzy Ukraińskich „Słowo” z główną siedzibą w Edmontonie.

Ułasa Samczuka poznałem osobiście przed prawie dziesięć laty, gdy przyleciałem do Toronto, zaproszony na polsko-ukraińską debatę na Uniwersytecie MacMasters w Hamiltonie, zorganizowaną przez profesora Poticznego. Otrzymałem wtedy (23 października 1977 roku) 6-ty almanach „Słowa”, zawierający na blisko trzystu stronach obszerny wybór utworów wierszem i prozą, z następującą dedykacją: „Wszystkim nam Drogiemu Józefowi Łobodowskiemu, naszemu Przyjacielowi, w dniu Jego tryumfu — zawsze Wam oddani — SŁOWO”. Podpisy: na pierwszym miejscu Ułasa Samczuka i piętnastu innych pisarzy ukraińskich, zamieszkałych w Kanadzie, którzy byli obecni na moim wieczorze autorskim w Toronto.

Cytuję krótkie „Posłowie”, umieszczone na ostatnich stronach książki. „Chyba nigdy jeszcze ukraiński naród nie przeżywał tak ciężkiego okresu w swojej tragicznej historii, jak obecnie. Nasza biologiczna baza, ukraińska wieś, została niemal całkowicie zniszczona, nie ma na Ukrainie ani jednego uniwersytetu z wyłącznie ukraińskim językiem wykładowym, wypędzono go z naszych miast, zaś prowadzenie rozmów po ukraińsku w miejscach publicznych jest piętnowane jako 'burżuazyjny nacjonalizm'. Faktyczny kierownik Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki, pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Ukrainy, pozwala sobie na partyjnym zjeździe na wygłaszanie oficjalnego przemówienia w języku rosyjskim. Nic w tym dziwnego, bo trudno oczekiwać od prokonsula obcego państwa przejawu godności narodowej. Ale dziwne jest, że masy partyjne, a wśród nich wybitni ukraińscy pisarze, przyjmują postawę 'wujków obcej ojczyzny', nie zdobywając się nawet na milczenie, i zatracają resztki narodowej godności...”.

I dalej: „Taka sytuacja wymaga największych ofiar od Ukraińców na Ukrainie, a także maksymalnych wysiłków od Ukraińców poza Ukrainą, a zwłaszcza od pisarzy, rozrzuconych po całym świecie. I właśnie ten szósty almanach 'Słowa', podobnie jak poprzednie, ma swoje miejsce w tym wielkim boju o mowę ukraińską, o kulturę ukraińską, o samo istnienie ukraińskiego narodu. Jest więc tą trybuną, jakiej pisarze ukraińscy nie mogą utracić...”.

„Posłowie” podpisał Komitet Redakcyjny, złożony z ośmiu pisarzy, ale ponieważ Ułasa Samczuk był głównym redaktorem zbioru, wolno powyższy tekst przypisać jego autorstwu. Od wydania zacytowanego zbioru mija już dziesiąty rok, a nic się w naszej — i polskiej i ukraińskiej — emigracyjnej rzeczywistości nie zmieniło na korzyść. Tyle, że jest nas coraz mniej, na niezłomne prawa biologiczne nie ma rady.

Ułasa Samczuk bardzo wcześnie zakosztował emigracyjnego chleba. W roku 1927, mając zaledwie dwadzieścia dwa lata, znalazł się w Niemczech i tam nawiązał szereg znajomości. Niektóre z nich przerodziły się z czasem w szczerą przyjaźń. W latach wojennych wrócił na rodzinną Wołyń. Jeszcze w okresie pobytu w „dipisowskim” obozie powstała powieść „Młodość Wasyla Szeremety” oraz „Futor Moroza”, stanowiący pierwszą część trylo-

gii „Ost”, uznanej przez wielu krytyków emigracyjnych za główne epickie dzieło Samczuka. Trylogię tę autor ukończył dopiero w Kanadzie, za drugiej i chyba niestety ostatecznej emigracji.

Samczuk jest tego świadom od dawna i swoim wysiłkiem pisarskim chce dać świadectwo istnieniu odrębnej kultury swego narodu. Samczuk skończył 82 lata, wiek, w którym trudno mówić o przyszłości i snuć plany życiowe. Wszyscy ci, którzy już dobiegli lub dobiegają tego wieku, dobrze wiedzą, co chcą przez to wyrazić. Ale naród nie składa się z jednego tylko pokolenia. Przyjdzie czas, gdy w swobodnej wreszcie Ukrainie wspomniane zostaną z wdzięcznością wysiłki takich emigrantów, jak Ułasa Samczuk, którzy życie swoje i twórczość poświęcili sprawie ojczystej, nie mając już nadziei, by kiedyś mogli ujrzeć spełnienie swoich dążeń i marzeń.

Piszę o starym pisarzu ukraińskim, zdając sobie sprawę, że z małymi różnicami mógłbym to samo napisać o jakimś polskim pisarzu emigracyjnym, na przykład o samym sobie. Pamiętam, kiedyś — przed bodaj pięćdziesięć laty — profesor Smal-Stočkyj, przemawiając na zebraniu „Prometeusza” w Warszawie, oświadczył: „Dziś tu rozmawiają emigranci z wielu wschodnich krain z polskimi gospodarzami, ale kto wie, czy po jakimś czasie wszyscy nie będziemy emigrantami...”. Te prorocze słowa nie żyjącego już ukraińskiego profesora spełniły się z matematyczną precyzją: spośród obecnych na sali Polaków wszyscy — z wyjątkiem zmarłych — są dziś politycznymi emigrantami. I chyba nikt z nas powrotu nie doczeka.

Samczuk nie jest na literackiej emigracji ukraińskiej nestorem. Z niemałym zdziwieniem dowiedziałem się, że znakomita poetka, Natalia Liwyćka-Chołodna ma lat osiemdziesiąt cztery, jest więc od Samczuka o dwa lata starsza. Kto by pomyślał! Pamiętam ją z Warszawy jako młodą, uroczą panią. Właśnie przeczytałem doskonały esej o jej twórczości, zamieszczony przez Jurija Szeweliowa w monachijskiej *Współczesności*. Cóż, lata lecą. Szczęśliwi ci pisarze, którzy mogą w takim wieku zdać sobie sprawę, że wykorzystali w pełni swe zdolności i zaskoczyli na nieśmiertelność. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że należy do nich autor „Wołynia” i „Młodości Wasyla Szeremety” — Ułasa Samczuk.

Józef ŁOBODOWSKI

Kronika niemiecka

Teatr Miejski z Heilbronn zaprezentował w Warszawie głośny musical — *Evita* (jego bohaterką jest Eva Peron, żona b. prezydenta Argentyny). ■ W Polsce przebywała grupa przewodniczących i członków zarządów poszcze-

gólnych firm, wchodzących w skład concernu Kruppa. Tematem rozmów były problemy związane z rozwojem współpracy technicznej zwłaszcza w elektronice, hutnictwie i przemyśle spożywczym. W okresie budowania „drugiej Polski” przez słynny duet gospodarzy Gierek-Jaroszewicz concern Kruppa poniósł ogromne straty finansowe w różnych transakcjach handlowych z PRL. ■ Marka zachodniemiecka kosztuje na czarnym rynku w Polsce 410 złotych. ■ RFN i NRD rozważają utworzenie wspólnej sieci energetycznej dla obu części Niemiec. ■ Kolońska oficyna Kiepenheuer & Witsch wydała książkę Teresy Torañskiej — *Oni (Die da oben. Polnische Stalinisten zum Sprechen gebracht)*. Na niemiecki przełożył Martin Pollack. ■ Podczas jednego z gościnnych wykładów w RFN prof. Antoni Rajkiewicz, b. minister pracy, płac i spraw socjalnych (1981-1982), ujawnił, że w latach 70-tych i 80-tych wyemigrowało z Polski ok. 2 mln osób. ■ Na liście organizacji współpracujących z władzami PRL, podanej przez tygodnik *Za Wolność i Lud*, znajduje się m.in. *Polski Związek Inwalidów Wojennych w RFN* z siedzibą w Hamburgu („środowiska i organizacje nie poddające się naciskom kół reakcyjnych”). ■ Głównym dostawcą drukarskich maszyn gazetowych do Polski jest *Veb Polygraph* z NRD. Ostatnio PRL zakupiła takie maszyny dla zakładów graficznych w Bydgoszczy i Katowicach. ■ W krakowskim *Ossolineum* ukazała się ciekawa publikacja: Jerzy Kozłowski — *Rozwój organizacji społeczno-narodowych wychodźstwa polskiego w Niemczech w latach 1870-1914*. Autor omawia dokładnie polskie organizacje, które powstały i rozwijały się wśród wychodźstwa polskiego w głębi Niemiec przed pierwszą wojną światową. ■ Obydwa państwa niemieckie są zainteresowane dalszym rozwojem stosunków, ale żadna ze stron nie neguje istnienia fundamentalnej różnicy interesów: NRD zabiega o uznanie jej przez RFN za odrębne, suwerenne państwo, Niemcy Zachodnie natomiast uważają za swój podstawowy cel zmniejszenie w przyszłości całych Niemiec, co niesie z sobą konieczność zmiany statusu NRD. Z tej różnicy wynika też cała dysputa wokół statusu Berlina (obchodzi w tym roku 750-lecie swego istnienia). Komunistyczne Niemcy dążą do oficjalnego uznania wschodniej części Berlina za swą stolicę, będącą integralną częścią NRD, gdy tymczasem Republika Federalna stara się zachować na całym obszarze miasta, zgodnie z umowami aliantów, status terenu nadzorowanego przez cztery mocarstwa. Ramy dialogu wewnątrzniemieckiego w wielu kwestiach zależą jednak przede wszystkim od postawy sojuszników obydwu państw niemieckich, a zwłaszcza od Moskwy. Aktualna ofensywa Gorbaczowa i coraz to nowe propozycje rozbrojenie Moskwy ułatwiają rozszerzenie kontaktów niemiecko-niemieckich. Zgoda Sowietów na ten dialog jest ograniczona i warunkowa. Nie wystarczyła ona do zaakceptowania wizyty Honeckera w Berlinie Zachodnim, gdyż zdaniem Kraemla naruszałoby to obecność ZSSR na tym terenie. Atmosfera między RFN i NRD ociepliła się jednak na nieco niższym szczeblu: do intensyfikacji kontaktów politycznych i gospodarczych doszło w czasie wiosennych *Targów Lipskich*; Berlin Wschodni odwiedził szef urzędu kanclerza RFN — Wolfgang Schaeuble, a do Bonn przyjechał członek Biura Politycznego *SED* — Günter Mittag. Ponadto władze NRD udzieliły większej ilości zezwoleń na wyjazdy do RFN obywateli NRD poniżej wieku emerytalnego. Przewodniczącą frakcji parlamentarnej *Wolnych Demokratów (FDP)* w *Bundestagu*, Wolfgang Mischnick, uczestniczył w zjeździe wschodniemieckiej partii *Liberalno-Demokratycznej*. Zachodniemieccy socjaldemokraci (*SPD*) czują się pewnie po wschodniej stronie Łaby i od dłuższego czasu prowadzą wysoce szkodliwe porządowe rozmowy rozbrojenie z *SED (Die Welt: „w duchu bardzo antyamerykańskim”)*. ■ Linie autobusowe polskiego *Pekaesu* obsługują m.in. stałe trasy komunikacyjne: z Warszawy do Manchesteru przez Hamburg (prom), do Londynu przez RFN, Belgię, Francję i od tego roku także do Kolonii. Opłaty w dewizach, lecz pasażerowie mogą też płacić

złotówkami po otrzymaniu zgody *NBP*. ■ Przesiedlenie Hartmuta Graetza, dentysty z zawodu, na teren RFN odbyło się w zupełnej tajemnicy. Ojcem H. Graetza jest 52-letni generał Manfred Graetz, jeden z 9 wiceministrów *Obrony Narodowej NRD*. Po raz pierwszy w historii NRD jej władze zgodziły się na emigrację osoby tak blisko związanej z nomenklaturą. ■ Na terenie RFN działa 56 lokalnych towarzystw współpracy chrześcijańsko-żydowskiej. Gmina żydowska w RFN liczy 28 tys. członków. Żydów niestowarzyszonych w gminie jest w Niemczech Zachodnich ok. 25 tys. W 1933 roku w Niemczech żyło ok. 500 tys. Żydów. ■ *Rektoratem Polskiej Misji Katolickiej w RFN* (do niedawna „w Niemczech”) kieruje ks. dr Franciszek Mrowiec (2400 Lübeck, Jürgen-Willenwever-Str. 8). ■ Obrazy olejne i rysunki Haliny Jaworskiej wystawiono w *Galerie Annelie Brusten* w Wuppertalu. ■ Wolfgang Munde, dyrektor *Stowarzyszenia Przemysłu Chemicznego RFN* zbadał w Polsce możliwości rozszerzenia współpracy, w tym także tworzenia spółek na zasadzie *joint venture*. ■ Przed sądem w Düsseldorfie zakończył się proces 54-letniego „przedsiębiorcy” ze Szczecina, niewymienionego z nazwiska, oskarżonego o szpiegostwo przemysłowe (por. *Kultura* nr 7-8/1986, str. 173); PRL-owski wywiadowca został skazany na półtora roku więzienia; przewoził do Polski skradzione dokumenty z firm elektronicznych *IBM* i *ITT* oraz dostarczał różne szyfry i informacje drugiemu sekretarzowi ambasady PRL w Kolonii. Skazany pracownik szwedzkiej firmy *Polonia* nie zaprzeczył postawionym zarzutom. Oświadczył również, iż za trzyletnie usługi kurierskie otrzymał jedynie 370 dolarów. W ostatnich dwóch latach skazano w RFN 61 agentów wschodnioeuropejskich wywiadów. ■ Z udziałem 43 przedstawicieli z 12 krajów europejskich Wschodu i Zachodu, reprezentujących 18 kościołów krajowych obradowała w Wisle-Jaworku XXIV konferencja koła roboczego *Instytutu Badań Konfesyjnych Kościoła Ewangelickiego* z siedzibą w Bensheim (RFN). Głównym tematem były *Znamienne cechy chrześcijaństwa w Polsce* rozważane z punktu widzenia katolicyzmu, prawosławia, protestantyzmu i religioznawstwa. Uczestnicy sesji otrzymali „błogosławieństwo” od kierownika *Urzędu do spraw wyznań* prof. Adama Łopatki, który wcześniej podejmował w Warszawie pastora Gerharda Brandta, prezesa *Kościola Ewangelickiego Nadrenii*. Oczywiście nie zabrakło ks. bp. Janusza Narzyńskiego — *zwierzchnika Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego* w PRL. ■ W Bielefeld ukazała się praca Alexandra Karla Hielschera — *Das Kriegsende 1945 im Westen des Warthelandes und im Osten der Kurmark (Koniec drugiej wojny na zachodzie Warthegau i Prus Zachodnich)*. Wydany własnym sumptem opis odwrotu Niemców z tamtych stron. Całość jest utrzymana w tonacji proniemieckiej, wrogiej Rosjanom i Polakom. Hielscherowi trudno opisać zbrodnie Polaków, natomiast nie pada ani jedno krytyczne słowo pod adresem administracji niemieckiej. Praca w zasadzie ściśle dokumentalno-wojskowa. Rozważania o tonacji politycznej dość antypatyczne. W słowie wstępnym podziękowania za pomoc dla dokumentalisty niemieckiego związku b. żołnierzy *Waffen-SS*. ■ Ukazały się *Wiersze* wybrane Güntera Grassa (*Wydawnictwo Morskie*, Gdańsk 1987). Tom przygotowany i opatrzony posłowiem przez Bolesława Faca. Przekładom wierszy, dokonanym przez wielu tłumaczy, towarzyszą dwa eseje Grassa oraz fotogramy Włodzimierza Resiaka. W zbiorze trzy wiersze o tematyce polskiej, podane także w oryginale. Zwracają uwagę przekłady na kaszubski autorstwa Jana Trepczyka: „Symboliczny powrót poezji Grassa do mowy przodków jego matki” (*Tygodnik Powszechny*). ■ Polacy, którym skończy się wiza mogą być deportowani z RFN; od 1 maja nasi rodacy, a także Węgrzy utracili dotychczasowe przywileje, jakimi cieszyli się w Niemczech Zachodnich. Według zarządzenia z 1966 roku obywatele KDL-ów mogli pozostać w RFN nawet po wygaśnięciu ważności wizy. Otrzymywali tzw. *Duldung*, czyli byli tolerowani praktycznie przez czas nieograniczony nawet bez potrzeby składania

podania o azyl. Obecnie ministrowie spraw wewnętrznych krajów związkowych doszli do wniosku, że sytuacja polityczna poprawiła się w Polsce i na Węgrzech na tyle, iż specjalne traktowanie obywateli tych krajów jest nieuzasadnione. Zgodnie z nowymi decyzjami wszyscy przyjeżdżający z zamiarem pozostania w RFN na dłuższy czas muszą podjąć formalne postępowanie w sprawie azylu. Jednakże azylu udzielać się będzie wyłącznie ze względów politycznych. Przybysze z Polski i Węgier będą jednak mogli starać się podczas swego uregulowanego pobytu w RFN o uzyskanie ograniczonego prawa pobytu. Wizy będą wydawane w ambasadach na okres 3 miesięcy, po czym będą mogły być przedłużane do maksimum jednego roku, pod warunkiem, że nie będzie w tym okresie pobierana pomoc socjalna. Na terenie samego Berlina Zachodniego żyje obecnie ok. 13 tys. Polaków. Większość ich zdecydowała się na to ze względów czysto ekonomicznych. ■ Nakładem kołońskiego Federalnego Instytutu Badań Spraw Wschodnich i Stosunków Międzynarodowych ukazała się obszerna praca Dietera Bingena — *Gab es eine Revolution in Polen 1980-1981? (Czy doszło do rewolucji w Polsce w latach 1980-1981?)*. ■ Uniwersytet Powszechny (Volkshochschule) w Monachium urządził wystawę polskiej prasy podziemnej z ostatnich lat. Wyświetlono też kilka polskich filmów: *Popiół i diament, Człowiek z marmuru i Ósmy dzień tygodnia*. Ponadto odczyty połączone z dyskusjami wygłosili: prof. Władysław Bartoszewski (o znaczeniu literatury podziemnej w najnowszej historii Polski); Martin Clemens (Rozbiory — Polska XIX i XX wieku); Alexander Tiplt (powstania robotnicze w Polsce); dr Melanie Tatur (aktualna sytuacja w Sowietach z polskiego punktu widzenia). ■ W Instytucie Zachodnim w Poznaniu minister spraw zagranicznych Tadeusz Olechowski udekorował przewodniczącego Towarzystwa Niemiecko-Polskie (RFN), prof. Helmuta Riddera, *Komandorią Orderu Zasługi PRL* (Ridder przylajający się reżymowi od lat: „Wyniosłem z domu świadomość, że Westfalia i Nadrenia to ziemie anektowane i okupowane przez Prusy. Stąd moje antypruskie nastawienie”). ■ Około 100 tys. Serbołużyczan żyje w NRD. 60 % z nich zna bardzo dobrze język dolnołużycki (zbliżony do polskiego) albo górnołużycki (bardziej spokrewniony z czeskim); 20 % rozumie ten język, ale nie mówi nim, zaś 20 % nie zna go. W Chociebużu (Cottbus) i w Budziszynie (Bautzen) czynne są serbołużyckie szkoły średnie. W 60 średnich szkołach politechnicznych na Łużycach jest wykładany język serbołużycki. ■ Na polskich ziemiach zachodnich nie istnieje ani jedna szkoła podstawowa z niemieckim językiem wykładowym. ■ Boński tygodnik *Das Parlament* ogłosił pracę zbiorową (Krzysztof Baczkowski, Józef Buszko, Erhard Cziomer i Andrzej Pileh) pt. *Deutschland und die deutsche Frage in der polnischen Geschichtsschreibung (Niemcy i sprawa niemiecka w polskiej historiografii)* i źródłowy artykuł Wolfganga Wippermanna *Die deutsche und polnische Frage in der deutschen Historiografie (Sprawa niemiecka i polska w niemieckiej historiografii)*. ■ W Kolonii trwają prace organizacyjne nad powołaniem do życia *Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego POLONUS* („możliwość nawiązania nowych kontaktów towarzyskich w spotkaniach przy kawie, muzyce i tańcu”). ■ *Teatr Wielki* z Warszawy dał dwa przedstawienia *Turandota* Pucciniego w Ludwigshafen (Palatynat). Orkiestrą dyrygował Robert Satanowski. W partiach tytułowych: Sophia Larson (gościnnie występująca), Krystyna Kujawińska, Barbara Zagórzanka i Osvaldo di Pianduni (gościnnie). Miejscowi recenzenci dopominali się o następną wizytę *Teatru Wielkiego*, tym razem z repertuarem polskim.

Andrzej J. CHILECKI

SPROSTOWANIE :

W „Kronice niemieckiej” (*Kultura* nr 3/1987) pisałem o wydaniu przez frankfurckie wydawnictwo *Suhrkamp* zbioru wierszy Wisławy Szym-

borskiej pt. *Hundert Freunde (Stu przyjaciół)*. Powinno być — *Hundert Freuden (Sto pociech)*. Na to zniekształcenie zwrócił mi uwagę autor *Notatek w Tygodniku Powszechnym*, podpisujący się inicjałami „BM”. Autorkę zbioru wierszy najmocniej przepraszam.

(ajch)

Kronika białoruska

Wśród więźniów, którzy nadal pozostają w łagrach i „izolatorach” ZSSR znajduje się Michał Kukobaka, 50-letni elektryk z Bobrujska. 30 września 1968 roku udał się on do ambasad CSRS, by dać wyraz swemu oburzeniu na inwazję sowiecką. Następnie nie wstępował do oficjalnych związków zawodowych i nie brał udziału w „wyborach”. Aresztowany w październiku 1970 roku, odmówił złożenia zeznań obciążających sekretarza ambasady RFN Müllera, choć w zamian obiecywano mu wolność. Następnie jako „paranoidalny schizofrenik” skierowany został do więzienia psychiatrycznego, skąd zwolniono go dopiero w 1976 roku. Za kolportowanie „Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka”, zrzeczenie się obywatelstwa sowieckiego i starania o wyjazd aresztowano go po raz drugi w 1978 roku i skazano na 3 lata więzienia. Przed upływem tego terminu Kukobaka został w 1981 roku powtórnice skazany na trzy lata więzienia o zastrzonym rygorze, a następnie w 1984 roku aresztowano go w łagrze i skazano za antypaństwowe wypowiedzi na dalszych 7 lat obozu i 5 lat zsyłki. Obecnie Kukobaka został przewieziony do więzienia w Witebsku. Nie chce on podpisać żadnej lojalki i domaga się rewizji procesu, rehabilitacji oraz zezwolenia na wyjazd z ZSSR. ■ 20 kwietnia 1986 roku A. Maraczkin i M. Kupaua, członkowie Związku Artystów ZSSR, zorganizowali w Mińsku obchody święta wiosny z udziałem uczniów Szkoły Muzyczno-Artystycznej. Na placu Troickim na młodzieżowy pochód napadła bojówka tzw. „afgańczyków”, tj. byłych żołnierzy korpusu ekspedycyjnego w Afganistanie, zorganizowana przez miejscowy Komitet Komsomółu. „Afgańczycy” bijąc młodzież krzyczeli: „Oduczmy was nacjonalizmu”, „Oduczmy was świętowania urodzin Hitlera” itp. A. Maraczkin utracił swoje stanowisko w Związku Artystów. ■ Ukazująca się w Nowym Jorku *Białoruska Dumka* opublikowała fragmenty krążącej w samizdacie na Białorusi książki zredagowanej przez Aleha Bembela pt. „Co myślimy o tobie, języku białoruski?”. Praca składa się z wypowiedzi różnych autorów oraz ankiety na temat obecnego stanu języka ojczystego, na którą odpowiedziało 50 osób. Książka pierwotnie była przygotowana do opublikowania w oficjalnym obiegu. ■ W jednej białoruskiej szkole średniej na Białorusi język białoruski jest wykładowym tylko dla 90 spośród 800 uczniów. Tę i inne przytoczone poniżej informacje podał białoruski tygodnik *Literatura i Sztuka*, ukazujący się w nakładzie 130 tys. egzemplarzy organ Związku Pisarzy Białorusi. Na jego łamach publikowano w okresie od września do grudnia 1986 roku artykuły i listy do redakcji obrazujące stan zniszczenia języka ojczystego. F. Siuko, nauczyciel z Witebska, pisał, że w jego mieście rosyjski jest wykładowym we wszystkich 40 szkołach. Autorzy białoruscy czytani są najczęściej w rosyjskich przekładach. Na lekcje języka ojczystego zapisują swoje dzieci jedynie robotnicy, podczas gdy rodziny inteligentki rezygnują z jego nauki. Pisarz K. Tarasau w komentarzu do listu Siuki narzekał na brak wyboru, gdyż wszystkie szkoły nauczają po rosyjsku i podawał za pozytywny przykład Gruzję oraz Łotwę. N. Halpiarowicz pisał, iż w Połocku, kolebce białoruskiej kultury, nie można znaleźć nawet

szylu w tym języku. W jednym z artykułów doc. P. Sadouski z Mińskiego Instytutu Pedagogicznego skrytykował ministra oświaty ZSSR Kruhela za to, iż w swej polityce wobec języka białoruskiego ogląda się zhytno na dyrektywę z Moskwy. Krytyce towarzyszyły oczywiście rytualne klękania na leninizm i narzekania na obojętny stosunek rodziców do kwestii językowej. Opublikowano też skargi dotyczące braku szkół białoruskich i katastrofального stanu znajomości języka białoruskiego na terenach przyłączonych do Federacji Rosyjskiej. Krytykowano likwidację białoruskiego szkolnictwa średniego i fakt zaprzestania kształcenia nauczycieli tego języka. 13 nauczycieli ze wspomnianej już Szkoły Muzyczno-Artystycznej napisało list, w którym skarżyło się, iż „poszczególnych nauczycieli i uczniów, którzy odważyli się mówić w szkole po białorusku, na radach pedagogicznych oskarżano o nacjonalizm”. Przytoczone informacje wskazują, iż środowiska białoruskie usiłują wykrzystać okres gorbaczowskiego rozluźnienia dla podniesienia kwestii narodowej. ■ *Literatura i Sztuka* pisała też o powstawaniu nieformalnych grup młodzieżowych, które interesują się muzyką rockową i z komsomolskich zebrani uciekają do dyskotek. Członkowie tych grup noszą koszulki z różnymi, często prowokacyjnymi napisami, np. „zek” („więzień”). ■ *Baza* nr 37, organ Klubu Myśli Robotniczej, opublikowała artykuł „Poddani Wielkiej Księżnej Litewskiej”, omawiający skomplikowane stosunki narodowe i wyznaniowe na terenie byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz podkreślające pozytywne aspekty współżycia różnych narodowości i współistnienia odmiennych kultur, zanim nie pojawiły się „krwiożercze nacjonalizmy”. ■ W oficjalnym obiegu ukazał się kwartalnik *Białostoczczyzna*, wydawany przez Białostockie Towarzystwo Naukowe. We wstępie redakcja podkreśla wielokulturowy i wielonarodowy charakter regionu, którego sprawom poświęcone będzie nowe pismo. W pierwszym numerze zamieszczono artykuł dotyczący Tatarów polskich. Jak się okazuje, część z nich czuje się Białorusinami, co jak dalej zobaczymy bardzo źle im wroży na przyszłość. Tatarzy „są zasymilowani z ludnością autochtoniczną — polską lub białoruską — językowo i socjalnie, różnią się jednak wyznaniem”. ■ W Wydawnictwie Uniwersytetu Warszawskiego opublikowano w 1985 roku książkę Marka Ziółkowskiego „Szkice o kościołach obrzędów wschodnich w Polsce Północno-Wschodniej”. Autor podaje, że obecnie w Polsce jest 850 tys. prawosławnych, z tego dwie trzecie mieszkają w Białymstoku, Hajnówce, Siemiatyczach, Bielsku Podlaskim i okolicach. 217 prawosławnych parafii podzielnymi jest między 1 archidiecezję i 4 diecezje. W Jabłecznej znajduje się klasztor męski, w którym żyje 10 mnichów, a w Grabarce klasztor żeński z 10 mniszkami. Duchownych przygotowują dwa seminaria: w Warszawie i Jabłecznej. Liczebność mniejszości białoruskiej Ziółkowski ocenia na 200 tys. Zachodnia granica obecnego terytorium białoruskiego przebiega na zachód od Białegostoku i sięga od południowych krańców Puszczy Augustowskiej do Bugu w okolicach Drohiczyzna i Niemirowa. Bug oddziela gwary białoruskie od ukraińskich, z tym że w strefie między Białą Podlaską a Hajnówką występują gwary przejściowe. ■ W Białymstoku (Antoniuk Fabryczny 13) posuwa się budowa cerkwi pod wezwaniem Świętego Ducha. 28 września 1986 roku odbyła się uroczystość postawienia krzyża na głównej kopule, która ma 50 metrów wysokości. W mszy wzięło udział od 30 do 40 tys. wiernych. Ukazująca się w Białymstoku białoruska *Niwa* poświęca tej uroczystości reportaż. Do budowy cerkwi przyczynili się Białorusini z Ameryki, udzielając pomocy finansowej w wysokości ok. 1.100.000 złotych. ■ Redakcja *Biatarusa*, emigracyjnego kwartalnika, który ukazuje się w Nowym Jorku, wyraziła nadzieję, iż język białoruski będzie obecny przynajmniej w kazaniach świątecznych, „a z czasem może nawet w modlitwach i w całej służbie bożej”. ■ 3 stycznia 1987 roku odbyło się w Białoruskiej Bibliotece im. Fr. Skaryny w Londynie spotkanie z poetą Aleksandrem Barszczewskim, pracownikiem Zakładu Filologii Białoruskiej Uniwer-

sytetu Warszawskiego i działaczem Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Ceniony przez londyńskich Białorusinów gość, oprócz rytualnych hołdów pod adresem Jaruzelskiego, PRL-u i ZSSR, podał szereg ciekawych informacji na temat życia białoruskiej mniejszości narodowej w Polsce. Jego zdaniem trudności w pracy BTSK wynikają ze słabej świadomości narodowej Białorusinów i zmniejszającej się ich ilości na wschodniej Białostoczczyźnie, gdzie wioski pustoszeją i spada liczba białoruskich szkół. Lepsza sytuacja panuje w okolicach Hajnówki i Bielska, gdzie wioski są zamożniejsze i ludniejsze. 5-6 lat temu, gdy w Białymstoku odbywały się przeglądy amatorskich kółek artystycznych, liczba ich uczestników przewyższała liczbę widzów. Obecnie, mimo wprowadzenia opłat za wstęp, 800-osobowa widownia Filharmonii Białoruskiej nie może pomieścić wszystkich przybyłych. ■ BTSK wydało dotychczas ponad 20 książek, a Związek Literacki „Białowieża” skupia już 20 twórców. 7 spośród nich należy jednocześnie do Zlepu, co Barszczewskiego nadawa dumą. Wyraził on nadzieję, iż wkrótce powstanie w Białymstoku oddział Zlepu składający się z autorów piszących po białorusku. ■ Uzyskano wreszcie od władz zgodę na budowę Muzeum Białoruskiego w Hajnówce. Przed 12 laty istniejące wówczas muzeum w Białowieży lubiane tak przez Barszczewskiego komunistyczne władze zamknęły, a eksponaty wywoziwo do Ciechanowca. Koszt wzniesienia nowego muzeum wyniesie około 150 mln zł, z czego Białorusini w Polsce zebrali dotychczas 8 mln, a emigracja 2.000 dolarów. ■ Mimo już kilkuletnich wysiłków, podejmowanych także przez niższe podpiasne, redakcja *Biatarusa* nie zauważyła polskiego apelu „Do Braci Ukraińców, Białorusinów i Litwinów” w sprawie wspólnych granic. Na polskie propozycje zareagował natomiast wydawany w Kanadzie *Biataruski Holas*. Wspomniany WSN, Nową Koalicję, Niepodległość i RP-Wyzwolenie, redakcja stwierdziła: „... My, Białorusini, zasadniczo zgadzamy się na obecną granicę przeprowadzoną między Polską i ZSSR jako na punkt wyjściowy i wcale nie zapominamy o naszej białoruskiej Białostoczczyźnie z jej 250-tysięczną ludnością białoruską; w niektórych powiatach, jak np. bielskim, prawie 70 % ludności stanowią prawosławni. To jest ziemia narodu białoruskiego”. Redakcja *Biataruskiego Holasu* cieszy się także z wymierania księży katolickich Polaków na Białorusi, którzy polonizowali, jej zdaniem, tamtejszych Białorusinów. W seminarium w Kownie uczy się tylko 3-4 Polaków ze względu na litewski język wykładowy, natomiast białoruscy alumni przygotowują się na kursach zaocznych prowadzonych przez seminarium w Rydze. Na koniec dowiadujemy się, że Polacy na Wileńszczyźnie mieszkają jedynie w Wilnie, zaś 220 tys. (dane oficjalne) naszych rodaków żyjących poza stolicą Litwy to po prostu na wpuł spolszczeni Białorusini, którzy nazywają siebie Polakami z przyzwyczajenia i ze względu na katolicką, tj. polską, wiarę. W ZSSR zaś Białorusini zapisują się jako Polacy w nadziei, że uda im się dzięki temu wyrwać z ZSSR, tym bardziej, że „polska propaganda rozpowszechnia wieści, iż Polska jeszcze powróci lub nastąpi repatriacja”. ■ Co czeka „na wpuł spolszczonych” Białorusinów, dowiadujemy się z innego numeru *Biataruskiego Holasu*, w którym redakcja pochwała krwawą akcję bułgarskich komunistów przeciwko Bułgarom wyznającym islam (tzw. Pomacy) oraz tureckiej mniejszości narodowej. Uwagi te są tak kuriozalne, że aż warte zacytowania w całości: „Nakaz zmiany nazwisk i imion tureckich na bułgarskie w komunistycznej Bułgarii wydaje nam się nie całkiem niesprawiedliwy. Turcja przez wieki bowiem okupowała Bułgarię i osiedliła tam swych kolonistów oraz sturczyła wielu Bułgarów. Po opuszczeniu Bułgarii przez tureckich okupantów pozostało w niej nie tylko dużo prawdziwych Turków, ale również wielu sturczonych Bułgarów, którzy przyjęli islam. Każda władza bułgarska, komunistyczna lub nie, będzie próbowała zlikwidować ową pamiatkę obcego panowania. Jeśli są oni Turkami, niechaj jadą do Turcji, a jeśli są sturczonymi potomkami Bułgarów, muszą powrócić do swego

narodu (*sic!*). U nas na Białorusi mamy do czynienia z czymś podobnym; z powodu długiego panowania Polski i skatolicyzowania przez polski Kościół części Białorusinów (zwłaszcza na Wileńszczyźnie, Białostoczczyźnie i w lidzkim), zaczęli oni nazywać się 'Polakami' od swojej 'polskiej' wiary i po nowym panowaniu polskim przyjęli (wprawdzie zniekształcony) język polski. To samo zrobił moskiewski reżym komunistyczny z naszą Smoleńszczyzną, Brańszczyzną i zachodnią Ziemią Pskowską, po odłączeniu ich od Białoruskiej Republiki Sowieckiej i przyłączeniu do Federacji Rosyjskiej. Od 70 lat wszystko co białoruskie jest tam zabronione, a ludność przymusowo zapisuje się jako 'Rosjan', chociaż jeszcze za czasów carskich uznawano ich za Białorusinów. Jest rzeczą zrozumiałą, że przyszła niezależna Białoruś przywróci im wszystkim ich białoruską narodowość, a przybyłych osadników rosyjskich poprosi o powrót do ich rosyjskiej ojczyzny". Brrr! Na razie redakcja *Biełaruskiego Hołasu* walczy o taką „przyszłą niezależną Białoruś”, wydając raz na dwa miesiące ośmiostronicową gazetkę, której główną ozdobę stanowi mapa „Wielkiej Białorusi” rozciągającej się od okolic Warszawy i Kowna do podmoskiewskich lasów. ■ *Biełaruski Hołas* zamieścił recenzję z pracy Aleksandry Bergman „Sprawy Białoruskie w II Rzeczypospolitej”, Warszawa 1984. Autorce zarzucono, iż przedstawiła w niewłaściwym świetle postać i politykę przywódcy Białoruskiej Włościańsko-Robotniczej Hromady i Białoruskiego Klubu Włościańsko-Robotniczego Zmahanie w Sejmie, prof. Taraszkiewicza. Po rozwiązaniu Hromady Taraszkiewicz chciał dalej prowadzić samodzielną działalność i sprzeciwiał się przystąpieniu do KPZS, za co został przez sowiecki wywiad zademonstrowany defensywie. Aresztowanego Taraszkiewicza wymieniono na księdza i po kilku latach zgładzono w ZSSR. Inni przywódcy Hromady, którzy znaleźli się w Sowietach, skończyli na Sołówkach. Recenzent zaprzecza też powszechnie znanemu faktowi komunistycznej infiltracji w Hromadzie. ■ Na terenie ZSSR mieszkają obecnie przedstawiciele 76 narodowości, co bardzo martwi redakcję *Biełaruskiego Hołasu*, która z nostalgią wspomina czasy, gdy owych mniejszości było tylko 8 (Rosjanie, Polacy, Żydzi, Tatarzy, Karaimi, Litwini i Łotysze). Białoruskich redaktorów zapewniamy, iż los Francji jest o wiele cięższy, ponieważ żyją tu przedstawiciele znacznie większej liczby narodów. ■ Na emigracji białoruskiej nieprzerwanie trwa walka między katolikami popieranymi przez część prawosławnych, a wojującymi prawosławnymi. Pierwszy kierunek reprezentuje Białorusko-Amerykańskie Zjednoczenie wydające *Biełarusa* oraz redakcja *Cerkownych Nowin*, drugi — redakcja *Biełaruskiego Hołasu* i *Hołasu Cerkwi*. Do ostrej polemiki doszło w związku z 17-tym spotkaniem Białorusinów Ameryki w Cleveland na przełomie sierpnia i września ub. roku. *Biełaruski Hołas* określił je jako „wiec wiedźm i czarowników”, a epitety w rodzaju „odszczepleni” (tj. unicy) i „ciemniacy” (tj. „nieuświadomieni” prawosławni) należały do najłagodniejszych. Zdaniem redakcji *Biełaruskiego Hołasu* zjazd miał na celu „zademonstrowanie przed Watykanem przychylności białoruskiej emigracji dla Rzymu w osobie jego wysłannika, nowo wyznaczonego Apostolskiego Wizytatora dla Białorusinów katolików obrządku Wschodniego Aleksandra Nadsona, który był głównym gościem spotkania” oraz wykazanie, iż katolicy „kierują naszą emigracją”. A to wszystko przy pomocy „złowionych w swoje sieci... prawosławnych ciemniaków”, którzy „wynoszą na swych plecach rzymskich posłańców”. Na koniec dodajmy, że *Biełaruski Hołas* przedstawia się jako niezależna, „prawdziwie demokratyczna” siła białoruskiej emigracji.



UZUPEŁNIENIE

15 grudnia 1986 roku grupa 28 pisarzy, artystów i naukowców białoruskich wystosowała do Gorbaczowa list w obronie praw języka białoruskiego na

Białorusi. Autorzy listu stwierdzają: „Wielka rewolucja październikowa otworzyła szerokie możliwości rozwoju dla białoruskiego języka i kultury”, następnie zaś dzięki władzy sowieckiej przeprowadzono w latach 20-tych białorusyzację. Dalej skarżą się na „odstąpienie od zasad leninizmu w latach kultu jednostki i represje przeciwko białoruskiej inteligencji w latach 30-tych” oraz „intensywne likwidowanie białoruskich szkół” w okresie „woluntaryzmu” (tj. za Chruszczowa). W ciągu ostatnich 20 lat — podkreślają sygnatariusze listu — „proces ten pogłębił się”. Do listu dołączono „Dodatek” zawierający propozycje wprowadzenia nieodzownych reform, które sprowadzają się do postulatu białorusyzacji BSRS i powrotu do „szczęśliwych lat 20-tych”. ■ Oleh Bembel skierował do Gorbaczowa list otwarty, w którym skarży się na wyrzucenie z partii za przygotowanie wzmiankowanej już książki pt. „Ojczyste Słowa i postępek moralno-estetyczny”. Bembel tłumaczy, iż jego cel był „całkowicie tożsamy z duchem przebudowy” i usiłuje przechrzyć władzę sowiecką, namawiając ją, by poprzez publikację jego pracy w pierwszym obiegu wytrąciła argumenty z rąk sił antysocjalistycznych. Ponadto proponuje powołanie swego rodzaju komisji rozjemczej, która rozstrzygałaby spory między autorami i cenzurą. ■ Jerzy Turonek obronił na Uniwersytecie Warszawskim pracę doktorską pt.: „Białoruś w czasie okupacji 1941-1944”. ■ Ukazał się 5-ty, białoruski numer *Sustreczy (Spotkania)*, pisma studentów białoruskich w Polsce. ■ Białostockie *Kontrasty* nr 5/1987 zamieścił reportaż M. Szachowicza o Liceum im. Bronisławy Taraszkiewicza w Bielsku Podlaskim. Jest to jedna z dwu szkół średnich w Polsce z białoruskim językiem wykładowym. Do liceum uczęszcza 394 uczniów (w 1945 roku było ich ok. 300), w tym również Polacy ze względu na wysoki poziom nauczania. Reporter skarży się na brak reakcji ze strony władz oświatowych BSRS, na prośby o przysłanie podręczników i pomocy naukowych. Uczennice liceum przyznały się Szachowiczowi, iż wstydzą się nie mówić między sobą po białorusku na ulicy i używają ojczystego języka tylko w domu.

Józef DARSKI

Kronika litewska

Dopiero w lutym bież. roku dotarła na Zachód *Kronika Kościoła katolickiego na Litwie (KKKL)*, wydana 8 grudnia 1986 roku. Donosi ona, że w ubiegłym roku masowo przesłuchiowano litewską inteligencję katolicką w związku z przygotowaniem do obchodów 600-lecia chrztu Litwy. Numer 72 *Kroniki* przynosi również podziękowania papieżowi za nieustanną troskę o Kościół na Litwie oraz konferencji biskupów amerykańskich za zainteresowanie „bolesnymi zagadnieniami” Kościoła na Litwie. W artykułach „Dziecko niewolnika jest własnością jego pana” oraz „Szkoła hipokryzji” omawiane jest przymusowe wpajanie ateizmu w szkołach, wbrew woli rodziców. ■ W innym tajnym wydawnictwie, *Aušra* (nr 55), czytamy, że w okresie maj-październik ub. roku przesłuchano około 60 osób z litewskiej inteligencji. Dokonano licznych rewizji i skonfiskowano wiele książek — głównie w Kownie i Wilnie. Większą część numeru zajmuje studium o „części Litwy Sejny-Suwałki” (Sejny i Suwałki znajdują się w granicach PRL). ■ W ciągu zimy z różnych źródeł doszły władze sowieckie zwołniły z łagrów około 10 litewskich dysydentów. W listopadzie nauczycielka J. Biliauskienė, która uczyła dzieci w duchu narodowym i religijnym, powróciła

do Wilna po odbyciu łagru; darowano jej dalsze trzy lata zesłania. Wkrótce po niej wrócił 20-letni R. Žemaitis po dwóch latach obozu o „obstrzonym reżimie”. Zwolniony został historyk-ekonomista A. Terleckas po odbyciu trzech lat łagru i czterech i pół lat zesłania z przewidzianych pięciu. Był on karany czterokrotnie. Po raz pierwszy w 1945 roku, a po raz ostatni w 1979 za współudział w nielegalnym wydawnictwie. Nad nim specjalnie znęcano się prowadząc z nim wojnę nerwów. Inny ekonomista, V. Lapienis, w wieku lat 81 został skazany po raz pierwszy za udział w wydawaniu KKKL, a drugi raz po znalezieniu u niego maszynopisu pt. „Wspomnienia sowieckiego więźnia”, gdzie „szkalował ustrój komunistyczny”. Został zwolniony mimo że odmówił złożenia prośby o ułaskawienie, prawdopodobnie dlatego, że był bardzo schorowany, a śmierć w obozie robi złe wrażenie; o jego losach prasa emigracyjna donosiła niejednokrotnie. O zwolnieniu H. Jaskunasa doniósł polski *Przegląd Tygodniowy*. Miał 19 lat, gdy aresztowano go w 1959 roku za próbę organizowania nielegalnej organizacji i otrzymał wyrok 12 lat. Następny wyrok był w 1977 roku za antysowiecką agitację. Znęcano się nad nim i trzymano go w domu wariatów. W lipcu ub. roku aresztowano A. Patackasa. Na jego proces ma być przywieziony do Wilna ks. Tamkevičius, który przebywał 7 lat w zakładzie psychiatrycznym — został aresztowany po otrzymaniu zaproszenia od rodziny na wyjazd do USA, gdzie się urodził. Dnia 5 lutego 1987 roku zwolniono b. docenta uniwersytetu wileńskiego V. Skuodisa. Jako znany geolog był on wymieniony w litewskiej encyklopedii (wileńskiej). Ponieważ działał w Komitecie Helsińskim i bronił praw wierzących, stracił pracę na uniwersytecie „z powodu niemoralnego prowadzenia się”. Gdy zaś znaleziono u niego maszynopis pracy naukowej pt. „Duchowe ludobójstwo na Litwie”, został skazany na 7 lat łagru, które odsiedział. Pozostało 5 lat zesłania, z czego zwolniono go po kilkutygodniowych represjach, stosowanych celem zmuszenia go do podpisania przynajmniej się do winy i obietnicy poprawy. Podobno jakieś zobowiązanie w złagodzonej formie podpisał i wtedy zezwolono mu na wyjazd do Ameryki. Urodził się w Chicago w 1929 roku i w wieku niemowlęcym przywieziono go na Litwę; zachował obywatelstwo amerykańskie. Od lat ambasada amerykańska w Moskwie czyniła zabiegi w jego sprawie. V. Petkus, członek-założyciel Komitetu Helsińskiego, przebywał z nim jakiś czas w jednym obozie z wyrokiem 15-letnim i nadal tam pozostaje. Ze znanych bojowników są nadal uwięzieni: poeta G. Lesmantas, ks. Svarinskas, Poče-liunas. Głośno było aresztowanie inż. G. Jakubčionisa. W ub. roku grupa czołowych amerykańskich pisarzy odwiedziła Wilno, m.in. Arthur Miller, który był zachwycony wileńskim teatrem młodzieżowym. W grudniu ub. roku aresztowano inż. G. Jakubčionisa, kierownika działu komputerów i oświetlenia tego teatru. Później dokonano rewizji u pewnego studenta zatrudnionego w tymże teatrze. Skonfiskowano 80 książek. Amerykańscy pisarze w imieniu PEN-Clubu, liczącego 2 tysiące członków, wystosowali pismo do sekretarza litewskiej kompartii, Griškevičiusa, w sprawie Jakubčionisa — na razie bez rezultatu. Griškevičius na zebraniu partyjnym nawoływał do zwalczania klerykalizmu i nacjonalizmu. Gorbaczow odwiedził Rygę (gdzie miały miejsce małe demonstracje), ale Wilno ominął. ■ *Baltic News* (Tasmania) podaje, że republiki bałtyckie nazywają w Sowietach „Małą Ameryką”, gdyż są oknem przez które przesączają się wpływy Zachodu. Ryga jest stolicą mody. Na pokazy mód przyjeżdżają goście i specjaliści z Moskwy i Leningradu, odwiedzając przy tym Tallin, Wilno i tamtejsze zakłady kosmetyczne. Pierwsze *disco* i kawiarenki na wzór zachodni powstały w tych republikach, odwiedzanych przez licznych zagranicznych rodaków (Wilno) lub marynarzy w miastach portowych. Rosjanie przyjeżdżają tu, by wprowadzić potem u siebie modę koszul, długich włosów, piosenek lub dla zobaczenia czy podpatrzenia sławnej plaży nudystek (tylko dla kobiet) w Połdże. Przyjeżdżają tam również ludzie ze wschodu, by

daleko od miejscowej KGB odwiedzać kościoły: katolickie, luterańskie, baptystów i inne. ■ Korespondent włoskiej komunistycznej *L'Unità*, Santini, powiada, że Litwa ma 3,4 miliony mieszkańców, w tym 80 % Litwinów, 7 % Rosjan i 11,1 % Polaków. W oficjalnych danych podano, że Rosjan jest już ponad 8 % przy tendencji wzrostowej, a Polaków poniżej 8 %. ■ Zarządzający archidiecezją wileńską ks. Gutauskas jest polskiego pochodzenia, o czym w prasie litewskiej nie było uprzednio informacji. Santini podaje, że w Wilnie funkcjonują 64 świątynie, podczas gdy naprawdę jest ich 20 — i to wszystkich wyznań łącznie. ■ Dyrektor sowieckiej agencji prasowej oświadczył, że życzenie papieża odwiedzenia w niedalekiej przyszłości Republiki Litewskiej stwarza pewne problemy, które jednak nie są nie do przezwyciężenia. Wizyta Gorbaczowa w Watykanie przyniesie odpowiedź w tej sprawie. ■ Kardynał Gulbinowicz uważa, że granice diecezji w Polsce należy uporządkować. Jednym z powodów jest okrojenie trzech biskupstw: wileńskiego, lwowskiego i pińskiego, gdyż po powojennej zmianie granic, częściowo znajdują się po sowieckiej stronie. ■ Dnia 6 stycznia 1987 roku parafię Puńsk odwiedził biskup łomżyński J. Paetz, odprawił mszę i wygłosił kazanie w języku litewskim, rozpoczynając nim rok 600-nego jubileuszu chrztu Litwy. W parafii tej Litwini stanowią 75 % ludności, ale w sąsiedniej parafii sejneńskiej jest 2 tysiące Litwinów, a w smolańskiej około 400. Śpiewał chór litewski istniejący tu od stu lat. ■ Papież Jan Paweł II dokona w Rzymie beatyfikacji abpa Jerzego Matulewicza. Arcybiskup Jerzy był Litwinem, lecz wiele lat pracował dla społeczeństwa polskiego w Kielcach, Warszawie i Wilnie. W latach 1918-1925 był ordynariuszem diecezji wileńskiej. Zmarł w Kownie 27 stycznia 1927 roku. ■ Dnia 12 listopada 1986 roku na wydziale historycznym Akademii Teologicznej w Krakowie odbyło się seminarium pt. „Chrzest Litwy i jego religijne i polityczne następstwa”. Zaproszony profesor Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie, ks. Rabikauskas (Litwin) wygłosił odczyt w języku niemieckim. Poza tym wykłady wygłosili profesorowie z Krakowa, Warszawy i Lublina. ■ Arcybiskup L. Povilionis przybył z Litwy do Rzymu dnia 28 stycznia 1987 roku, gdzie pozostawał do 18 lutego. Był przyjęty przez papieża i kardynała Casaroli. W tym samym czasie był w Rzymie duszpasterz uchodźstwa litewskiego, biskup Bałtakis oraz prałat Backis z watykańskiej dyplomacji. Omawiane były obchody jubileuszu, a być może i ewentualnej podróży papieża na Litwę. ■ M. F. Rakowski, bawiący w Australii na czele misji polskich posłów do Sejmu, powiedział: „należy do grupy tych, którzy wierzą, że papież w przyszłym roku pojedzie do Związku Sowieckiego”. W komentarzach prasowych spotyka się opinie, że Sowiety zaproponują marszrutę przez Moskwę do Kijowa, pomijając Lwów z racji unitów i Wilno z racji uznawania starych granic prowincji kościelnych i uznawania przez Watykan Łozoraitisa jako reprezentanta Litwy.

E. ŻAGIELL

Oświadczenie Międzynarodówki Oporu

Nawał wiadomości z Moskwy wprawia w oszołomienie i wtręć mąci w głowie wielu uczciwym ludziom na Wschodzie

i na Zachodzie: czyżby nadeszła przełomowa chwila naszej historii, o którą się modliliśmy, koniec prześladowań, nędzy i rozboju międzynarodowego? Czy też jest to tylko kolejna krótkotrwała odwilż, „taktyczny odwrót przed kolejnym atakiem”, jak to określił Lenin w 1921 roku?

Prawdą jest, że ku naszej wielkiej radości zwolniono z więzień, łagrów i zesłania pewną liczbę najbardziej znanych obrońców praw człowieka. Witając ten gest, trudno jednak nie zauważyć, że to selektywne miłosierdzie było starannie obliczone na zrobienie jak największego wrażenia jak najmniejszym kosztem. Jeśli władze sowieckie rzeczywiście — jak twierdzą — zmieniły swój stosunek do praw człowieka i postanowiły zrezygnować z represji jako środka kontroli myśli, dlaczego nie amnestionowały po prostu wszystkich więźniów sumienia, zamiast rozciągać przyjemność na cały rok, wypuszczając partiami najszlachetniejszych spośród nich?

Dlaczego nie słyszymy bezwarunkowego potępienia represji psychiatrycznych, tej najbardziej złowieszczej sowieckiej metody rozprawiania się z przeciwnikami? Dlaczego nie widać postępów w kwestii emigracji, którą tolerował nawet „reakcyjny” nieboszyk Breżniew?

„Przemiany” i „odwilż” w innych dziedzinach życia w ZSSR mają podobny charakter, co w pełni uzasadnia nieufność. Owszem, fakt, że obecne kierownictwo dostrzega konieczność radykalnych reform gospodarczych jest niewątpliwie zmianą na lepsze. Pozostaje nam jednak tylko zgadywać, jak daleko zajdą te reformy.

Podpisujemy się bez zastrzeżeń pod zamiarem wyprowadzenia sowieckich wojsk z Afganistanu, gdzie nasi młodzi rówieśnicy zmuszani są do rzezi ludności cywilnej. Jednak sposób, w jaki sowieckie kierownictwo proponuje „uregulować” problem, może tylko zwiększyć nasze wątpliwości co do uczciwości jego zamiarów. Jeśli rzeczywiście chcą zakończyć tę wojnę, czemuż po prostu nie wyprowadzą swych wojsk bez żadnych warunków wstępnych i ciągnącego się w nieskończoność rozkładu operacji? Jeśli chcą „politycznego uregulowania problemu afgańskiego” i stworzenia tam stabilnego rządu, czemu nie pozwalają na wolne i uczciwe wybory pod ścisłą kontrolą międzynarodową? Takie wybory przeprowadzono z powodzeniem w Zimbabwie i stosunkowo niedawno w Salwadorze, w dość podobnych okolicznościach.

Możemy się także podpisać pod oświadczeniem Gorbaczowa, że należy szanować uczucia i tradycje narodowe narodów ZSSR. Niestety warunki, jakimi została obwarowana ta zasada sprowadzają jej wartość do zera. Niedawne wydarzenia w Kazachstanie są tego jaskrawym dowodem.

Najwięcej jednak zamieszania i wątpliwości budzi nowa sowiecka polityka „jawności” i „odwilży w kulturze”. „Jawność” wymaga *swobody dyskusji* w społeczeństwie i zakłada, że może w niej uczestniczyć każdy niezależnie od swych poglądów i bez obawy represji. „Jawność” zakłada prawo do informacji i do informowania, nierozłącznie związane z prawem społeczeństwa do kontroli nad władzą. Rozwojowi „jawności” w naszym rozumieniu tego słowa znacznie bardziej sprzyjałby swobodny dostęp do fotokopiarek aniżeli kampania oficjalnej krytyki sowieckiej rzeczywistości. Jeżeli sowieccy przywódcy chcą sobie pozyskać jakieś takie zaufanie społeczeństwa, będą musieli pogodzić się z istnieniem choćby nielicznych publikacji niezależnych od kontroli państwa. *A propos*, ogłoszenie niniejszego listu w prasie sowieckiej byłoby najlepszym dowodem, że ich zapewnienia „jawności” są szczerze.

Cieszymy się, że tak wybitni rosyjscy pisarze jak Gumilow i Nabokow zostali „pośmiertnie zrehabilitowani” a ich książki będą nareszcie oficjalnie udostępnione naszym rodakom w ZSSR. Inni, mniej szczęśliwi nieboszczycy wciąż czekają na swoją kolej, która zapewne nadejdzie przy następnej „odwilży”. Przywilej ten jest jednak zastrzeżony wyłącznie dla zmarłych, którzy nie mogą już powiedzieć ani zrobić niczego niespodziewanego. Tym zapewne tłumaczy się większe zainteresowanie władz sowieckich dla wybitnych zmarłych, których prochy chcą za wszelką cenę „repatriować”, wbrew ich woli wyrażonej za życia (Szaliapin, Tarkowski).

Chodzą słuchy, jakoby sowieccy urzędnicy zwrócili się do niektórych wybitnych artystów na emigracji z propozycją powrotu „do domu”, gotowe „zapomnieć o przeszłości marnotrawnych synów”. Władze sowieckie widocznie wciąż nie mogą pojąć, że emigracja nie była jakimś tragicznym nieporozumieniem, lecz skutkiem głębokiej niezgody z reżymem, niezdolnym do uszanowania wolności twórczej. Przeszłość owszem można zapomnieć, ale jak zapomnieć o wszechobecnej kontroli partii, zwłaszcza jeśli się zakosztowało wolności? Order Lenina jej nie zastąpi.

Kto, na przykład, broni im opublikować nasze książki i płyty, pokazywać filmy i przedstawienia teatralne, wystawiać nasze obrazy i rzeźby? Dlaczego nie zaczynają od tego, zamiast obiecywać nam nikomu nie potrzebne „przebaczenie”? Nie wymagamy od nich niczego innego, jak tylko by usunęli się w cień i nie przeszkadzali widzom, słuchaczom i czytelnikom w ZSSR swobodnie wybierać, co im się podoba, a co nie. Wtedy i tylko wtedy będziemy mogli podjąć uczciwy dialog z władzami sowieckimi, a nie podejrzaną pertraktację za kuchennymi drzwiami.

Wyobraźmy sobie, że najbardziej rewolucyjna propozycja Gorbaczowa — nieco bardziej wolne wybory w partii — wcho-

dzi w życie. Wskutek takiego „wielkiego skoku” zbliżymy się tylko o kroczek do położenia Murzynów w Południowej Afryce. Nasi „biali”, którzy stanowią wszystkiego 7 % ludności, wykrzystają tajne wybory dla siebie.

Jeśli na serio chcą „radikalnie zmienić” system sowiecki, powinni zacząć od rewizji panującej ideologii, bez której żadne długotrwałe i prawdziwe zmiany w Związku Sowieckim nie są i być nie mogą. Ideologia jest rdzeniem ustroju sowieckiego, i to ona nie pozwala mu odchylić się za daleko i za długo od normy. Jeśli nie zostaną podważone jej podstawowe cele i założenia, długofalowa strategia rozbije się o żelazne dogmaty, pozostawiając władzom do rozwiązania wyłącznie problemy taktyczne. Będą mogły dekretować „przymrozki” i „odwilże”, ale „lata” się nie doczekamy. Nie będą mogli żyć w zgodzie ze swoim narodem ani ze swoimi sąsiadami, dopóki rządzący dogmat nie dopuszcza nawet możliwości pokoju „z wrogiem klasowym”. Czy może być mowa o „pokojowej koegzystencji” ze światem „burżuazji”, jeśli ich zadaniem jest „pogrzebać” go? Jak można oczekiwać prawdziwego „odprężenia”, jeżeli „odprężenie w żaden sposób nie zmienia i nie może zmienić zasad walki klasowej”? W rezultacie nie ma ani pokoju, ani wojny, jest tylko „wojna o pokój”, której żelazną zasadą jest poparcie Sowietów „dla sił socjalizmu, postępu i wyzwolenia narodowego”.

Dopóki trwa „historyczna walka dwóch światów”, nikt nie ma prawa zająć się zwyczajnie swoimi sprawami. Ludność jest jakby zmobilizowana do ogólnonarodowego zaciągu ideologicznego. Ta totalna mobilizacja nie uznaje ani prawa do neutralności, ani prawa do odmowy służby, bowiem „kto nie z nami, ten przeciw nam”. Nawet cywilny uciekinier z ZSSR jest prawnie zrównany z dezerterskim, który w czasie wojny przeszedł do szeregów wroga (art. 64 par. 3 kodeksu karnego). Zgodnie z tą zasadą chęć emigracji uważana jest za zdradę państwa, a ludzie mający prawo jeździć za granicę są dobierani spośród najbardziej godnych zaufania, jak szpiechy.

Jeśli rzeczywiście chcą zapisać nową kartę w naszych dziejach, niechże przestaną wykorzystywać w propagandzie tragedię naszego narodu czasu drugiej wojny światowej, niech zaniechają złowieszczonego „wychowania wojenno-patriotycznego”, obowiązkowego w każdej sowieckiej szkole (porównać je można tylko do tresury *Hitlerjugend*), niech zrezygnują z dalszej militarystyki sowieckiego społeczeństwa. Zamiast tego niech upowszechnią prawdę historyczną o zbrodniach ustroju sowieckiego. Czyż można na przykład oczekiwać od ludzi entuzjazmu z powodu zezwolenia na „indywidualną działalność zawodową”, zwłaszcza w rolnictwie, jeśli partia wciąż jeszcze nie potępiła „kolektywizacji” i zabójstwa dziesięciu milionów chłopów? Jak można oczekiwać,

że ludzie wezmą na serio hasło „jawności”, jeśli okupacja Czechosłowacji w 1968 roku wciąż jeszcze nie została potępiona jako zbrodnia międzynarodowa? Praska wiosna nie była przecież niczym innym jak okresem „jawności” w Czechosłowacji.

Te dwa dowolnie wybrane przykłady pokazują, że dla pogodzenia narodu z władzą nie wystarczy zwolnić z więzień kilkudziesięciu więźniów, których nawiasem mówiąc nie należało do więzień wsadzać. Związek Sowiecki jest ciężko chorym państwem. Tak ciężko, że nawet jego przywódcy musieli zerwać z siedemdziesięcioletnią tradycją milczenia, bo potrzebne im jest koniecznie zaufanie własnej ludności i zaufanie świata. Przede wszystkim jednak sami muszą się nauczyć ufać narodowi i światu. Muszą się nauczyć na tyle ufać opinii społecznej, by uznać swą winę przed Trybunałem Międzynarodowym w Hadze, przed Sądem Praw Człowieka w Strasburgu, gdzie ofiary mogłyby żądać zadośćuczynienia, na przykład po kolejnym Czarnobylu. Powinni stać się równymi wśród równych, a nie jaśniejącym modelem świetlanej przyszłości.

Dziś nawet każdy dureń rozumie, że jeśli siedemdziesiąt lat rządów „najbardziej postępowej ze wszystkich nauk” doprowadziło do ruiny jeden z najbogatszych krajów świata, to nauka ta zawiera widocznie jakiś błąd. Jeśli — jak przyznaje Gorbaczow — od czasów Lenina żaden wódz nie zdołał zmusić jej do poprawnego funkcjonowania, to może pora spróbować innej? Czy sam Lenin nie zwykł mawiać, że tylko praktyka może być ostatecznym sprawdzianem teorii? Pytanie tylko, czy zwietrzała teoria wytrzyma obecną próbę praktyki.

Wasilij AKSJONOW, Władimir BUKOWSKI,
Aleksander i Olga ZINOWIEWOWIE, Edward
KUZNIECOW, Jurij LUBIMOW, Władimir
MAKSIMOW, Ernst NIEIZWIESTNYJ, Jurij
ORŁOW, Leonid PLUSZCZ.

Kronika kulturalna

Wyobrażenia i współodczuwanie

(JERZY KWIATKOWSKI 1927-1986)

„Należał do kilku środowisk: naukowego, literackiego, artystycznego, utrzymywał trwałą więź z kilkoma pokoleniami. W środowisku polonistycznym, z którym związany był bodaj najbardziej — pozostawił najwięcej chyba ludzi, których jego śmierć zabolęła dotkliwie, zgłuszyła jakąś ważną strunę życia, zmarmużyła ważną część ich trwania, nagle — z minuty na minutę — przekształconą w nieodwracalną przeszłość” — pisał w styczniu 1975 Jerzy Kwiatkowski, żegnając Mistrza i Profesora, ukochanego Przyjaciela i Kolegę, Kazimierza Wykę. Tymi samymi słowami chciałbym pożegnać Jerzego Kwiatkowskiego, który dwanaście lat później odszedł od nas śladem swego Mistrza. Był on chyba najbardziej wiernym jego uczniem, najbardziej reprezentatywnym przedstawicielem tzw. krakowskiej szkoły krytyków, do której zalicza się przede wszystkim Jana Błońskiego, Ludwika Flaszena, Andrzeja Kijowskiego i właśnie Jerzego Kwiatkowskiego. Dwaj ostatni są już nieobecni wśród żywych, Flaszen dawno już krytykę opuścił, a Błoński od lat kierował się bardziej w stronę eseistyki i historii literatury. Wraz ze śmiercią Kwiatkowskiego przestała więc już istnieć ta wspaniała szkoła, z której wywodzi się jeszcze paru młodszych krytyków, ale której tradycja — miejmy nadzieję — nie zaginie mimo pogłębiającej się w naszym życiu literackim degrengolady krytyki.

Autor „Kluczy do wyobraźni” nie był tylko krytykiem literackim. Był on również, a w ostatnich latach przede wszystkim, historykiem literatury zajmującym się okresem Młodej Polski oraz poezją dwudziestolecia międzywojennego, i niezwykle sumiennym, rzetelnym edytorem. Z radością witał, i sam niemały miał w tym udział, wszelkie edycje dzieł zebranych, wydanych możliwie najstaranniej. Ale w tym epitafium, poświęconym Jego niezwykłej osobowości twórczej, pragnę zwrócić uwagę na dzia-

łalność krytycznoliteracką, bodaj najbliższą jego sercu, choć nie temperamentowi. Z temperamentu bowiem był Jerzy Kwiatkowski raczej badaczem literatury, wnikliwie analizującym temat. Taka jest też, analityczna przede wszystkim, oparta na rzetelnej wiedzy o przedmiocie i sumiennej, niespiesznej lekturze, jego krytyka, czy to będą obszerne eseje, artykuły, recenzje czy też po prostu felietony poetyckie, której to formie przywrócił Kwiatkowski wartość literacką, uprawiając ją z powodzeniem przez dobrych kilka lat na łamach *Twórczości*.

Charakterystyczne dla poglądów Kwiatkowskiego na literaturę i na obowiązki krytyka są tytuły dwóch tomów: „Poezje bez granic” i „Klucze do wyobraźni”. Pierwszy dotyczy współczesnej poezji francuskiej, drugi polskiej, ze szczególnym uwzględnieniem twórczości pokolenia '56. Jedyłą granicą w literaturze — sądził wybitny krytyk — może być granica języka, innych granic — i ograniczeń — być nie powinno, gdyż swoboda twórcza i uniwersalność eksponowanej problematyki to warunek wielkości sztuki literackiej. Żeby zrozumieć, jaką wagę miało takie stanowisko i ile trzeba było hartu ducha, by nawet na moment, na chwilę dziejową z tego się nie wycofać, trzeba uświadomić sobie, w jakich czasach i w jakich warunkach pielęgnował Kwiatkowski swoje poglądy. Wspomniane książki ukazały się w druku grubo po przełomie październikowym. Jako krytyk debiutował jeszcze w roku 1948, później jednak, w początku lat pięćdziesiątych, wycofał się z czynnej działalności krytycznej, poświęcając się pracy bibliografa w IBL. Dopiero od roku 1955 — przez trzy lata — kierował redakcją współczesną w Wydawnictwie Literackim, a po Październiku powrócił na dobre do tego, co było mu najbliższe — do towarzyszenia rozwojowi współczesnej poezji, szczególnie polskiej. Towarzystwo oznaczało dla Kwiatkowskiego poszukiwanie kluczy interpretacyjnych do osobnych światów poetyckich, zbudowanych z wyobraźni. W poszukiwaniu tym wszystko mogło okazać się istotne, każdy szczegół biografii poety lub każda metafora, ba, każdy nawet najmniejszy element wiersza. Sumiennność i rzetelność nie były więc tylko cechami charakteru krytyka, były one również — i przede wszystkim — sposobem zbliżenia się do opisywanego świata poety i sposobem zbliżenia go czytelnikowi. Gotów jestem zaryzykować twierdzenie, że tak wnikliwych, z takim pietyzmem napisanych studiów o poetach współczesnych nie było, nie ma i pewnie już nie będzie w naszej krytyce literackiej. Kwiatkowski uczył szacunku dla twórczej swobody, dla osobności kreowanych w literaturze światów, uczył tolerancji dla wszelkiej odmienności, bowiem jego stosunek do literatury oparty był przede wszystkim na miłości, co również bywa rzadkie w krytyce. Gdybyśmy chcieli znaleźć negatywny odpowiednik krytyka, to byłby nim niewątpliwie Artur Sandauer. Znamienne jednak, że poświęcając czasem uwagę temu pełnemu żóci krytykowi, dla którego rzetelność jest tylko pustym frazesem, Kwiatkowski nigdy nie potępiał go w czambuł, starając się przypominać jego zasługi i wyszukiwać te cechy jego pióra, które mogły przynieść krytyce pożytek.

Tolerancja Kwiatkowskiego nie oznaczała zgody na lichą robotę poetycką, na tandetę, która często zalewa naszą literaturę. Zwracał on uwagę na zjawiska w poezji wybitne lub przynajmniej ciekawie się zapowiadające. Prawie wszyscy młodzi poeci, którym poświęcił swe artykuły i recenzje w drugiej połowie lat 50-tych, potwierdzili w pełni trafność intuicji krytycznej Kwiatkowskiego. Byli to m.in.: Szyborska (podwójnie jakby debiutująca), Białośzewski, Czycz, Herbert, Harasymowicz, Grochowiak, Nowak. Z dzisiejszej perspektywy spore wątpliwości, natury przede wszystkim etycznej, wzbudza tylko Harasymowicz. Rozwój jego osobowości, egotycznie nastawionej do świata, wyprowadził go na zupełnie manowce. Ale przez lata poezja jego zaskakiwała erupcją wyobraźni. „Harasymowicz jednak — to poeta niespodzianek” — napisał Kwiatkowski w roku 1960. Jakże trafnie, nie mógł tylko przewidzieć, że również — przykrzych niespodzianek.

Tolerancja nie oznaczała również eklektyzmu krytycznego. Kwiatkowski posiadał głęboko przemyślany, jasny i otwarty na nowe tendencje w sztuce system wartości estetycznych. Artyzm utworów polegał według niego na „immanentnych wartościach poetyckich”. Obecność ich w utworze była więc warunkiem *sine qua non* dalszych na jego temat rozważań. A rozważania Kwiatkowskiego prowadziły nieraz daleko poza obręb sztuki samej. Dla krytyka bowiem równie ważny był tekst jak i kontekst, równie ważna była analiza strukturalna i analiza sytuacji kulturowej, a czasem nawet społeczno-politycznej. Kończąc znakomity esej o poezji Supervielle'a pisał:

„Literatura współczesna jest w znacznej mierze literatura opartą na okrucieństwie, na różnorakiej jego eksploatacji. Byłoby naiwnością oskarżać ją za to, moralizować. Po pierwsze dlatego, że źródła takiego stanu rzeczy tkwią głębiej; po drugie dlatego, że sztuka musi mieć zagwarantowane prawo do penetracji całego obszaru ludzkiej psychiki, zwłaszcza że z najbardziej mrocznych regionów tej psychiki wywodzą się zazwyczaj odkrycia najbardziej rewelacyjne; po trzecie dlatego, że prawa jej oddziaływania są skomplikowane: nie muszą oddziaływać „wprost”. Niemniej — działają „wprost” dość często. Niemniej — literatura jest nie tylko wynikiem zjawisk społecznych. Należy także do przyczyn, zjawiska te warunkujących. Niemniej — granice między analizą zła a fascynacją złem, między fascynacją złem a „propagandą” zła — bywają niekiedy bardzo płynne. To też trudno przecenić fakt istnienia w literaturze XX wieku pisarzy takich, jak Supervielle. Tych, którzy ośmielili się być dobrzy”.

Odnotujmy to niezwykle ważne dla zrozumienia światopoglądu Kwiatkowskiego stwierdzenie. Potwierdza ono już to, co powiedzieliśmy, i skłania do dalszych uwag. Ceniąc nade wszystko w poezji dążenie do doskonałości, przedkładając kunszt poetycki, wirtuozerię wyrazu nad oryginalność, nie preferował Kwiatkowski piękna bezdusznego. Poza wartościami estetycznymi poszukiwał w poezji wartości etycznych, ideał stanowiło dla niego platońskie zespolenie Piękna z Dobrem. Problem dobroci, współ-

czucia lub współdczowania był częstym lejtmotywem krytycznych rozważań Kwiatkowskiego. Jeszcze jeden długi cytat:

„używał wyobraźni
do całkiem innych celów
chciał z niej uczynić
narzędzia współczucia”.

„Jak niewspółczesną postawę wyrażają te słowa, wyjęte z wiersza „Pan Cogito i wyobraźnia”. Któż dzisiaj ma odwać przyznawać się do takich celów? Któż potrafi je realizować? Herbert należy do — jakże nielicznych — poetów po platońsku kojarzących Piękno (Sztukę) z Dobrem. Kojarzy je także z Prawdą (...). Żyjemy w epoce zafascynowanej Złem, w epoce, która zdegradowała i skłonna jest do drwin z takich pojęć, jak Dobro, Dobroć, Współczucie, Litość... Zło, agresja, brutalność, okrucieństwo przyciągają wyobraźnię pisarzy, twórców filmowych, reżyserów, badaczy kultury — z siłą i jawnością rzadko dotychczas spotykaną. Dobro zaś (...) jest traktowane jako nieinteresujące, mało płodne intelektualnie i estetycznie, cliwe i nudne. Herbert tendencjom tym konsekwentnie się przeciwstawia”.

Przeciwstawiał się im też Jerzy Kwiatkowski, chociaż rozumiał te tendencje jako następstwo sytuacji kultury w świecie coraz większego chaosu wartości etycznych. Dlatego z wielką czułością i nadzieją towarzyszył w latach 70-tych twórczości pokolenia '70, zwłaszcza poezji głównego bohatera tego pokolenia, Barańczaka. W wierszach jego dostrzegał połączenie dwóch bardzo cennych dążeń — bliską Białośzewskiemu wirtuozerię słowa i bliską Herbertowi świadomość powinności moralnej. Dobro może być bowiem również pasjonujące.

Żegnając Jerzego Kwiatkowskiego nie sposób pominąć jednej, ważnej sprawy. Gdy Kwiatkowski podkreślał konieczność swobody twórczej, rozumiał, że w warunkach PRL-u może ją w jakimś stopniu gwarantować niezależne od nacisków władzy i ośrodków z nią sprzężonych pismo literackie, które nawet po roku 1956 nie powstało. Istniały tylko pozory niezależności na łamach *Przeglądu Kulturalnego*, *Współczesności* i *Zycia Literackiego*. Stał się więc Kwiatkowski jednym z czołowych, obok Kazimierza Wyki, inicjatorów idei takiego pisma pod patronatem ZLP. Pertraktacje z władzami trwały lata całe. Były momenty, że realizacja wydawała się bliska, potem jednak decydenci znów na długi nabierali wody w usta. Wreszcie w roku 1980 sytuacja w kraju okazała się tej inicjatywie sprzyjająca. Kwiatkowski doczekał się upragnionego „Pisma”. Do stanu wojennego oficjalnie jako zastępca redaktora naczelnego (nawet wówczas działało jeszcze prawo nomenklatury — naczelny musiał mieć „rekomendację” z wydziału prasy KC) wydał wraz z doborowym zespołem kilka bardzo interesujących, na wysokim poziomie literackim numerów. Z trudem *Pismo* wznowiło działalność w roku 1983, ale rychło zostało zawieszona decyzją władz centralnych. Jakby

na ironię został tylko tytuł... Był to jeszcze jeden cierni, może najboleśniejszy, jaki pozostał w duszy Kwiatkowskiego do końca jego życia.

Mikołaj RUSZKOWSKI

Kraków, styczeń 1987

Angielska próba Norwida

Przekład to nie tylko poddanie tekstu w jednym języku próbie innego języka. Przekład to próba nowej kontekstualizacji. Próba, w dodatku, wcale nie bezosobista. Przekłada ktoś, i ta osoba przekładająca działa jak filtr, lub, jak to określił Andrzej Busza, jak lustro, powodujące refrakcję*. Tłumacz, to organizacja warsztatowa i światopoglądowa, to umysł ukształtowany w pewien sposób i władający pewnym stopniem sprawności. Tłumacz jest więc agentem rekontekstualizacji. Jest tym pośrednikiem, który pewien układ słowny odtwarza w innym języku w kontekście innej kultury.

Już sam język powoduje zjawisko refrakcji, w sensie podwójnym, strukturalnym i kulturowym. Inny język, nawet z tej samej rodziny językowej, odznacza się nieco inną, a czasami bardzo różną organizacją materiału językowego. Ponadto, niesie z sobą zawarte w nim walory kulturowe, ukształtowane historycznie. Idealnie rzecz biorąc, zadaniem tłumacza jest panować nad oboma rodzajami refrakcji nowego medium na tyle, na ile to jest możliwe. Tłumacz stara się więc dać ekwiwalent tekstu, i tym samym poddaje siebie i przekładowy język próbie przekładanego tekstu.

To jednak nie wyczerpuje jeszcze problemów związanych z próbą rekontekstualizacji. Przekład powstaje bowiem w jakimś momencie historycznym, w określonym momencie czasu danej kultury. Tłumacz jest na ogół zapewne świadom czytelnika, dla którego, nawet tylko potencjalnie, przeznaczony jest przekład. Czytelnik ten jest umiejscowiony w czasie swojej kultury, jej tradycji i jej obiegowych walorów, światopoglądowych czy stylistycznych.

Z samej więc natury procesu przekładowego, tekst przekładany podlega nie jednej, ale kilku refrakcjom: refrakcji językowej, zarówno strukturalnej jak i kulturowej, refrakcji warsztatowej i znaczeniowej, światopoglądowej, czy stylistycznej wynikającej ze sprawności, poglądów czy smaku tłumacza, i refrakcji, by tak rzec, retorycznej, wynikającej z nastawienia na określo-

nego czytelnika, a w każdym razie z wyobrażenia tłumacza o nowym kontekście kulturalnym. Z tym, że jeżeli tłumacz żywi podziw dla przekładanego tekstu, refrakcja retoryczna może być minimalna, skoro celem przekładu jest wniesienie nowych walorów do kultury języka przekładowego. Pojęciem walorów, trzeba dodać, obejmują zarówno sferę wartości jak i jakości, czyli w dawniejszej terminologii treści i formy.

Można by założyć w przypadku przekładów na język angielski, że jest to język tak bogaty i giętki, że da się wszystko powiedzieć w nim, co kiedykolwiek pomyślała czy stworzyła czyjaś głowa, zarówno w sensie znaczeniowym jak i formalnym. Założenie takie nie jest prawdopodobnie dalekie od prawdy, co nie znaczy że język angielski nie ma swoich ograniczeń lub że nie stawia oporu. Jeśli ograniczyć się tylko do przykładów z poezji polskiej, jest jasne, że pewne rodzaje poezji polskiej znajdują swoje ekwiwalenty w języku angielskim łatwiej niż inne. Dotyczy to na przykład poezji Miłosza, Herberta, Różewicza, Wata, Szymborskiej, Zagajewskiego, Iwaniuka, Czerniawskiego, Buszy, Barańczaka, nawet wcześniejszych wierszy Białośzewskiego. Przekład Miłosza jest interesujący, gdyż bardzo ważną sferę jakości w jego poezji stanowi składnia. Otóż biorąc pod uwagę charakter obu języków, analityczny w przypadku języka angielskiego i fleksyjny w przypadku języka polskiego, można by się właśnie w tym względzie spodziewać sporych trudności. Niewątpliwie, ważną cechą składni Miłosza jest pozycyjność, występująca szczególnie wyraźnie w późniejszych wierszach; wiersze wcześniejsze, z *Trzech zim*, są dużo trudniejsze do przetłumaczenia. Niemniej stopień trudności, a tym samym refrakcji strukturalnej, jest w przypadku Miłosza większy niż w przypadku Różewicza czy Herberta. Równocześnie, szczególnie w wierszach późniejszych, jest mniejszy niż w wypadku wierszy Mickiewicza, Słowackiego, Leśmiana, Czechowicza czy Skamandrytów.

Weźmy przykład Leśmiana. Co stanowi o trudności przełożenia Leśmiana na język angielski? Poezja Leśmiana jest stroficzna, odznacza się regularnym rytmem, jest rymowana, korzysta w dużym stopniu z fleksyjności składni, odznacza się również wykorzystaniem słownictwa gwarowego i słowotwórstwem. Nagromadzenie tych właśnie cech czyni wiersze leśmianowskie niezwykle trudnymi do przełożenia na angielski, częściowo ze względu na czysto językowych (mniejsze bogactwo rymów w języku angielskim, składnia, różnice morfologiczne), a częściowo ze względu na konieczność sporej maestrii warsztatowej w tworzeniu bardziej tradycyjnych form wiersza. Wiersz Leśmiana narażony jest więc w większym stopniu niż wiersz Różewicza na problemy refrakcji językowej i warsztatowej. Nic też dziwnego, że istnieje tak niewiele prób przekładu wierszy Leśmiana na angielski, mimo, że już co najmniej od dwudziestu pięciu lat panuje zgoda, że jest to bodajże najoryginalniejszy poeta polski naszego wieku. Czy powinniśmy dodać do tych problemów problem refrakcji znaczeniowo-retorycznej? Wydaje się, że rodzaj wyobraźni, obrazowania, pojęciowości, czyli cała sfera

* P. Andrzej Busza, „O refrakcji znaczeniowej w przekładzie poetyckim”, *Pamiętnik Literacki* (Londyn), 1983, VII.

tego, co można określić mianem wartości, nie powinna napotykać na zbyt wielki opór w przenoszeniu jej w świat językowo-kulturalny angielski. Co prawda można by się spierać, czy jest tak w przypadku aspektu metafizycznego, skoro kultura angielska jest raczej uprzedzona przez takich wybitnych filozofów jak Russell, Ayer czy nawet Wittgenstein do metafizyki w ogóle, a do metafizyki mającej swoje korzenie w Bergsonie w szczególności. Ponieważ jednak bergsonizm ma u Leśmiana postać przede wszystkim poetycką, wyobraźniową, ta bariera nie powinna być chyba zbyt trudna do przekroczenia. Wartości metafizyczne nie występują bowiem u Leśmiana na płaszczyźnie dyskursywnej, lecz stają się częścią struktur narracyjnych i impulsem słowotwórstwa.

Sprawę Leśmiana musimy jednak pozostawić otwartą, gdyż jego przekładalność na język angielski nie została jeszcze dostatecznie sprawdzona. Inaczej jest w przypadku Norwida, który Leśmiana pod pewnymi względami, jeżeli chodzi o poetykę, przypomina. Przekładów wierszy Norwida na język angielski mamy znacznie więcej; najnowszą i najambitniejszą próbą jest tom przekładów pióra Adama Czerniawskiego, który ukazał się w zeszłym roku w Polsce. Jest to tom dwujęzyczny, polsko-angielski, co ułatwia porównanie przekładów z oryginałami*.

Tom zawiera przekłady trzydziestu siedmiu wierszy oraz nieco fragmentów prozy. Wśród przekładów znalazły się najlepsze z krótszych wierszy Norwida, a także kilka wierszy dłuższych, takich jak „Rzeczywistość” i „Bema pamięci żałobny-rapsod”. Wybór jest wysoce reprezentatywny. Czerniawski przetłumaczył takie arcydzieła norwidowskiej lapidarności jak „Siła ich”, „Czułość”, „Litość”, a także grupę krótkich wierszy, najoryginalniejszy bodajże wkład Norwida do rozwoju liryki polskiej, które wyróżnia szczególnie rodzaj argumentu, polegający na tym, że elementy narracyjne, obrazowe czy strukturalne zmuszają czytelnika do re-interpretacji lub głębszego zrozumienia zawartych w wierszu twierdzeń. Należą tu takie znane wiersze jak „Sfinks”, „Mistycyzm”, „Ogólniki”, „Fatum” i „Przeszłość”, a także „W Weronie”. Ten ostatni wiersz, jeden z najpiękniejszych wierszy lirycznych w języku polskim, stanowiący rodzaj destylacji norwidowskiej poetyki, może być także umieszczony w grupie następnej, wierszy mających w jakimś stopniu charakter pieśniowy, a przynajmniej układ stroficzny typowy dla poezji lirycznej, od piosenkowej „Daj mi wstążkę błękitną” przez „Moją ojczyznę” i „Czemu nie w chórze” po „Laur dojrzały” i „Wczora-i-ja”. Osobną grupę stanowią wiersze jak „Nerwy”, „Do Emira abd el Kadera w Damaszk” czy „Marionetki”, gdzie cechy toku mówionego współgrają z wyraźną rytmiką strof, stwarzając szczególnie rodzaj napięć i ścieśnień składni. Znajdujemy również w tomie przekład „Lapidariów”, łączących oba powyższe rodzaje na za-

* Cyprian Kamil Norwid, *Poezje/Poems*. Wybrał, przełożył na język angielski i posłowiem opatrzył Adam Czerniawski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986, str. 132.

sadzie kontrastu, oraz „Jak gdy kto ciśnie w oczy człowiekowi”, fragmentu lirycznego uważanego swego czasu za prekursorski wobec poetyki sugestii. A to jeszcze nie wszystko. Czerniawski przełożył także „Kółko” i „Ostatni despotyzm”, z których szczególnie drugi jest pokazem wirtuozerii w ironicznym splataniu fraz konwersacyjnych i kolokwialnego toku z nadrzędnym tokiem wersu i spointowanego dyskursu. Wiersze dłuższe, jak wspomniani już „Bema pamięci żałobny-rapsod” i „Rzeczywistość”, a także anty-baudelaireowskie (i anty-nietzscheańskie) „Źródło” i „Memento” oraz fragmenty z listów i innych pism (zgrupowane pod nagłówkiem „Aforyzmy”) fragment „Czarnych kwiatów” o odwiedzinach u umierającego Chopina, fragment z „Dziennika podróжного” i fragment z „Emancypacji kobiet” dopełniają tomu.

W „Posłowiu”, zatytułowanym „Przekład w teorii i w praktyce”, Czerniawski formułuje krótko problem tłumacza końca XX wieku, który pragnie dowieść „genialności Norwida”:

„Norwid jest poetą dziewiętnastowiecznym, jest też autorem prekursorskim. Jak więc przedstawić twórczość poety, który jest jednocześnie osadzony w tradycjach dziewiętnastowiecznych, a zarazem te tradycje rozbija? Nie bez powodu pierwsi jego czytelnicy nie mogli sobie z tą poezją dać rady: taka zresztą jest cena, którą poeta musi zapłacić za nowatorstwo. Jak więc udowodnić czytelnikowi obszaru języka angielskiego końca XX wieku, że czyta poetę, który choć wyraża wrażliwość drugiej połowy ubiegłego wieku, jednocześnie zapowiada poezję dwudziestowieczną? Należy pokazać oryginalność Norwida. Ale jak ją zademonstrować bez popadania w śmieszność i ekscentryczność? Ostatecznie wydał się przecież Polakom i niekiedy nadal się wydaje śmieszny i ekscentryczny. Odpowiedź w skrócie musi brzmieć, że nie może on wypaść jak jakiś drugorzędny Hopkins, Browning czy Clough, jak imitacja Emily Dickinson, ani też jako jeszcze jeden przeciętny rzemieślnik ery wiktoriańskiej. Cóż za zadanie! Któż mu podoba?”.

Czerniawski jest świadom karkołomności swego przedsięwzięcia, w końcu przymierzał się do niego od prawie trzydziestu lat, a jego pierwsze przekłady Norwida pochodzą jeszcze z lat studenckich. Świadom jest nie tylko problemów warsztatowych (spora część posłowania poświęcona jest problemowi tłumaczenia poezji rymowanej), ale i problemów refrakcji retorycznej. Oczywiście musimy się zgodzić, że jeżeli Norwid ma przemówić do dzisiejszego czytelnika angielskiego czy amerykańskiego, nie może brzmieć jak XIX-wieczni poeci angielscy czy amerykańscy, nawet jeżeli jego styl pod pewnymi względami niektórych z nich przypomina. Jaki jest jednak wniosek z paraleli z wymienionymi poetami dla strony warsztatowej przedsięwzięcia? Otóż taki, że tłumacz podejmujący się przełożyć Norwida adekwatnie na język angielski winien nie tylko starać się uniknąć uczynienia z Norwida jakiejś drugorzędnej wersji wymienionych poetów, ale winien równocześnie, biorąc sprawę idealnie, mieć sprawność warsztatową tych poetów, i nie tylko ich, bo także Ezry Pounda z poematu *Hugh Selwyn Mauberley* czy Audena, a także Carlyle'a i Eliota. Jest to oczywiście wymaganie tak wysokie, że raczej

niewykonalne. Co najmniej jednak tłumacz winien mieć sporą zaprawę w operowaniu strofą, rytmiką i rymem, nawet jeżeli jest to rym niepełny czy asonans. Takiej zaprawy Czerniawski nie ma, co odbija się negatywnie na niektórych jego przekładach.

Czerniawski wyznaje pogląd, że „tłumaczenie prznosi treść”, a podobieństwo w poezji między przekładem a oryginałem „sytuuje się na poziomie semantycznym”. Czerniawski nie chce, aby ten jego pogląd brać w sposób uproszczony. Zastrzega się, że skoro w poezji występują, jak pisze, „różne inne elementy, jak np. metafora, styl, charakter języka (wzniosły, brutalny, komiczny), rytm, rym, układ stroficzny, które w danym utworze są zintegrowane z treścią”, tłumacz winien je w swoim przekładzie uwzględnić. Jednakże, dodaje, „pierwszym krokiem jest odszukanie treści: jej nieobecność źle świadczy o wierszu”.

Poglądy Czerniawskiego na poezję odbiegają daleko od jakobsonowskiej definicji poezji i negują wniosek o jej nieprzetłumaczalności. Skoro treść daje się wytropić i daje się przenosić, poezja jest przetłumaczalna, o ile tylko tłumacz uwzględni elementy formalne oraz sposób, w jaki przyczyniają się one do złożoności treści. Ponieważ zaś utwory Norwida są „nasycone (przesyczone, rzecz można) treścią”, przyjęcie prymatu treści oznacza, „że gros energii tłumacz winien poświęcić na przekazanie tych skomplikowanych i nieraz zakamuflowanych wątków znaczeniowych”, co z kolei „wymagać będzie zapewne kompromisu w innej sferze”.

Byłoby translatorską hipokryzją nie zgodzić się z Czerniawskim, że kto przekłada, często stoi przed wyborem takiego czy innego kompromisu. Dlatego zresztą większość przekładów ulega słusznemu zapomnieniu, a te, które wchodzą na stałe do tradycji literackiej albo napiętnowane są indywidualnością tłumacza-poety, lub też przyswajają językowi nowe walory czy to z dziedziny wartości, czy z dziedziny jakości. Jednak w poezji wartość uwarunkowana jest przez jakość. Zauważmy przy tym, że Czerniawski chciałby pokazać oryginalność Norwida i że równocześnie pyta, „jak może tłumacz dowieść genialności Norwida?”. Genialności zawartych w jego poezji znaczeń? Oryginalności myśli?

W postłowie Czerniawskiego brak choćby krótkich uwag o poetyce Norwida, sporo natomiast pisze o rymie. Niewątpliwie rym stanowi problem i Czerniawski słusznie zwraca uwagę, jak ujemnie wpłynęła próba zachowania rymów na przekład „Fatum” Pietrkiewicza i Singera. Słusznie też gotów jest iść w tym zakresie na kompromisy. Jednak ani oryginalność, ani genialność Norwida nie polega na sposobie rymowania. Bez porównania ważniejsze są takie cechy jak semantyzacja formy, tworzenie napięć między intonacją i rytmem wersów, używanie kolokwializmów i prozajzmów w ramach tradycyjnej wersyfikacji, utrudnianie formy, zmuszanie czytelnika do współpracy i wysiłku umysłowego przy odkrywaniu znaczeń, traktowanych nieraz jako prawdy, ironia i jej rewelatorskie znaczenie. Czerniawski nie

wątpliwie zdaje sobie dobrze sprawę z przynajmniej niektórych z wymienionych tutaj cech poetyki Norwida, nie mówi jednak o tym, jak starał się je przetransponować na język angielski. Bez znalezienia angielskich ekwiwalentów (które uniknęłyby śmieszności, lub też takiej śmieszności by się nie bały) dla zasadniczych cech poetyki Norwida, stanowiących o jego oryginalności, wartość treści wierszy Norwida musi ucierpieć. Podobnie zresztą nie zawsze wychodzi na dobre traktowanie zdań zaczerpniętych z większych całości poza ich kontekstem, jako tzw. aforyzmów, szczególnie gdy tłumacz przecina gordyjski węzeł upraszczając sobie problem składni czy interpretując zbyt jednoznacznie, jak kiedy „Gorzki to chleb — polskość”, przekłada na „*Polish bread tastes bitter*”, chociaż Norwid nie powiedział, że „polski chleb smakuje gorzko”; czy oddaje „Prawda nie jest tylko wiedzą, ale i życiem zarazem” przez „*Truth is not just knowledge, it is life itself*”, lub „Lepiej jedno stracić życie pod rozłamanym drzewem, które się kiedyś zaszczepiło...” przez „*It is better that you should lose your life beneath a shattered tree...*”, co zmienia sens oryginału na „lepiej stracić życie pod rozłamanym drzewem”.

Może największą wadą przekładów Czerniawskiego jest brak zrozumienia dla ważności tej cechy poetyki Norwida, którą określiłem semantyzacją formy oraz tendencja do dawania myśli Norwida szybkiej, łatwiej, niż to ma miejsce w tekstach polskich, do wyinterpretowywania wiersza, wywikływania znaczeń ze składni i formy, tak że czytelnikowi odebrany zostaje proces dochodzenia do zrozumienia, a w każdym razie ułatwiony. Powiedziawszy to, trzeba jednak natychmiast dodać, że oprócz paru przekładów Pietrkiewicza, Christine Brook-Rose i Laskowskiego, a można te udane policzyć na palcach jednej ręki, przekłady Czerniawskiego należą do najlepszych, jakie do tej pory powstały, że ich poziom jest na ogół bardzo wyrównany (do najmniej udanych zaliczyłbym, niestety, „Bema pamięci...”), że nikt do tej pory nie pokusił się o danie całego tomu przekładów Norwida na angielski, ani takiego bogatego przekroju jego poezji.

Które przekłady udały się najbardziej? Odpowiadając na to pytanie muszę, jak i do tej pory, być o tyle gołosłowny, że miałyby się z celem cytowanie wersji angielskich, a już na pewno nie tu miejsce, by zajmować się dokładną analizą i porównywaniem przekładów z tekstami polskimi. Do najbardziej udanych przekładów zaliczyłbym „Litość”, „Mistycyzm”, „Zagadkę”, „Nerwy”, „Idącej kupić talerz pani M.”, „Z pokładu 'Marguerity'”, „Marionetki”, „Czemu nie w chórze”, „Rzeczywistość”, „Czułość”... Być może jednak krzywdzę tłumacza, nie wymieniając takich prób jak „W Weronie” czy „Zródło”. Moja reakcja oscyluje bowiem w wielu przypadkach między podziwem wobec tego, co Czerniawskiemu udało się osiągnąć, szczególnie gdy weźmie się pod uwagę karkołomność przedsięwzięcia, a świadomością walorów oryginału. Być może pełniejszą sprawiedliwość może tłumaczowi oddać czytelnik czy krytyk nie znający oryginałów i traktujący przekłady jako po prostu wiersze w języku angielskim, lub

nawet potrafiący porównać przekład z oryginałem, lecz nie mający tego przywiązania do oryginału, jakie występuje niejednokrotnie w moim przypadku.

Nie wiem, czy omawiany tom przekładów miał już jakieś recenzje w Anglii czy w Stanach Zjednoczonych. Trudno przewidywać, jakie mogą być reakcje. Przeciwno Norwidowi przemawia jakże różna dziś atmosfera właśnie w dziedzinie wartości. We wstępie do *Vade-mecum* znajdujemy rozróżnienie między *prawami* a *obowiązkami*, *stroną moralną*, zbyt jego zdaniem słabo reprezentowaną wówczas w poezji polskiej, gdyż „położenie narodu daje więcej folgi głosom o *prawa* wołającym, niżli zajmującym się *obowiązkami*”. Jeżeli tak było rzeczywiście w przypadku poezji polskiej w epoce Norwida, to o ileż powszechniejsze jest to zjawisko dzisiaj i jakże w ogóle inaczej poezja współczesna na Zachodzie, a w każdym razie jej część jeszcze popularna, określa swój charakter czy pojmuje swoje powołanie.

Nie wyrokując jednak i nie przesądzając, jedno można na temat przekładów Czerniawskiego z całą pewnością powiedzieć: jego próba zasługuje na podziw i ustala poziom wyższy niż dotychczas, torując drogę przekładowi lepszym. A w każdym razie nie naraża „na męki wyższego rzędu”.

Bogdan CZAYKOWSKI

Poletko Erskine'a Caldwell

Kiedy wiosną dziennik „International Herald Tribune” zamieścił obszerną sylwetkę Erskine Caldwell, jej ton kazał się domyślać, że o autorze *Poletka Pana Boga* będzie się już wkrótce pisać w czasie przeszłym. Sędziwy pisarz śmiertelnie chory na raka udzielił wówczas jednego z ostatnich wywiadów. Smutne to było pożegnanie, ponieważ dla wielu jego dawnych sympatyków niespodzianką był fakt, że ciągle jeszcze żył i pisał. Zmarł 11 kwietnia 1987 roku. Jeden z najpoczytniejszych w świecie pisarzy amerykańskich, wymieniany niegdyś jednym tchem z Faulknerem, Hemingwayem i Steinbeckiem, zdyskredytował swoją późną twórczością pojęcie „Wielkiej Czwórki” i stał się autorem niemal całkowicie pomijanym przez poważną krytykę. Jego los dowodzi, jak zgubną rzeczą dla literata może być łatwość pisania. Począwszy od debiutu pod koniec lat dwudziestych Caldwell wydał około pięćdziesięciu książek — powieści, zbiorów opowiadań, dzienników podróży, reportaży oraz dwie autobiografie. Był do tego stopnia płodny, że nawet w czasach największej jego sławy

wydawcy zwlekali z publikacją wszystkich dostarczonych przezeń rękopisów, a niektórzy — jak Farrar, Straus & Giroux i Scribner — w ogóle wycofywali się z dalszej z nim współpracy, kwestionując poziom artystyczny kolejnych dzieł. Przeżył dwa okresy ogromnej popularności: w czasach Wielkiego Kryzysu, kiedy przeróbka sceniczna *Drogi tytoniowej* zeszła ze sceny na Broadwayu po 3182 przedstawieniach, oraz w czasie wojny i tuż po jej zakończeniu, kiedy żołnierze amerykańscy stacjonujący w Niemczech i w Japonii masowo pochłaniali jego powieści. W 1946 roku *Poletko Pana Boga* osiągnęło nakład 4,5 miliona egzemplarzy. W Związku Sowieckim, gdzie miał opinię lewicowego twórcy powieści społecznej, był wydawany już w latach trzydziestych. Łączny nakład jego książek tłumaczonych na kilkadziesiąt języków wynosi ponad 75 milionów, natomiast opracowania krytyczne tej imponującej ilościowości twórczości są coraz rzadsze. Faulkner nazwał go wiele lat temu „największym pisarzem amerykańskim XX wieku”, co wspominał później z pewnym żałowaniem. W recenzjach *Drogi tytoniowej* powtarzał się epitet „nowy Zola”. Krytycy dopatrywali się w jego powieściach wpływów Sherwooda Andersona, Theodora Dreisera, Faulknera, a z klasyków europejskich — Balzaka i Maupassanta, także Freuda i D. H. Lawrence'a. Zwracano uwagę na element groteskowy i antyrealistyczny w jego najlepszych powieściach, na rabelaisowski gruby humor, na rybałtowską sprośność w stylu Chaucera, ale zarazem i na zasadniczo pesymistyczną wizję świata i losów białego proletariatu na Południu. Wnikliwi krytycy dawno już dostrzegli pewną sprzeczność tkwiącą w jego pisarstwie: z jednej strony naturalny dar opowiadania, z drugiej — pseudosocjologiczne ujęcie konfliktu. Caldwell był *voyeur'em* pragnącym zostać moralistą.

Gdy debiutował, w Stanach Zjednoczonych rozpoczął się złoty okres dla pisarzy Południa, nazwany później Południowym Renesansem, trwający do połowy lat sześćdziesiątych, obfitujący w talenty takie jak Truman Capote, Tennessee Williams. Caldwell systematycznie spadał w tej hierarchii, aż w końcu nie pisano o nim nic — lub prawie nic. Paul Binding, brytyjski profesor literatury i miłośnik Południa, nie poświęca mu ani jednego zdania w żywej i wnikliwej książce *Separate Country; A Literary Journey Through the American South* (Osobny kraj; podróż literacka po amerykańskim Południu) wydanej w 1979 roku. Zaznaczając na mapce Georgii miejsca urodzenia najwybitniejszych pisarzy tego stanu, nie stawia kropki w pobliżu Atlanty, gdzie w miejscowości White Oaks urodził się Erskine Caldwell, wedle jednych źródeł 17 grudnia 1903 roku, wedle innych — 1902 roku. Frederick Hoffman, autor książki *The Art of Southern Fiction* (Sztuka prozy Południa) wydanej w 1967 roku jedynie napomknął, że ktoś taki jak Caldwell istnieje, pisze po-

wieści społeczne i gorzej od Faulknera portretuje typy ludzkie. Nawet James Devlin, autor dość życzliwej pisarzowi biografii wydanej w popularnonaukowej serii Twayne Publishers (1984) zastrzega, że nie jest jego bezkrytycznym zwolennikiem i że odpisuje na straty właściwie całą jego twórczość powojenną. Caldwell — pisze Devlin — stał się pisarzem zapomnianym w swoim kraju mimo masowych nakładów, a krytyka przestała się nim zajmować już w latach czterdziestych. Gdyby o wydawaniu książek decydowały względy artystyczne, nie rynkowe, ostatnim dziełem Caldwell'a powinien być *Chłopiec z Georgii*, napisany w 1943 roku, może późniejszy o kilka lat *Palec boży*. Tymczasem Caldwell pisał dalej przez czterdzieści lat. Pisał, bo taki sobie obrał zawód. Pisarstwo traktował przede wszystkim jako rzemiosło, a nie sferę ducha. Cenił nade wszystko doświadczenie. Uważał na przykład, że pisarz podejmujący tematykę wiejską musi znać wiele gospodarskich czynności, żeby móc je następnie opisać. Gdy, poczawszy od lat chłopięcych, miał się różnych zawodów — miał ciągły kontakt z ludźmi, którzy stawali się dlań prototypami literackimi. W miarę gdy coraz częściej przesiadywał w pokojach hotelowych, pisząc intratne scenariusze filmowe dla Hollywoodu i zadowalał się odpoczynkiem w kasynach i barach Newady, tracił związek z naturalnym podglebiem. Populista z instynktu i przekonań, zamieniał się tam stopniowo w plutokratę. Pisał na starość o urodzie Las Vegas — jednym z najbardziej kiczowatych miast Ameryki. Jego siłą był plebejski witalizm. Jego późne obrazki obyczajowe z wizerunkami ludzi miejskich, z wyraźnym tonem moralizatorskim, brzmiały nieprawdźiwie. Bohaterka jednej z jego ostatnich powieści, *Bretta*, jest amerykańskim odpowiednikiem *Belle de jour*, sportretowanym jednak bez cienia finezji i humoru. Wulgarne okładki jego książek w kieszonkowych wydaniach dość uczciwie informują o ich zawartości. Caldwell opisuje w nich obyczaje erotyczne swoich rodaków z punktu widzenia wyzysku człowieka przez człowieka.

Nawet jego autobiografia *With All My Might* (Z całą mocą) wydana w 1986 roku jest — wbrew tytułowi — dość bezbarwną i pozbawioną siły wyrazu relacją o życiu wypełnionym ciągłymi podróżami, ślubami, rozwodami i pracą. Caldwell nigdy nie czuł się dobrze w środowisku intelektualistów i nie starał się uchodzić za erudyte. Jednakże z mieszanymi uczuciami czyta się jego wyzwanie, że wzbraniał się przed zbyt rozległymi lekturami, bo nie chciał, aby miały wpływ na jego pisarstwo. Nie wiadomo, czy należy mu wierzyć, gdy pisze, że nie czytał nigdy Londona, Hawthorne'a i Marka Twaine'a. A jednak od tego ostatniego, jak można przypuszczać, oraz od Sherwooda Andersona przejął jeden z typowych dla siebie chwytów literackich: narratora naiwnego. Ze względu na dość wąty podkład akademicki stawiał na

intensywność odczucia i na wrażliwość. Te jednak, z braku bodźców, słabły z wiekiem.

W grudniu 1983 roku Caldwell obchodził w Paryżu osiemdziesiąte urodziny. Otrzymał wówczas order *Arts et des Lettres de la République* i został obsypany depezbami gratulacyjnymi od pisarzy i poetów amerykańskich. Był to jednak z ich strony raczej gest serdeczności wobec jubilata niż dowód podziwu dla jego sztuki. Chłopiec z Georgii nie został Mędrcem z Georgii.



Był jedynym dzieckiem Ira'y Caldwell'a, pastora prezbiteriańskiego i Caroline Bell, kobiety na tyle wykształconej, by uczyć syna w domu do czternastego roku życia. Caldwellowie pochodzili ze środowiska robotników najemnych na plantacjach bawełny i ich status społeczny pozostał skromny. Dzieciństwo przyszłego pisarza było naznaczone ciągłymi przeprowadzkami do kolejnych prowincjonalnych parafii w stanach Południa, nazywanych nie bez słuszności „Bible Belt” — pasem Biblii. W Georgii — największym, najludniejszym i najbogatszym stanie Południa, a także, zdaniem cytowanego Paula Bindinga, najbardziej fanatycznym religijnie zakątku świata, Caldwell spędził pierwszych sześć lat swego życia. Potem już tylko odwiedzał rodzinne strony. Na Virginia University, gdzie warunkiem przyjęcia było pochodzenie w prostej linii od żołnierza armii konfederacyjnej, studiował socjologię i literaturę. Porzucił jednak studia, ożenił się młodo i przeprowadził do stanu Maine. Od tej pory nigdy już nie mieszkał na Południu. Jak wielu innych pisarzy amerykańskich, terminował z początku w dziennikarstwie — był reporterem, sprawozdawcą sportowym, wreszcie recenzentem książek. Artykuły przynosiły jednak tak skromne dochody, że jego żona założyła księgarnię, gdzie sprzedawała egzemplarze recenzyjne. W którymś momencie Caldwell zbuntował się: rzucił pisanie o książkach i postanowił zająć się wyłącznie pisaniem książek. Znalazł sobie agenta literackiego w Nowym Jorku, jadąc tam z walizką maszynopisów. Jego pierwsza powieść, *The Bastard*, ukazała się w 1929 roku. W ciągu czterech następnych lat wyszły cztery jego książki, w tym *Droga tytoniowa*, a towarzysząca jej aura skandalu (jako książka obsceniczna została wycofana ze sprzedaży w wielu stanach) przyniosła autorowi sławę. W latach 1933-1936 Caldwell wydał pięć kolejnych książek, w tym *Poletko Pana Boga*, zbiór nowel o życiu prostych ludzi w latach Depresji, tom reportaży z podróży po Ameryce. Nie od razu zdał sobie sprawę, że powinien zostać kronikarzem obyczajów Południa. W 1936 roku złożył projekt książki-albumu poświęconego pracy na plantacjach bawełny, ilustrowanej fotografiami. W ten sposób spotkał swoją

następną żonę — Margaret Bourke-White, głośną fotoreporterkę tygodnika *Life*. Wspólnie z nią ogłosił trzy książki dokumentarne, w tym cykl reportaży z Czechosłowacji pod tytułem *Na północ od Dunaju*, co wiązało się z jego pierwszą podróżą europejską latem 1938 roku. Margaret Bourke-White była też inicjatorką ich wspólnej wyprawy zawodowej do Związku Sowieckiego. Wydaje się dziś trudne do uwierzenia, że liberałowie amerykańscy tak byli zafascynowani „nowym” w Rosji, iż nie zwracali uwagi nawet na jej ówczesny sojusz z Niemcami. Zaraz po przyjeździe obojga do Moskwy nastąpiła inwazja Niemiec na ZSSR. Dzięki honorarium za sowieckie wydania swoich książek Caldwell miał zapewniony byt (wspomina: szampan, kawior, wódka) i zajmował się codziennymi doniesieniami dla Radia CBS. Jego żona dostąpiła zaszczytu sfotografowania Stalina na Kremlu. Przygoda moskiewska zakończyła się dla obojga w październiku 1941 roku; okrężną drogą dotarli do kraju. Plonem tej podróży dla Caldwell’a były dwie książki: cykl reportaży o doświadczeniu wojennym w Związku Sowieckim, wydany w 1942 roku pod tytułem *All Out on the Road to Smolensk* (Na drodze do Smoleńska) oraz — zdaniem krytyków — najgorsza jego powieść, *All Night Long* (Przez całą noc), której akcja toczy się w Związku Sowieckim. W czasach ostrej kampanii prosowieckiej w USA studio MKM zakupiło prawa do jej sfilmowania. Po powrocie do Stanów Caldwell zajął się pracą nad scenariuszem wedle sławetnej powieści *Mission to Moscow* (Z misją do Moskwy) autorstwa ambasadora USA, Josepha Daviesa. Jak pisze w swojej autobiografii, znalazł się z tego powodu w centrum gwałtownego starcia między dwiema frakcjami politycznymi w Hollywoodzie. Tamtejsi komuniści zarzucali mu, że jego wersja scenariusza jest ukrytym atakiem na Związek Sowiecki. Film, jak wspomina sam Caldwell, miał jednoznaczne cele propagandowe i został nakręcony, by przekonać opinię publiczną, że w czasach wojny „konieczny jest sojusz demokratycznej Ameryki z komunistyczną Rosją”. Ostatecznie jego nazwisko usunięto z czołówki filmu.

W 1942 roku pisarz przeprowadził się do Arizony i ożenił po raz trzeci. W Tucson napisał *Chtopca z Georgii*. Jeden z producentów hollywoodzkich zgłosił wtedy dość niepoczytalny pomysł adaptacji filmowej tej powieści z Eleanor Roosevelt w roli matki bohatera. Na szczęście do realizacji filmu nie doszło. W czasie wojny Caldwell, jak wielu innych pisarzy, pisał na zamówienie armii krótkie apele patriotyczne nadawane w radiu. Po wojnie ogłosił pięciotomową sagę o życiu prostych ludzi na Południu, źle przyjętą przez krytykę. Zaproszony w 1948 roku na sesję naukową w Kansas, został gwałtownie zaatakowany przez środowisko akademickie za to, że stał się „konkubiną gawiedzi”. Był też atakowany za swoje poglądy. Caldwell, jak twierdzi, nigdy

nie był *fellow traveller*, raczej populistą i w związkach zawodowych widział szansę dla ubogiej ludności Południa. Toteż ku swemu zdumieniu znalazł wzmiankę o sobie w książce *The Red Network* (Czerwona siatka) której autorka Elizabeth Dilling, przedstawiła listę znanych Amerykanów o komunistycznych lub komunizujących poglądach. Z równym zaskoczeniem przyjął wiadomość, że jego wieloletni agent literacki, Max Lieber, zbiegł do Meksyku w obawie przed komisją senatora McCarthy’ego. Caldwell robi wrażenie człowieka mało świadomego zmian politycznych w swoim kraju. Jak zwykle pochłaniała go produkcja literacka. Z lat pięćdziesiątych pochodzą szkice autobiograficzne *Call It Experience* (Nazwijmy to doświadczeniem), tom opowiadań *Opowieści z Zatoki Meksykańskiej*, powieść *Zdarzenie w Palmetto*. Po kolejnym rozwodzie ożenił się po raz czwarty i ostatni i przeniósł do Kalifornii. W 1958 roku odnotował, że najbardziej pragnie „zwiedzać świat i pisać opowieści o obyczajach ludzi”. Tak też się stało. Dzięki Serwisowi Informacyjnemu Stanów Zjednoczonych odbył pięć długich tur europejskich, odwiedził kilkakrotnie Związek Sowiecki (opisując przy okazji komiczny epizod pijacki w Moskwie ze Steinbeckiem). Był też trzykrotnie w Polsce — po raz pierwszy w 1973 roku, i niewiele z tego pobytu pamięta. Mylą mu się stolice i zabytki, Most Karola umieszcza w Warszawie. W 1975 roku przyjechał tam po raz wtóry, na Targi Książki, i z dumą podkreślił, że podpisał wówczas 900 egzemplarzy. Zimą 1981 roku otrzymał telegram od swego tłumacza polskiego, Kazimierza Piotrowskiego, który prosił go o przyjazd do Warszawy w związku z wydaniem *Zdarzenia w Palmetto*. Oto komentarz Caldwell’a: „Nigdy nie byłem obojętny na tego rodzaju zaproszenia, tym bardziej, że w tym konkretnym przypadku interesowała mnie możliwość zapoznania się na miejscu z coraz bardziej popularnym ruchem robotniczym ‘Solidarność’. Prestiż tej walki rzucał się w oczy od chwili naszego przybycia do Warszawy, ponieważ większość ludzi z jakimi mieliśmy kontakt nosiła opaski i znaczki ‘Solidarności’”. W związku Literatów Polskich Caldwell otrzymał order zasługi, co odnotował z niekłamanym zadowoleniem. Pod koniec życia nie szczędzono mu honorowych wyróżnień, ale milczenie krytyki amerykańskiej było zbyt wymowne, aby Caldwell mógł odejść syty sławy i zaszczytów. W jego autobiografii daje się zauważyć ton gorczy. Tyle napisał, ma miliony czytelników w świecie, a w Ameryce nie chcą go uznać za największego pisarza XX wieku?

W swoich najlepszych powieściach i nowelach wykazywał dar opowiadania charakterystyczny dla tradycji ustnych przekazów

na Południu. Cechą jego pisarstwa był nie realizm typu stendhalskiego, lecz, wedle terminologii amerykańskiej, „symboliczny materializm”, typowy dla twórców Południowego Renesansu. Biologiczny determinizm łączył z romantyczną wiarą w zbawczą moc uczuć. Seks był dlań zrazu wyzwoleniczą siłą, dowodem istnienia Boga w człowieku, podobnie jak u D. H. Lawrence'a. Caldwell miał też tendencje nihilistyczne. W każdym nihiliscie kryje się jednak moralista. *Droga tytoniowa*, bodaj najlepsza jego powieść, to studium gniewu, historia o tym, jaki świat nie powinien być. *Poletko Pana Boga* jest z kolei studium obsesji, groźnej w skutkach, ale i twórczej. Caldwell, przynajmniej do pewnego czasu, wierzył, że praca i seks są najwyższymi formami ekspresji człowieka. Ciekawość jest głównym motorem działania jego bohaterów. Postacie z jego opowiadań i powieści stale podglądają siebie nawzajem; to jedna z ich głównych czynności. W *Palcu bożym* gotowi są oglądać puste pole przez dziurę w płocie. Pasjonuje ich samo podglądanie, nawet nie to co widzą. Portretowani przez Caldwell'a ludzie są dziwakami, fanatykami, maniakami, ignorantami. Zabijają się wzajemnie i wykazują obojętność na cudze cierpienie, nie zdając sobie sprawy z własnego okrucieństwa. Czarny humor z jakim opisuje ich Caldwell należy do lokalnych specjalności Południa. Dosadność i zwięzłość jego dialogów, z charakterystycznymi powtórzeniami i powiedzonkami świadczy, że pisarz nie tylko podglądał, ale i pilnie podsłuchiwał swoich krajan.

Do tradycji literackiej Południa należy zarówno styl „wysoki”, jakim z maestrią posługiwała się Edith Wharton, jak i styl „niski”, plebejski. Caldwell uderzał od razu w fałszywy ton, gdy usiłował opisywać środowisko ludzi wykształconych. Nie miał tak szerokiej wizji jak Faulkner, który dokonywał cięcia przez wszystkie klasy społeczne i z równą łatwością wcielał się w pułkownika Sartorisa, co i w bełkotliwego Murzyna z majątku Sutpena. Osiągnął jednak znaczną wiedzę o obyczajach „białej hołoty”, jak ją pogardliwie nazywają na Południu. Był też znawcą najdziwniejszych sekt religijnych w rodzaju Holly Rollers czy Snake Handlers. Poświęcił im całą książkę, a nawiedzeni kaznodzieje płci obojga często występują w jego prozie. Nigdy nie wiadomo do końca, czy są oszustami, czy też upadłymi aniołami.

Jak dziś, bez sentymentów, należałoby ocenić znaczenie Erskine'a Caldwell'a dla literatury amerykańskiej? Z pewnością jego zainteresowanie prostym człowiekiem zasługuje na uwagę. Gdy operuje przerysowaniem, groteską, jest dużo lepszy niż w „małym realizmie”. Z jego rodzinnej Georgii pochodzi troje pisarzy, których należałoby postawić wyżej od niego w hierarchii: Carson McCullers, Flannery O'Connor i Marion Montgomery. Zasadniczą prawdę o doświadczeniu Południa potrafili przekazać

lepiej i bardziej subtelными środkami artystycznymi. Pisarze Południa, zdaniem cytowanego już Paula Bindinga, pragną zakomunikować światu, że stosunki między różnymi rasami nie są kwestią do rozwiązania przy pomocy kilku ustaw prawnych i zdają sobie sprawę z wagi tych słów. Dyktuje im takie przeświadczenie nie płytki szowinizm, nie potrzeba zachowania wątpliwego etycznie *status quo*, lecz zdobyta przez nich wiedza o skomplikowanej naturze ludzkiej. Pisarz Południa, zdaniem Fredericka Hoffmana, jest z natury tragikiem, nawet jeśli nakłada maskę błazna, bo tego go uczy historia tych ziem. W większym stopniu niż pisarz Północy posiadał wiedzę o granicach ludzkich marzeń i aspiracji. Wierzy jednak w ocalającą moc Łaski, bo choć ludzie są zdeprawowani, Bóg mimo wszystko ich zbawi.

Południe, znacznie bardziej niż uprzemysłowiona Północ, jest dla jego piewców przede wszystkim ziemią — zhańbioną i skrwawioną, ale nadal obszarem *sacrum*, gdzie należy dokonywać rytuału oczyszczenia. Północ, ciągle w ruchu, pochłonięta jest heraklitejskim dzianiem się; Południe w tradycji literackiej pozostaje hieratyczną trwałością, gdzie czas stanął i gdzie słowo „wojna” nieodmiennie oznacza nie drugą wojnę światową, lecz wojnę secesyjną. Północ patrzy w przyszłość, Południe — ciągle w przeszłość. Jak to zauważył poeta Allan Tate, dokładna pamięć jest cechą charakterystyczną wszystkich pokonanych. Literatura

Południa odwołuje się przede wszystkim do archetypu, ujawnia skłonność do mistycznej reprezentacji życia, czego najdoskonalszym wcieleniem jest twórczość Williama Faulknera.

Dziś nie Caldwell, lecz przedwcześnie zmarłą Flannery O'Connor wymienia się wspólnie z Faulknerem jako najwybitniejszych pisarzy Południa. Jej opowiadania również zaludniają gwałtowni i opętani ludzie, których spotykają dopusty na miarę biblijnych. O'Connor — katoliczka śledząca najbardziej fanatyczne środowisko protestantów w świecie — zauważyła kiedyś w wywiadzie, że mieszkańcy głębokiego Południa są „nie tyle ześrodkowani na Chrystusie, co czują się przez Niego nawiedzeni”.

Przy wszystkich różnicach, istnieją odległe choć wyraźne analogie między dwoma głównymi nurtami literatury amerykańskiej i dwiema zasadniczymi tradycjami literatury europejskiej — Wschodu i Zachodu, nie tylko dlatego, że pokonani piszą literaturę pamięci. Idąc dalej tym tropem, należałoby dodać, że dorobek literacki amerykańskiego Południa może się kojarzyć czytelnikowi polskiemu z literaturą kresową, a szczególnie tą, która wywodzi się z Wielkiego Xięstwa Litewskiego — ziemi wybujałych indywidualistów, „oryginałów”, a zarazem obszaru mistycznego, krainy ciągle żywego mitu, kultu ziemi i przodków, szczególnej religijności o silnych pierwiastkach pogańskich. Nie jest

przypadkiem, że amerykański tłumacz *Doliny Issy* sięgnął po jedno z opowiadań Faulknera, szukając w nim odpowiedniego dla powieści idiomu w języku angielskim.

Paradoks Caldwell: nieznan autor powieści wydawanych w masowych nakładach. Tak, bo jego czytelnicy pochłaniali akcję, nie zważając na nazwisko autora. Pozostałby może wajdelotą Południa, gdyby nie uległ pokusom rynkowym, nie ruszył się z Georgii i z rodzinnego powiatu Coweta uczynił mikrokosmos. Faulkner wybrał roztropniej — wrócił do Missisipi, uciekł z Hollywoodu.

Renata GORCZYŃSKA

Londyn leży nad Wisłą

Polska i sprawy polskie nie zajmują już takiego miejsca w angielskiej prasie i środkach masowego przekazu, jak w okresie „Solidarności” i stanu wojennego, ale za to jest więcej spojrzenia z pewnej perspektywy, głębszego zainteresowania polską terażniejszością i przeszłością. Wyraża się to głównie w popularności polskiej sztuki i — co więcej — w wejściu polskiej tematyki do angielskiej powieści i angielskiego teatru. Polskie motywy w najnowszej literaturze angielskiej — to temat osobny i duży; polska muzyka ma od dawna ustaloną pozycję w opinii znawców, ale chyba dopiero w obecnym sezonie dotarła do szerszej publiczności w związku z różnymi szczytnymi wyróżnieniami polskich kompozytorów.

W teatrach są polskie sztuki, albo sztuki angielskie z polską problematyką, z polskimi bohaterami, i to na takich scenach jak londyński Teatr Narodowy i Royal Shakespeare Theatre. W telewizji pełno filmów polskich i o Polsce, reportaży i dyskusji, zainteresowania dla życia polskiej emigracji. Dałoby się niemal powiedzieć, że *Londyn leży nad Wisłą*, skoro w tym samym miesiącu można w teatrach zobaczyć sztukę, której główną bohaterką jest imigrantka z Polski, Halina Rodziewiczówna; sztukę od tak dawna zapomnianej Stanisławy Przybyszewskiej; wznowienie komedii Bernarda Shawa, gdzie zjawia się na scenie, jako jedyna właściwie postać pozytywna, polska kobieta; sztukę opartą na stenograficznym zapisie procesu morderców ks. Popiełuszki, dwukrotnie wznawianą w telewizji; telewizyjny dramat znanego autora, T. Stopparda, o rozwoju „Solidarności”, Wałęsę i stanie wojennym, parokrotnie powtarzany od czasu premiery.

W salach koncertowych specjalny, jubileuszowy koncert Royal

Philharmonic Society, poświęcony Lutosławskiemu; *Dziewięta Symfonia Panufnika*; pierwsze w Anglii wykonanie pełnej wersji „Polskiego Requiem” Pendereckiego w obecności żony następcy tronu, księżniczki Diany; obchody stulecia urodzin Rubinsteina, w których odczyty, filmy, recitale i koncerty na cały dzień zajęły największą londyńską salę koncertową, Royal Festival Hall. W jednym z popularnych kin zorganizowano cykle filmów polskich, które dotyczą problemu żydowskiego, albo też takich, w których występują polscy Żydzi. Każdy film poprzedzała prelekcja, otwierająca drogę do dyskusji po filmie.

Początkiem tych licznych manifestacji artystycznych, zawsze w jakiś sposób połączonych z Polską, było przyznanie Lutosławskiemu Złotego Medalu Royal Philharmonic Society, co jest jednym z najszacowniejszych na świecie wyróżnień w zakresie muzyki, czymś co można określić jako nagrodę Nobla w tej dziedzinie. Królewskie Stowarzyszenie Popierania Muzyki Symfonicznej powstało w 1812 roku, a więc w sezonie 1986/1987 przypało 175 lat istnienia tej instytucji o światowym znaczeniu. W czasach, kiedy koncerty miały jeszcze charakter na wpół prywatnych występów dla wybranego grona (na koncerty Chopina w Paryżu w 25 lat później potrzebne było osobiste zaproszenie, żeby można było kupić bilet) jego zadaniem było udostępnianie muzyki dla szerszej publiczności i zamawianie u kompozytorów nowego repertuaru. Wśród tych zamówień jest kontrakt z Beethovenem, z którego wynikało pierwsze wykonanie IX Symfonii Beethovena na koncercie w 1825 roku. Manuskrypt kompozycji do dziś dnia znajduje się w bibliotece Towarzystwa.

Od 1871 roku Towarzystwo zaczęło przyznawać „złote medale” wybitnym kompozytorom i odtwórcom. Wśród laureatów są takie nazwiska jak Gounod, Brahms, Ryszard Strauss, Prokofiew, Rachmaninow, Szostakowicz itd. Spośród Polaków: Paderewski i Rubinstein. Dopiero to pokazuje we właściwym świetle znaczenie wybrania Lutosławskiego na obecnego laureata. Na jubileuszowym koncercie Towarzystwa, podczas którego wykonano III Symfonię laureata, złoty medal wręczył Lutosławskiemu senior kompozytorów brytyjskich, Michael Tippett. Poza tym Towarzystwo nawiązało do tradycji zamawiania utworów i zapewniania sobie ich pra-wykonania: zwrócono się do A. Panufnika o napisanie nowej symfonii, która w jego dorobku będzie *dziewięcią*. Jasne, że Royal Philharmonic Society chciało w tym wypadku nawiązać do swego pamiętnego pierwszego zamówienia sprzed 165 laty, do beethovenowskiej „*Dziewiętej*”. Intencja wyróżnienia polskiego kompozytora jest tu oczywista.

Swą „*Dziewięcią*” Panufnik nazwał „*Sinfonia di Speranza*” — „*Symfonia Nadziei*” — i podkreślił to określenie brawurowym, optymistycznym finałem. Jest to utwór na dużą orkiestrę symfoniczną, z obfitym użyciem perkusji, oparty, jak zwykle w twórczości Panufnika, na symetrii i przeciwstawie poszczególnych części, wynikających z przyjęcia przez kompozytora pewnego geometrycznego wzoru jako podstawy struktury muzycznej. Lutosławski jest z wykształcenia matematykiem, Panufnik w geome-

trii widzi dekalog harmonii i celowości świata. Z abstrakcją Panufnik łączy zgoła niedzisiejszą symbolikę i — ponieważ odwiecznym biblijnym symbolem nadziei i lepszej przyszłości jest tęcza — epizody muzyczne jakby odpowiadają wznoszącym się i opadającym łukom tęczy. Zabawienie uczuciowe odpowiada siedmiu kolorom tęczy: kolory „chłodne” mają odbicie w spokojnych tempach, w tonacjach minorowych; kolory „ciepłe” — w żywym tempie, w ciepłej, soczystej barwie użytych instrumentów i w tonacjach majorowych. [To teoretyczne założenie istnieje głównie w świadomości autora i nie obciąża utworu, melodyjnego i pełnego ekspresji, łatwo trafiającej do publiczności].

Penderecki przyjechał do Londynu, ażeby swoje „Polskie Requiem”, wykonane poza tym w Stuttgarcie, Hamburgu i Kolonii, poprowadzić w dniu poświęconym pamięci Artura Rubinsteina w stulecie jego urodzin. Myśl uczczenia pamięci żydowsko-polskiego pianisty premierą tak bardzo polskiego utworu wywołała reakcję prasy żydowskiej w Anglii, dziwiącej się, że hołd cieniem żydowskiego artysty składa się wykonujący polski utwór. I tu zaczęto przesadnie rozwijać motywy przedwojennego polskiego antysemityzmu. Nie było takiej reakcji w Izraelu; w Londynie posypały się w odpowiedzi głosy podkreślające związki Rubinsteina z Polską i polskimi artystami.

„Polskie Requiem” Pendereckiego odbiega od wzorów liturgii żałobnej mszy św. i powstawało stopniowo, jako reakcja twórcy na przejmujące wydarzenia w Polsce. Najpierw została skomponowana muzyka do „Lacrimosa” w mszy żałobnej napisana na osobistą sugestię Wałęsy i przeznaczona do odegrania podczas ceremonii poświęcenia pomnika, wzniesionego dla upamiętnienia śmierci robotników stoczni od strażaków sprowadzonego wojska. „Agnus Dei” był najpierw kompozycją chóralną: tę część Penderecki napisał w ciągu jednej nocy po śmierci kardynała Wyszyńskiego; śpiewały to chóry na pogrzebie Kardynała. Inna część „Requiem” — „Dies Irae” — powstała w 40-tą rocznicę powstania w getcie warszawskim. Wreszcie finał najbardziej łączy pamięć o polskim dramacie i tragedii żydowskiej i wykracza poza zwyczajową liturgię żałobną, wydobywając dwa motywy: polski chorał „Święty Boże, święty mocny...” i uroczystą modlitwę hebrajską, „Kadis”, odmawianą przez syna nad grobem ojca. Tekst hebrajski splata się z tekstem polskim.

W ujęciu Pendereckiego „Requiem” staje się emocjonalną kroniką muzyczną polskich losów, zgodnie z tym co powiedział autor, że w polskich warunkach „nawet muzyka liturgiczna jest zaznaczeniem, po jakiej stronie kompozytor się opowiada”.

Na innych koncertach londyńskiego sezonu przypominano często dawne utwory Panufnika, dano pierwsze wykonanie jego koncertu na fagot, napisanego na zamówienie amerykańskie i dedykowanego pamięci ks. J. Popiełuszki. Po raz pierwszy w Anglii na koncercie przypominającym 50-tą rocznicę śmierci K. Szymanowskiego, wykonano pełną partyturę baletu „Harnasie”, przy czym chóry i solista śpiewali po polsku, starannie zachowując dykcję Podhala. W największych salach koncertowych

często występują polscy dyrygenci Witold Rowicki, Jerzy Maksymiuk i St. Skrowaczewski, który objął stałe kierownictwo muzyczne znanej Orkiestry „Hallé” z Manchesteru, przywracając jej poziom międzynarodowy. Osiedliła się też w Anglii pianistka Maria Bujańska, profesor krakowskiej Akademii Muzycznej, uczennica L. Kentnera, dająca w B.B.C. i na koncercie recital chopinowski, który od razu zwrócił na nią uwagę.

W obecnym sezonie angielski Teatr Narodowy obchodził 10-tą rocznicę przejścia do nowoczesnego gmachu nad Tamizą. Zaznaczono to nieoczekiwanie wystawieniem sztuki o polskim temacie: komedii „Jakubowski i pułkownik”, napisanej podczas wojny przez F. Werfla, opracowanej następnie przez S. N. Behrmána i odnoszącej bezpośrednio po wojnie bardzo duże sukcesy na scenach amerykańskich i europejskich. Podczas wojny Franz Werfel uciekł z żoną (dawną żoną Mahlera) na południe Francji i stamtąd wyostał się do Stanów Zjednoczonych, gdzie od razu podążył do Hollywood. Zebrało się tam całe grono pisarzy niemieckich z Brechtem i Tomaszem Mannem na czele. Werfel wkrótce odniósł sukces wydawniczy „Pieśnią o Bernadecie”, którą ślubował napisać, przemyskując się koło Lourdes, gdy tylko uda mu się wyostać z zasięgu Niemców. Na przyjęciu w domu Maxa Reinhardta opowiadał o dziejach swojej ucieczki i o spotkanej po drodze dziwnie dobranej parze: polskim pułkownikiem o sarmackim typie i skromnym żydowskim krawcu. Wszyscy wyczuli dobry temat; namówili Werfla, Werfel napisał sztukę. Ale sztuka nie mogła doczekać się wystawienia, Werfel nie dostosował się do wymagań Hollywoodu, które Brecht określił wtedy w słynnym aforyzmie: „Pamiętajcie, dla nich trzeba pisać źle, ale trzeba to robić bardzo dobrze. S. N. Behrman zrobił swoją adaptację, porzucił symbolizm, rozwinął motywy komediowe i sztuka stała się w Nowym Jorku długotrwałym sukcesem kasowym. Była to, jak mówił Werfel, „komedia w tragedii”.

Akcja opierała się na konieczności wywiezienia z Paryża ważnych dokumentów przez polskiego pułkownika, który musi znaleźć samochód i benzynę. Samochód sprytnie kupuje polsko-żydowski handlowiec, pułkownik może prowadzić wóz, mając do pomocy swego ordynansa, typowego kmiotka-roztropka. Ta spółka życiowa Żyda i oficera-antysemity symbolicznie podkreśla wspólnotę interesów ludzi, dotąd mało skłonnych do współdziałania. Zrozumieli potrzebę przymierza, gdy musieli się razem ratować przed Niemcami. Wszystko ich różniło, ale historia narzucała im solidarność. Premiera londyńska miała duże powodzenie.

Wkrótce potem Teatr Narodowy wystawił sztukę już bezpośrednio związaną z polskimi problemami. Tytuł, wzięty z języka lotników, „Podchodzę do lądowania” („Coming-in to land”) nawiązuje do przybycia samolotu, którym przyjeżdża uciekinierka z Polski, Halina Rodziewiczówna. Wylądowawszy w Londynie,

jest zdecydowana zostać tu za wszelką cenę. Odtwarza tę postać głośna aktorka komediowa, Maggie Smith (dwa filmowe „Oscar-y”), co zapewnia sztuce powodzenie, nieusprawiedliwione tekstem. Autorem komedii jest Stefan Poliakow. W ujęciu reżysera i aktorki jest to Polka paniusiowata, źle ubrana, chciwa na „ciuchy” — przykra niezdarna postać, wykorzystywana w farsowych celach, przy zupełnym niezrozumieniu sprawy emigracji politycznej, czy choćby szukania w Anglii lepszych warunków życia. Między Rodziewiczówną, szybko znajdującą nielegalne zatrudnienie, a angielskim urzędem imigracyjnym rozgrywa się pojedynek sprytu i forteli. W grę wchodzi i możliwość fikcyjnego małżeństwa i powoływania się na prześladowania polityczne. Natarczywa Polka w końcu wygrywa.

Autor, syn imigrantów z czasów rewolucji rosyjskiej, musiał chyba w dzieciństwie czytać powieści Rodziewiczówny i stąd wziął nazwisko, którego wymowy starannie się nauczyli aktorzy, tak jak Maggie Smith zrećnie przyswoiła sobie polski akcent w języku angielskim.

Dość miłą niespodzianką w porównaniu z tą raczej nieprzyjemną, bliższą figurą ze współczesnej sztuki, jest odważna, samodzielna Polka z wyciągniętej z zapomnienia, bardzo niegdyś kontrowersyjnej sztuki Bernarda Shawa pt. „*Mezallians*” (Misalliance). Królewski Teatr Szekspirowski wystawił tę reżenorską komedię o roli kobiety na wielkiej scenie Barbican Arts Centre chyba ze względu na oryginalną jej bohaterkę, Linę Szczepanowską. Shaw przeciwstawia wybitną indywidualność Polki bierności angielskiej klasy rządzącej oraz konwencjonalnym pojęciom o roli kobiety.

Konfrontacja angielskiej i polskiej kobiecości rozgrywa się w zamożnej wiejskiej siedzibie fabrykanta bielizny, który stworzył imperium finansowe w oparciu o popularną markę „zreformowanych” męskich ineksprymabli. Idzie o dalszy tradycyjny krok, o związanie świata pieniądza ze światem dobrze urodzonych: córka wyjdzie za mąż za potomka arystokracji, pieniądz kupi nazwisko. Córka jednak nie chce być sprzedajnym manekinem w służbie interesów ojca i znajduje nieoczekiwanego sprzymierzeńca w spadającej — dosłownie! — z nieba polskiej emancypantce. Lina Szczepanowska ląduje w tym środowisku ratując pilota prywatnego samolotu. Przyjęła zaproszenie sportowego arystokraty do próby pobicia długości lotu w jego prywatnym aparacie, i gdy samolot, niezręcznie prowadzony, stracił szybkość, ocala wszystko swą energiczną interwencją. Ta sytuacja, bardzo sceniczna, jest punktem wyjścia konfrontacji między życiem zamożnych angielskich panien na wydaniu, a kobietą żyjącą samodzielnie, odpowiedzialną za swój los, mającą własne pieniądze i własną karierę. *Pour épater le bourgeois* Shaw robi swą polską pozytywną bohaterkę, ni mniej ni więcej, tylko cyrkówką z zawodu. Wymaga szacunku dla jej pracy. Szczepanowska chodzi po linie, jest znana na całym świecie, zapraszana do wszystkich stolic. Najwięksi bogacze i najlepsze nazwiska ofiarowują jej małżeństwo. Jest, jak byśmy dziś powiedzieli, prawdziwą gwiaz-

dą. Śmieje się z milionów i tytułów, nie interesuje jej banalne małżeństwo. Shaw stawia Szczepanowską swym Anglikom za wzór odwagi życiowej i osobistej godności. Co więcej, przypisuje te cechy, jako typowe, polskiemu charakterowi. Doprawdy, sztuka do wystawienia w Warszawie!

Sama Szczepanowska określa swe usposobienie jako „typowo polskie”, to znaczy — zamiłowanie do ryzyka i niezależności! I mówi, że polskie warunki są takie, iż w ostatnich 150 latach nie miały ani jeden dzień, żeby „jakiś członek mej rodziny nie ryzykował życia”. Ta przesadna formuła jest aluzją do polskich powstań i Shaw, tak często niechętny Polakom, tym razem wybrał Polkę na sztandarową pozytywną postać komediową.



Stanisława Przybyszewska, nieślubna córka Przybyszewskiego i łwowskiej malarki Anieli Pająk, latami na próżno dobijała się do dyrekcji teatrów. Nie wystawiono żadnej z jej sztuk o Rewolucji Francuskiej. Zmarła w biedzie, nadużywając narkotyków. Do końca dumnie odrzucała pomoc, szczyliła się swą odrębnością i nawet smutną samotnością, w której „tkwi moja niewidzialna siła”. Chciała nie pomocy, lecz sławy. Fascynowała ją historia rewolucyjnej Francji, na której temat korespondowała z wybitnymi ludźmi epoki. Stworzyła trzy sztuki związane z kryzysami rewolucji i napisała powieść polityczną o Robespierre’u i Kamilu Desmoulins, a zarazem o walce Robespierre’a z Dantonem. Po wojnie znaleziono rękopis sztuki „*Sprawa Dantona*” — temat fascynował ją od czasu poznania sztuk Büchnera i R. Rollanda o tej samej sprawie, uznanych przez nią za „dziecinne” potraktowanie wielkiego konfliktu. W latach sześćdziesiątych Wajda wystawił w Warszawie „*Sprawę Dantona*” — ta próba interpretowania Przybyszewskiej posłużyła potem za punkt wyjścia do jego francuskiego filmu o Dantonie, gdzie wyczuł paralelę między francuskimi a polskimi dziejami.

Już w inscenizacji warszawskiej zaczęło się przekształcanie postaci Dantona i odchodzenie od intencji autorki. Przybyszewska bowiem widziała w Robespierre’u ideał człowieka Rewolucji — bojownika czystego, nieugiętego, wymagającego od siebie i innych absolutnego oddania dla abstrakcyjnego celu, gardzącego naturą ludzką. Danton chciał rewolucji na miarę człowieka i wyznaczał granicę ceny, jaką warto płacić za przekształcanie społeczeństwa. Dla Robespierre’a, w odczuciu Przybyszewskiej, „permanenna rewolucja” była pogonią za ciągle oddalającym się ideałem, walką ideału z naturą ludzką, którą trzeba złamać i zmienić, choćby terrorem. Dla Dantona rewolucja była usunięciem zła i osiągnięciem rzeczy możliwych. Tą właśnie zwykłością, ziemskimi apetytami, sympatią dla szarego człowieka ograniczonego swą naturą, Danton budził w Przybyszewskiej obrzydzenie i wrogość. Była więc za Robespierrem, tak jak Wajda i w teatrze i w swym filmie był za Dantonem. Wskutek powstałych analogii historycznych Wajda nawet nie mógł zająć innego stano-

wiska — głos za Dantonem był wówczas głosem polskiej opinii publicznej.

B. Taborski, gorliwy tłumacz polskiej literatury dramatycznej na angielski, przełożył wszystkie sztuki Przybyszewskiej, które miały ukazać się w jednym tomie. Nie doszło do tego, ale tekst trafił do rąk reżyserów Royal Shakespeare Company, a w końcu do rąk znanej autorki dramatycznej, Pam Gems. Przerobiła ona oryginał Przybyszewskiej i w końcu „Sprawa Dantona” w błyskotliwej inscenizacji z wielkimi, panoramicznymi scenami zbiorowymi, trafiła na scenę szekspirowskiego teatru.

Powtórzyła się historia z odwracaniem intencji autorki — Danton, a nie Robespierre okazał się prawdziwym bohaterem sztuki. Gems zmieniła w sztuce proporcje i intencje, opowiedziała się za Dantonem. Wersja angielska wykorzystwała nowe prace naukowe o Robespierre i jego przeciwstawieniu się skrajnej lewicy, opętanej terrorem dla samego terroru, lecz Robespierre w każdym ujęciu musi pozostać człowiekiem wierzącym tylko we własną słuszność — może i musi być tylko dyktatorem. Tak więc i sztuka Gems i film Wajdy stały się ostrzeżeniem przed Robespierrem, i, do pewnego stopnia, apologią Dantona. Wajda podkreślił to dodatkowo, charakteryzując „Nieskazitelnego” na podobieństwo generała Jaruzelskiego. Gems nie idealizuje Dantona, ale kładąc nacisk na sceny zbiorowe, na technice manipulacji politycznej wydobywa myśl, że linia Robespierre'a nie pozwala na dyskusję, na pozytywną ewolucję rewolucji. Danton uznaje istnienie znaku zapytania, toteż w ostatecznym bilansie on, a nie Robespierre, jest prawdziwie ludzki, mimo błędów i karygodnych słabości.

Na scenie londyńskiej Przybyszewska zobaczyłaby dziś rozległe widowisko historyczne z morałem odmiennym od jej marzeń, ale zgadzającym się ze współczesnym odczuwaniem tych spraw. Pełnię sprawy mogłoby dać tylko wystawienie całej trylogii, łącznie z „Thermidorem”, sztuką o upadku Robespierre'a.

Poza teatrem sztuki o polskiej tematyce, i to przeważnie tematyce aktualnej, są częstym zjawiskiem w brytyjskiej telewizji, sięgając do milionów widzów i wywierając na opinię wpływ o wiele silniejszy niż teatr. Ale to już inny, złożony i pasjonujący przedmiot obserwacji.

Zdzisław BRONCELL

Wystawa Ernesta Kosmowskiego (1900-1983)

11 lipca br. nastąpi otwarcie wystawy 40-stu płócien Ernesta Kosmowskiego w Honfleur (Calvados) w Grenier-à-Sel, rue de la Ville. Wystawa będzie trwała do końca sierpnia.

Kim był Ernest Kosmowski? Urodził się w Warszawie, gdzie studiował prawo, po czym wstąpił do Szkoły Sztuk Pięknych w roku 1926, ukończył ją w 1932. Był uczniem Tadeusza Pruszkowskiego, ale jak sam pisał szukał również innych kierunków u profesorów Skoczylasa, Jastrzębowskiego i Bartłomiejczyka, a nawet u starego już wówczas Tichego, specjalisty od malarstwa ściennego.

W czasie wojny był zmobilizowany. Po kampanii wrześniowej przedostał się do Francji, gdzie służył w wojsku polskim, i dostał się do niewoli. Uciekł ze stalagu, gdzie zrobił wiele rysunków. Wrócił do Paryża, gdzie żył z malarstwa, musiał jednak uciekać, gdyż był poszukiwany przez Gestapo jako zbieg z niewoli i członek Ruchu Oporu. Osiedlił się w Normandii w Mortagne-au-Perche. W 1943 przystąpił do sieci polskiego Ruchu Oporu „Monika”. W tym okresie poznał słynnych malarzy francuskich Maurice Denis, van Dongena, Menessiera; zbliżył się do krytyka sztuki Georges Pillemona, który potem, w 1978 roku, wydał piękną ilustrowaną broszurkę o nim ze swoją przedmową. Po uwolnieniu Francji Kosmowski wrócił do Paryża, osiedlił się na Avenue de Saxe, gdzie mieszkało i pracowało w tym czasie wielu polskich malarzy. Jako inwalida wojenny został wysłany na wypoczynek do Nicei, gdzie spotkał się i zaprzyjaźnił z Bonnardem, stykał się również z Matissem.

Po powrocie do Paryża malował, był bardzo płodny, poszukiwał swojej drogi. Nawiązał stosunki z polskimi malarzami Kazimierzem Zielenkiewiczem (Casiel), z Grabowskim, z Janikowskim. Prowadził wielkie dyskusje na temat sztuki z Józefem Jarema, założycielem Art Club International w Rzymie.

W latach 1955-1959 przechodził okres post-kubizmu, konstruktywizmu i przez krótki czas abstrakcjonizmu. Namalował setki obrazów olejnych, około dwustu rysunków kolorowymi kredkami i monotypy. Wystawiał wiele w Paryżu, ale w tym czasie niewiele sprzedawał i przechodził trudny okres.

W 1960 roku przeniósł się z rodziną do Honfleur. Rozpoczął nowy okres, malarstwo pełne światła i koloru, figuratywne na granicy abstrakcji, pejzaże morskie, dzieci, portrety, przeważnie dziecięce, trochę tematów religijnych.

Przychodzi uznanie, powodzenie i dostatek. Wystawy w całej Francji, w Belgii, trzykrotnie w Nowym Jorku i w innych miastach Stanów Zjednoczonych.

Zmarł w Honfleur w 1985 roku. Do końca życia malował.

Ci, co odeszli

Adam Rudzki

W Nowym Jorku zmarł nagle w dniu 3 maja br. Adam Rudzki, wybitny działacz niepodległościowy, który położył wyjątkowe zasługi dla polskiej emigracji politycznej. Cechował go niezmiernie przyjazny stosunek do ludzi i do potrzeb zbiorowości. Utrzymywał rozległe stosunki z twórcami, intelektualistami i działaczami zarówno żyjącymi w Polsce jak i rozszanymi po świecie. Dzięki tym cechom stanowił element wiążący Polaków niezależnie od tego, gdzie się w danym momencie historycznym znaleźli. Adama Rudzkiego cechowała wnikliwość i wrażliwość wobec ludzi i wobec problemów. Miał życzliwy stosunek do wszystkich, którzy nie kolaborowali i nie ulegali wpływowi komunistycznym. Był bardzo uczulony na wszelkie odstępstwa od jasnej linii niepodległościowej i od postulatów pełnego samostanowienia i suwerenności Polski.

Pochodził z kresowej rodziny. Urodził się w Petersburgu 3 grudnia 1901 roku jako syn Wiktora Rudzkiego, doktora medycyny, i Jadwigi Jocher. W czasie pierwszej wojny światowej uczęszczał do gimnazjum w Carskim Siole. Tam zmarł jego ojciec. Był świadkiem rewolucji bolszewickiej w Petersburgu. Następnie przedostał się do Polski i wstąpił w szeregi Wojska Polskiego. Brał udział w obronie Lwowa, w akcjach poza oblężonym miastem, uznanych za obronę Lwowa, jako ułan-kawalerzysta walczył w wojnie polsko-sowieckiej w 1920 roku. Studiował i ukończył ekonomię na Uniwersytecie Poznańskim w roku 1924. Wkrótce po studiach pracował w Radzie Portu w Gdańsku, a po kilku latach przeniósł się do Warszawy jako przedstawiciel handlowy Rady Portu, pracując jednocześnie w Ministerstwie Przemysłu i Handlu jako ekspert od taryf przewozowych.

Jesienią 1937 roku został dyrektorem portu w Gdańsku i przeniósł się do Sopot. Pozostał na tym stanowisku do wybuchu wojny. Gdańsk opuścił w ostatniej chwili. Zmobilizowany jako oficer rezerwy, skierowany został we wrześniu 1939 roku w rejon

Grodna i Wilna. Po 17 września przekroczył granicę litewską, po czym został internowany. W grudniu 1939 roku przedostał się do Szwecji, następnie przez Norwegię, Szkocję i Anglię do Paryża, gdzie pracował jako ekonomista dla rządu polskiego. Po upadku Francji znalazł się w Anglii, ściślej w wojsku w Szkocji w randze porucznika trenował czołgistów. Odwołany do Londynu, wrócił do swego zawodu, pracując nad planami rozwoju polskiego wybrzeża i żeglugi po wojnie. Rezultatem tej pracy są wydane w roku 1945 w Londynie dwie książki.

Nadszedł koniec wojny. Polscy narzucono postanowienia jałtańskie. Adam Rudzki nie wrócił do kraju, przeciwnie, związał się z grupą protestującą przeciw uchwałom jałtańskim i poprzez swoją publicystykę nawoływał do masowego pozostawiania za granicą nie tylko jako formy protestu, ale zarazem organizowania w świecie grupy Polaków, których zadaniem będzie domaganie się spełnienia postulatów Polski jako sojusznika aliantów w drugiej wojnie światowej. Czując się wilnianinem, gdzie wychowywał się i ukończył szkołę, Adam Rudzki nie godził się z terytorialnymi rozwiązaniami narzuconymi Polsce. Poglądom swym dał wyraz w szeregu broszur wydanych pod pseudonimami Walański i Almarski. Rozeszły się one w wysokich nakładach wśród demobilizowanego wtedy Wojska Polskiego w Anglii i wywarły wpływ na postawę emigracji. Adam Rudzki był założycielem polskiego ruchu wolnościowego Niepodległość i Demokracja, przyczyniając się do sformułowania postaw ideologicznych tej grupy młodszego pokolenia, która przez 40 lat miała następnie odgrywać poważną rolę w politycznym kierownictwie emigracji.

W okresie demobilizacji Armii Polskiej zachodziła potrzeba zorganizowania żołnierzy przechodzących do życia cywilnego. Adam Rudzki brał czynny udział w powołaniu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i z ramienia tej organizacji prowadził Biuro Informacji i Porad (BIP). Była to instytucja udzielająca wszelkiego rodzaju pomocy i porad żołnierzom pozostającym na emigracji i uchodźcom cywilnym, zdecydowanym osiedlić się w Wielkiej Brytanii albo wyjeżdżającym do innych części świata.

Adam Rudzki utrzymywał kontakty ze społeczeństwem brytyjskim, współdziałał w organizowaniu akcji stypendialnej dla byłych żołnierzy polskich w Wielkiej Brytanii i innych krajach.

Do Stanów Zjednoczonych wyemigrował w roku 1951, włączając się do inicjatyw, jakie tutaj powstały. Pracował w European Study Center nad sprawami gospodarki krajów środkowo-europejskich, a potem w Radio Wolna Europa, gdzie pozostał aż do przejścia na emeryturę w 1971 roku.

W latach 1950-tych i 1960-tych wydawał kwartalnik w języku angielskim *The Central European Federalist* (wspólnie z redaktorem czeskim). Celem pisma było propagowanie przyszłej ewentualnej federacji polsko-czeskiej i współpracy między krajami środkowoeuropejskimi, znajdującymi się w orbicie sowieckiej.

Należy zanotować, że w roku 1946 odrzucił osobistą ofertę ówczesnego reżymowego ministra żeglugi, Adama Rapackiego, aby

wrócił do Polski i objął stanowisko dyrektora naczelnego obu portów.

Był autorem książek: „Administracja portów”, Londyn 1954, „Zarys polskiej polityki komunikacyjnej”, Londyn 1945, „Zatrudnienie i rozwój gospodarczy” — wybór rozpraw pod jego redakcją, Nowy Jork 1958.

Adam Rudzki był człowiekiem wielkiej pogody ducha i dynamiki. Kochał życie i umiał się nim cieszyć, tak jak umiał cieszyć się ze znajomości i przyjaźni ludzkich. Jako kawalerzysta jeszcze w latach emerytury uprawiał jazdę konną. Był wytrawnym i wytrzymałym narciarzem i jemu zawdzięczać należy powstanie w Nowym Jorku polskiej grupy narciarskiej, która zjeżdżała Alpy i ośrodki narciarskie w Ameryce. Był wielkim miłośnikiem książki. Czytał bardzo wiele, niemal wszystko z literatury polskiej krajowej i emigracyjnej. Doradzał wydawcom i autorom.

Najbliżsi i cała emigracja tracą człowieka wartościowego, oddanego idei niepodległości, a zarazem praktycznego działacza, który wybitnie zaznaczył się w intelektualnym i społecznym życiu polskim na Zachodzie.

Bolesław WIERZBIAŃSKI

Helena Heinsdorf

Zastęp dziennikarzy pracujących dla prasy odbudowanego Państwa Polskiego powstał w 1919 roku, gdy w Paryżu rozpoczęła się Konferencja Pokojowa. Pod koniec dwudziestolecia niepodległości siedem głównych dzienników polskich posiadało stałych korespondentów w Paryżu, Londynie, Rzymie, Moskwie, Berlinie i Waszyngtonie. W tym okresie czasu funkcjonowało około dwudziestu korespondentów zagranicznych łącznie z kierownikami biur Polskiej Agencji Telegraficznej. Ilu z nich jeszcze żyje? W styczniu 1987 roku było ich tylko dwóch: Helena Heinsdorf i autor niniejszego wspomnienia. Spośród tych co zmarli po drugiej wojnie światowej mile wspominam trzech kolegów z *Gazety Polskiej*: Henryka Korab-Kucharskiego, Florianą Sokółową i Feliksa Chrzanowskiego: pierwszy pisywał z Paryża, drugi z Londynu, a trzeci z Rzymu.

Dnia 21 lutego rb. zmarła w Chorley, w hrabstwie Lancaster, Helena Heinsdorf, wybitna dziennikarka, trafny obserwator i wnikliwy komentator politycznych przemian, zachodzących w głównych państwach świata. Urodziła się w Warszawie w 1907 roku w zamożnej rodzinie mieszczańskiej. Po szkole średniej zapisała się na Uniwersytet warszawski gdzie pod opieką profe-

sora Zygmunta Łempickiego studiowała germanistykę, kontynuując tę dziedzinę w Heidelbergu, Berlinie i Monachium.

W roku 1933 Helena Heinsdorf została berlińskim korespondentem *Polski Zbrojnej*. W tym samym roku przeniosłem się z Paryża do Berlina jako korespondent *Gazety Polskiej*. Helena była rozmowną koleżanką z dużym poczuciem humoru. Gdy zauważyłem, że wśród siedmiu polskich korespondentów w Berlinie kobieta obsługuje dziennik przeznaczony dla żołnierzy, odparła, że w swych korespondencjach nie zamierza poruszać tematów militarnych bowiem jej zadaniem jest obserwowanie w jakim tempie niemieckie społeczeństwo stanie się biernym entuzjastą polityki Hitlera. Bardzo szybko doszliśmy do przekonania że *Führer* jest człowiekiem wojny.

Helena Heinsdorf znała niemiecką historię i literaturę, mówiła po niemiecku jak kulturalna Niemka, a po polsku pisała doskonale — nikt więc z naszej grupy nie nadawał się lepiej niż ona do misji jej wyznaczonej przez *Polskę Zbrojną*. Z punktu widzenia Goebbelsa, hitlerowskiego ministra prasy i propagandy, Helena Heinsdorf była korespondentką szczególnie niepożądaną ale trudno było znaleźć pretekst do usunięcia jej z granic Trzeciej Rzeszy — przynajmniej tak długo jak oba rządy udawały że stosunki niemiecko-polskie były poprawne. To się skończyło jesienią 1938 roku. Wiosną 1939 roku, wracając z Londynu do Berlina, Helena otrzymała w porcie lotniczym Tempelhof kopertę z decyzją że w ciągu czterech dni musi opuścić *Grossdeutschland*. Udała się do Paryża skąd przez kilka tygodni korespondowała do krakowskiego *Ilustrowanego Kuriera Codziennego*.

Dnia 1 września Hitler — przy pomocy Stalina — napadł na Polskę, a w dwa dni później Wielka Brytania i Francja wypowiedziały Niemcom *phony war*, względnie *drôle de guerre*. Wojnę *tout court* w Europie zachodniej rozpoczął Hitler dopiero 9 kwietnia, a 14 czerwca opanował Paryż. Nazajutrz specjalne oddziały SS zaczęły aresztować — według gotowej listy — wrogów hitleryzmu mieszkających w stolicy Francji. Zapukały także do mieszkania Heleny Heinsdorf, która od października 1939 pracowała w wydziale informacji rządu generała Sikorskiego — ale 14 czerwca była już w Bordeaux. Tam dostała się na pokład angielskiego statku który ją wysadził na ląd w Plymouth.

Ja byłem w Londynie już 28 sierpnia 1939 roku bowiem dwa tygodnie przedtem Bogusław Miedziński, mój szef, oświadczył mi w Warszawie, że mogę opuścić Berlin, gdy wyczuję iż wojna może wybuchnąć lada dzień. Udałem się do Londynu gdzie, dzięki poparciu ambasadora Edwarda Raczyńskiego, rozpocząłem w październiku 1939 roku redagowanie dwutygodnika *Free Europe*.

Helena Heinsdorf szybko znalazła pracę w polskiej sekcji British Radio. Zaprosiłem ją także do współpracy do *Free Europe* gdzie ogłosiła szereg świetnych artykułów na temat prostackiego i brutalnego „światopoglądu” Hitlera.

Zaraz po drugiej wojnie światowej Helena opuściła Londyn,

poślubiła bowiem inżyniera-chemika Pawła Daniszewskiego, właściciela przedsiębiorstwa w pobliżu Chorley. Zaglądała często do Londynu bo miała tu przyjaciół. Przez niemal 40 lat zasilala polską prasę emigracyjną artykułami zawsze opartymi na gruntownej znajomości tematu i zawierających rozsądne konkluzje.

Kazimierz SMOGORZEWSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 352 — KONSTANTY A. JELEŃSKI

ZBIEGI OKOLICZNOŚCI

Zbiór esejów znanego krytyka, tłumacza poezji polskiej, wybitnego znawcy problemów współczesnych — składa się ze *Wstępu* i *Zamiast życiorysu* oraz z 2-eh części: **ZBIEGI OKOLICZNOŚCI** i **O PRZECZYTANYM I PRZEŻYTYM**.

Część I zawiera: *O „Ziemi Ulro” po dwóch latach, Portret dekady z wizerunkiem autora w lewym rogu, Od bosości do nagości (o nieznannej sztuce Witolda Gombrowicza), Zygmunt Hertz, mój przyjaciel, Czyste malarstwo czy poetyka, Marynia, Lebenstein — mitotwórca ludzkiej natury, Pamięci Auberona, Czwórjęzyczne kłopoty, Notatki o „majowej rewolucji”, Sielskie, anielskie?, Dwugłos o Iwaszkiewiczu (z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim), O „Kulturze” dla Francuzów.*

Część II zawiera: *Bohaterskie niebohaterstwo Gombrowicza, Dramat i anty-dramat, Tajny ładunek korsarskiego okrętu (na marginesie tłumaczenia „Trans-Atlantyku”), Poeta i przyroda, Poeta i historia, Klasyk na wygnaniu, Czesław Miłosz — historia literatury Rzeczypospolitej, Dział wód, Lumen obscurum — o poezji Aleksandra Wata, Antoni Słonimski i jego ojczyzna, Trzy pory roku Kazimierza Wierzyńskiego, Ostatnie lata, Bluzka z błękitnych pereł, Paweł Hostowiec czyli o wysiłku wyobraźni, Ostatni polski encyklopedysta (wspomnienie o Józefie Michałowskim), Prekursor anachroniczny, Notatki o żalobie, „Hańba” czy wstyd? Czapski nareszcie scalony, Z Józefem Czapskim w Luwrze (czyli o nieodrobionym zadaniu), O kilku sprzecznościach sztuki nowoczesnej, Awangarda i rewolucja, Abstrakcja i „nieprzedmiotowość”, Nowe oblicze Marksa i Malthusa, O kulturze masowej inaczej, O realizmie na tle Mezzogiorna, Apokalipsa i perspektywa.*

Str. 424.

Cena F. 120,00.

Książki

Wstęp do epopei

W tym przypadku trudno o jednoznaczne oceny. Każda z kolejnych książek Andrzeja Szczypiorskiego była inna i każda nosiła piętno niespełnienia. Pisarz zatrzymywał się w miejscu, skąd winna się dopiero rozpocząć jego artystyczna podróż. Penetrował obszary o dużym znaczeniu, obdarzony wyjątkowym dziennikarskim słuchem i wycuciem aktualności — co prowadzi również na manowce, gdy historia staje się kostiumem, a przypowieść o współczesności persyflazem czy reportażową anegdotą — i zarazem na tyle skrępowany swoją pasją współuczestniczenia, że brakowało mu dystansu i pokory wobec świata i jego spraw. Chciał pogodzić ogień z wodą: żyć z innymi i być obok nich rodzajem świadka. Milczał i zabierał głos, wycofywał się na trybuny obserwatorów, po czym znowu przystępował aktywnie do pierwszego szeregu, skandował hasła, wznosił pięści, równie zapalczywy jak był niedawno obojętny.

Czy nie stąd się wywodzą paradoksy pisarskiej postawy Szczypiorskiego, że w gruncie rzeczy jest on politykiem, jednym z licznych w naszym wieku piszących aktorów zdarzeń politycznych? Może w ostatecznym rachunku tylko ułomność powojennej sytuacji Polski, włączenie jej w obręb martwego pola politycznego, poddanie sowieckim regułom znoszącym możliwość aktywności, kiedy miejsce działań zajęły praktyki szamanów i szaleńców, wpędziły autora „Mszy za miasto Arras” w nie do końca mu odpowiadający świat słów, idei, niesprawdzalnych abstraktów sztuki i hipostaz pojęciowych. Może gdzieś indziej pisały na marginesie swoich powinności i nadawał słowem dopełnienie czynom, wygładzał nim chropowatości swego publicznego istnienia?

Tu stało się inaczej. W PRL-owskim życiu na niby polityka może się wypełnić jedynie poprzez słowa i w słowach. Jedyną częstokroć jej formą są proklamacje, artykuły, eseje bądź wier-

sze, które tyleż pseudonimują niezrealizowane i nie do zrealizowania czyny, ile wypaczają sens działania, poddają go regułom poetyckiego wzruszenia, obciążają politykę ładunkiem sentymentalizmu, przemieniają ją w grę wzruszeń. Szkodzi to podwójnie: literaturze, bo odbiera jej samoistność i polityce, gdyż wznosi ją w nieosiągalne rejony marzeń, którym sprostać może tylko utopia. Czy nie dlatego politycy krajowi lądują po kolei w krainie utopii i czyż nie dlatego tak wielu intelektualistów do dzisiaj hołduje komunistycznej magii, a utopię marksistowską bierze za miarę wszelkich marzeń? Miłość do słów pożera ich czyny, a szlachetna emfaza zastępuje potrzebę wysiłku i odwagi. Konsekwencją są papierowe czyny zastępujące potrzebę wysiłku i odwagi. Konsekwencją są papierowe czyny zastępujące prawdziwą aktywność i książki-apele literackie, które topią sztukę we frazesie.

Przydarzało się tak i Szczypiorskiemu, tym może wykraczającemu poza przeciętność krajowych zabaw w literaturę, że jego porażki były bardziej spektakularne i jakby głębiej uświadamiały zagrożenia. Z wydaną w ostatnich miesiącach — najpierw w Instytucie Literackim, a potem w kraju — krótką opowieścią o mglistym tytule „Początek”^{*} wkroczył jednak Andrzej Szczypiorski w zupełnie inne rejony. Po raz pierwszy potraktował serio literaturę, odejmując jej bagaż zastępczych funkcji. Postawił na nią jak gracz, który w ostatnim rozdaniu chce zgarnąć pulę gdyż w przeciwnym wypadku przegra całość.

„Początek” uwidacznia sobą dobrze ową grę Szczypiorskiego o wszystko, wyjście poza dwuznaczne opisy i załatwianie bieżących sporów. Niewielka objętością książka ma szeroki oddech epicki, od którego odzwyczała nas już literatura krajowa i powagę, która działa odświeżająco w zestawieniu z kolejnymi kokieteryjnymi wypracowaniami Konwickiego, czy z coraz tandetniejszym aktorstwem Rudnickiego. Jest dowodem, że Szczypiorski to nade wszystko pisarz. Nie polityk, nie działacz związków twórczych, kółek różańcowych i konwenktyli różnego autoramentu, ale obdarzony wyobraźnią, zdolny do samotnej egzystencji (bez podporowania się ideologią czy kolektywem) i pogodzony z sobą fabulador, który potrafi przywołać odległe wizje, ożywić popioły i ścieśnić czas historyczny w ramach literackiej konstrukcji, przemówić głosami przeszłości.

Ostatnie jest w moich oczach najważniejsze. Epicka wartość „Początku” jest złączona z poczuciem odrębności ludzi i z samoistnością przeszłej rzeczywistości, które nie zostały podporządkowane żadnym aktualnym opisom. Nie poddał pisarz siebie i swego dzieła potrzebom wydawanej dla dzisiejszego czytelnika lekcji. Jego bohaterowie uzyskali prawo do niezależnego istnienia. I nie są rezonatorami tylko dzisiejszego niepokoju. Czas w którym żyją, chociaż patrzymy nań już z dzisiejszego brzegu,

^{*} Andrzej Szczypiorski: *Początek*. Instytut Literacki, Paryż 1986, str. 160.

zachował smak i walor przeszłości, rządzi się prawami tkwiącymi weń, a nie narzuconymi skądinąd, przyniesionymi przez autora z jego współczesności. Jest w tym pokora, od której odzwyczała literaturę w kraju socrealizm — dużo trwalszy w skutkach, niż można sądzić po datach historycznych, zamykających jego działanie. Tak on, jak zresztą doktryna polityczna, z której wyrósł, znoszą bowiem możliwość epiki, gdyż niszczą pokorę pisarza wobec rzeczywistości, wobec historii i wobec opisywanych ludzi. Nie pozwalają na prawdę. Zamiast niej wyzwalają ideologię — sposób myślenia, który przekreśla możliwą do zrealizowania wolność losu ludzkiego. Bez niej nie daje się stworzyć literatury.

Szczypiorskiego powrót do źródeł sztuki byłby dlatego zaprzeczeniem spadku pozostałego po komunistycznym szaleństwie, które na przeciąg wielu lat ogarnęło największych pisarzy w kraju. I którego dokumentem jest nieco polskiej literatury krajowej, jej zgrzebny prymitywizm, anachroniczna tendencyjność, słabość ducha i myśli. „Początek” nie tylko metaforycznie jest — przy tego rodzaju perspektywie — wznowieniem literatury polskiej w punkcie zero, powrotem do miejsca od którego zaczęła się klęska, w którym ciągłość została przerwana. Sięgnięciem do drugiej wojny, do ostatniego okresu zamykającego normalne życie kraju, zamykającego klęską walkę o zachowanie niepodległości. Przypomnieniem ludzi i ich zachowań, które nie były jeszcze skażone piętrem niewoli i komunistycznego dwójmyślenia. Przywołaniem czasu, kiedy epika była jeszcze możliwa, a w losach ludzkich dawało się odczytać więcej niż tylko prawa diamentu.

Skromna zamierzeniami powieść Andrzeja Szczypiorskiego o ludziach, na oczach których kończyła się wolna Polska, a zaczynał nowy sposób życia, daleki od jakiegokolwiek normalności, podany pozorom, słodzony fałszem, jest zarazem ambitną próbą wyjścia z kręgu literackiego piekła. Porzuceniem porządku sztucznego, gwarantowanego ideologią i władzą polityków na rzecz hierarchii sztuki, odejściem od myślenia niewolnika ku wolności człowieka gotowego wybrać swoją przyszłość i zdolnego do walki o urzeczywistnienie swojego wyboru. A zarazem jest „Początek” wstępem do epepei, przymiarką autora do epickiej konstrukcji, w której zawrzeć by można opowieść o polskim nieurzeczywistnieniu i o klęsce, której na imię: brak nadziei. Jest słowem o wolności, której nie ma dotąd, dopóki ludzie nie mogą być sobą. Ci sami ludzie, którzy jednak na przekór wszystkiemu uparcie dążą do tego, by „wywalczyć kawałek autentyczności, szczyptę własnej prawdy”. Jest wstępem do powieści i jest zamiast niej. Innej jednak nie będzie.

Po skundlonych czasach, po rozmytym świecie, po literaturze poddanej polityce stać nas tylko na wstęp. Na rozpoczęcie wszystkiego od nowa.

Młodszy brat Cezarego Baryki

Ostatnio wydana w Paryżu powieść Jana Józefa Szczepańskiego¹ powstała — jak czytamy w wyjaśnieniu autora — na początku 1969 roku, pod bezpośrednim wrażeniem wydarzeń, zaledwie w rok po śmierci bohatera imieniem Andrzej, w rzeczywistości: kapitana Witolda Górskiego. Rzecz nie ukazała się w kraju ani oficjalnie, co zrozumiałe, ani poza zasięgiem cenzury, kiedy to było — po roku 1977 — możliwe. Również w miesięcach „Solidarności” skryptu nie opublikowano, choć można się domyślać, że wówczas właśnie tekst przygotowywano do publikacji (poświadczenie datowane w Kasince Małej 26 sierpnia 1981). Wreszcie jednak rękopis trafia do czytelnika, nie pokaleczony nożycami cenzorskimi.

Dla kogoś obeznanego z twórczością krakowskiego pisarza ten drobny utwór nie powstał przypadkowo, lecz wiąże się ściśle z *quasi*-reporterską książką „Czarne i białe” (1965; w 1981 umieszczona w tomie „Trzy podróże”), relacjonującą podróż morską Szczepańskiego do Afryki Wschodniej i Południowej na statku „Oleśnica” w 1963 roku. Starsi czytelnicy *Tygodnika Powszechnego* dobrze pamiętają sprawozdanie pisarza, publikowane na łamach pisma w ciągu roku 1964. Już wówczas było jasne, że dla Szczepańskiego ta podróż jest także istotnym wtajemniczeniem metafizycznym, a nie tylko przygodą turystyczną. Dzięki uczynności kapitana statku pisarz poznaje niewiarygodnie bogaty przepych Morza Czerwonego, uczestniczy w jednej z ważniejszych przygód poznawczych: zanurza się w podwodny świat, zupełnie niezależny od człowieka, istniejący sam dla siebie, w niewyczerpanym bogactwie i pięknie. Razem z kapitanem — właśnie Witoldem Górskim — zapuszcza się w zaułki miast arabskich, przyjmując na pokładzie statku odwiedziny Polaków rozsianych na Bliskim Wschodzie i wybrzeżach Afryki. W czasie podróży morskiej rodzi się przyjaźń pomiędzy pisarzem i dowódcą „Oleśnicy”. W „Czarnym i białym” wątek przyjaźni ma znaczenie epizodyczne, natomiast pierwszorzędne właśnie w „Kapitanie”.

Utwór dobrze mieści się w polskiej tradycji literackiej — jako epitafium, nagrobek przyjaciela, serdeczne wspomnienie. Pamiętamy takie „użyteczne” utwory z czasów baroku czy romantyzmu. Szczepański jest pisarzem podtrzymującym ciągłość pewnych gatunków, w pewnym sensie — okazuje się nawet pisarzem szlachetnym, jakim był w naszym stuleciu np. Gombrowicz czy, w pewnych nurtach twórczości, Jarosław Iwaszkiewicz. Narracja

1. J. J. Szczepański, *Kapitan*, „Libella”, Paryż 1986, str. 125. Adnotacja: „Wydano bez zgody i wiedzy Autora”.

„Kapitana” skonstruowana jest jednak nowocześnie: na zasadzie skojarzeń, a nie w układzie chronologicznym, pełna — znamienych dla eseistyki — hipotez, domysłów, luk w przedstawianym obrazie świata.

W latach 60-tych pisarz współpracował z filmem, opracowując sześć scenariuszy, z których największy sukces osiągnął obraz „Westerplatte”. Trzeba podkreślić, że technika scenariusza mocno zaciążyła nad kształtem „Kapitana”. Mamy tu zmienność epizodów, „wycinkowy” obraz świata, zasadniczą nieciągłość przedstawienia przy jednoczesnej ciągłości patrzenia i wspominania. Narrator może być w pełni utożsamiony z autorem, świadkiem wszystkich zdarzeń. Wspomnienie zaś staje się świadectwem, w jaki sposób instytucja — w tym przypadku aparat bezpieczeństwa w sojuszu z organizacją partyjną — unicestwia jednostkę niepodporządkowaną, naruszającą przywileje rządzących, tzn. przede wszystkim nietykalność konfidenta policji. Polityczny wymiar „Kapitana” przesądził o niecenzuralności utworu i spowodował tak znaczne opóźnienie w publikacji. Lecz z literackiego punktu widzenia istotniejsze wydaje się napięcie pomiędzy odczuciami narratora a jego umiejętnościami przekazania „równoważnika” osobowości.

Szczepański nie kryje swej fascynacji literaturą mówioną, tym wszystkim, co nie daje się pochwytać na papier. Niegdyś ten sam problem artystyczny autor próbował rozwiązać w swym debiucie książkowym, „Portkach Odysa” (1954) — przekazać człowiekowi mówiącego gwarą, nadającego zdaniom osobliwą melodię. Uchwycić muzykę słowa: swoisty dźwięk, pauzowania, puenty. Stworzyć partyturę mowy.

Bohater „Kapitana” okazuje się wyśmienitym gawędziarzem, uwytatniającym przede wszystkim metafizyczny — by tak rzec — komizm swych przeżyć. Humor Andrzeja wynika z przyjętej filozofii życia. Człowiek winien uświadomić sobie nie tylko miżerię swej kondycji, lecz także śmieszność: ciągły wysiłek urządzania się, gdy i tak trzeba od wszystkiego odejść; zabieganie o wartości przemijające, podczas gdy ma się wyraźne pragnienie nieprzemijającego. Afirmacji świata towarzyszy — to także wewnętrzny problem Szczepańskiego — poczucie bezradności, ponieważ piękno zewnętrzne jest bytowo samowystarczalne i nie ono potrzebuje człowieka, lecz na odwrót. Kapitan widzi siebie jako niepozorną figurkę w wielkim *theatrum* bytu, figurkę przy tym jednak niepowtarzalną, zachwycającą, heroiczną, ale z tym wszystkim — po ludzku słabą i bezbronną. Stąd żarty Andrzeja, próba zaczerpowania losu poprzez „magię śmiechu i magię alkoholu” (str. 78).

Pisarz ma za mało danych, by wyposażyć swego bohatera w pełną, „przeźranną” sylwetkę. Mam wrażenie, że powieść-wspomnienie rodziła się za prędko, pod zbyt silnym impulsem uczuciowym. Pisana jest może zbyt spieszenie i jakby z aprioryczną niewiarą, że uda się nakreślić konterfekt, przedstawiający osobę w działaniu, żywotności, zróżnicowaniu. Tutaj literatura ustna,

a także zdarzenie wymyka się narzędziom epiki pisanej. Literaturze wymyka się człowiek. Autor o tym dobrze wie („jakże nudno szeleści papier w porównaniu z jego [tj. Andrzeja] głosem!”, str. 62). Też konterfekt kapitana trzeba uważać za osobliwie skomponowany szkic, w którym nie kontur wydaje się najważniejszy, ale światłościę, nagły rozbłysk barwy, nieoczekiwane głębie w ujęciu losu cudzego i swojego równocześnie. Mówi narrator: „Nieraz później myślałem także, że jeśli istnieje coś takiego, jak zbawienie, Andrzej zasłuży na nie przez miłość życia” (str. 14).

Kapitan prowadzi żywot niepedantyczny, chciałoby się powiedzieć — wielkoduszny: ulega chwilowym poruszeniom serca, łamie konwenanse. Jak każdy z nas, współczesnych, Europejczyków, żyje przytłoczony nadmiarem: rzeczy, obowiązków, wrażeń. Pamięć Andrzeja — podobnie jak pamięć pisarza — nie potrafi ocalić nieuchwytną tkanki, z jakiej zbudowana jest codzienność. Z tym uczuciem wiąże się szczególny ból, ból przemijania i lęk, że ocalenia nie będzie. Zapewne nie powstałby w ogóle portret zmarłego, gdyby nie tożsamość, częściowa przynajmniej, osobowości pisarza z osobowością bohatera. Ukryta wspólnota duchowa wydaje się *conditio sine qua non* wizerunku literackiego: opowiadając o kimś, opowiadam także o sobie. O swojej wrażliwości, upodobaniach, przeczuciach, obawach. Dlatego wolno uważać „Kapitana” — w pewnym stopniu — także za krypto-autoportret narratora. Dla obu wspólne jest przede wszystkim „niesłabnące oczarowanie światem i gorąca wierność wspomnieniom” (str. 13).

W otoczeniu Andrzeja ludzie zaczynają wierzyć na nowo w swoje siły, dostrzegają utraconą urodę życia, nie cofają się przed egzotyką, przeciwnie, wyruszają odważnie ku przygodzie. „To jest właśnie to: nigdy nie rezygnować. [...] Nigdy nie jest za późno” (str. 47). Na przedmieściach Dżibutti kapitan, jego żona i pisarz zapuszczają się do tubylczej, tłocznej dzielnicy, w żywioł „brudnej i aromatycznej egzotyki” (str. 49) i wówczas narrator odkrywa raz jeszcze — podobnie jak we wszystkich swych podróży — dziwnie nieokreśloną magię miejsca i rozluźnionego, orientального czasu. „Nie działo się nic szczególnego. Tylko tyle, że każda chwila tej bezcelowej włóczędzy była szczęściem. Patrzenie, wachanie, słuchanie... samo szczęście” (str. 49-50).

Kapitan, w ujęciu Szczepańskiego, okazuje się dobroczynnym katalizatorem psychologicznym, wyzwala w ludziach serdeczność i ciepło, ośmiesza zachowania sztywne, sformalizowane, zacieraające w człowieku pierwiastek niepewtarzalnego. Z tego też powodu, jak sam narrator, „w ogóle nie lubił mundurów” (str. 58). Jednocześnie bohater utworu potrafi obłąkawić Kreishauptmanna w czasie okupacji, co więcej, także enkawudystów, przychodzących go aresztować po przejściu sowieckiego frontu.

Jest zbiegiem okoliczności, że bohater powieści urodził się w Odessie, z ojca Polaka, ziemianina, i matki Niemki, że jako kilkuletni chłopiec przeżył tam rewolucję 1917 roku, a dopiero

potem — z rodziną — wyemigrował do Polski. W ten sposób okazuje się jakby młodszym bratem Cezarego Baryki. Podobnie jak bohater „Przedwiośnia” przeżywa w czasie rewolucji „okres oszałamiającej, dzikiej swobody”: „Głodny i obdarty włóczył się ulicami Odessy z bandą *bezprizornych* dzieciaków, oddając się wszelkim zabronionym rozkoszom. Kradł, palił machorkę, detonował niewypały w ruinach zburzonych domów. Huk eksplozji nadawał dziecięcym przygodom monumentalne wymiary. Szyby z brzękiem sypały się na bruk, przechodnie przypadali do ziemi” (str. 60).

Jak wiadomo, Żeromski pragnął pisać dalszą część „Przedwiośnia”. Pokolenie Cezarego Baryki doczekało drugiej wojny światowej, przeszło przez okupację i łagry. Los Andrzeja z powieści „Kapitan” pozwala zobaczyć, jak wobec przemocy zachowała się tamta generacja. Podjęto czynny opór. Andrzej przyjmuje rzuty broni dla partyzantów, współpracuje z Armią Krajową, przechodzi — niemal cudem — przez perypetie wojenne. Psychicznie nie złamany. Dopiero w dwudziestoleciu powojennym, właściwie w schyłku lat 60-tych, kapituluje, zniszczony przez ludzką nikczemność i zawiść. To główny temat książki, pomyślonej jako „świadeństwo”, jako rodzaj „procesu w ukryciu, bez słuchaczy, bez sędziów” (str. 117). Komu ów proces zostaje wytoczony?

Na to odpowiada autor i w tekście utworu, i w posłowniu, które jest autointerpretacją. Chodzi przede wszystkim o „praktykę systemu” politycznego w Polsce, nie o krytykę zasad ustroju, lecz codzienność przez ten ustrój wytworzona. Szczepański nie kryje swej sympatii dla założeń socjalizmu, podkreśla też, że bohater powieści „był socjalistą z głębokiego przekonania” (str. 120). Autor prędko rozpoznaje mafijny charakter partii, działającej na wzór „tajnych stowarzyszeń i kapturowych sądów” (str. 82). Wnikając w szczegóły biografii kapitana buntuje się i woła: „Na co walczyć, na co bawić się w patriotyzmy i ideologie, na co kształcić się, pisać książki i moralizować, kiedy w końcu historia tego kraju, poddana prawom jakiejś szatańskiej dynamiki, wyniesie na wierzch najnikczemniejszą szumowinę, a losy nasze zależą będą od inkubów o mentalności szmalcowników lub dozorców więziennych?” (str. 94).

Równie ostro oceniony zostaje średni szczebel administracyjno-partyjny, jego uprzywilejowanie i dyspozycyjność, rozpaczliwa obrona własnych pozycji, niechęć do wszelkich zmian. Szczepański wręcz oświadcza: „Ci ludzie są najzacieklejszymi wrogami wszelkich, rzeczywistych przemian [...]. To oni właśnie zaszczuli kapitana Górskiego” (str. 122). Teza ta, umieszczona w posłowniu, brzmi jednoznacznie, autorytatywnie, lecz zwięźą problematykę „Kapitana”. Brzmi też dziś cokolwiek anachronicznie. Można by chyba dyskutować z racjami autora i zastanawiać się — co uczyniła zresztą publicystyka polityczna (Kołakowski, Kuroń, Michnik, Kijowski, Kisielewski i in.) — czy rzeczywiście teoria socjalizmu, a raczej obowiązująca w PRL ideologia, jest

w swych założeniach tak humanitarna jak mniema pisarz. Czy właśnie założenia ekonomiczno-polityczne ustroju nie zdemoralizowały wielkiej części społeczeństwa, doprowadzając do wytworzenia nieruchawej, bierniej biurokracji średniego szczebla, paralizującej życie społeczne kraju, do ogólnego zastoju gospodarczego.

Książka doczekała się omówienia krytyczno-literackiego². Maciej Zarębski, może zbyt sugerując się odautorskim posłowiem, uważa „Kapitana” za utwór „literacko mało efektywny”, a całość fabuły za „historię banalną”. Twierdzi, że Szczepańskiemu zaszkodził „głęboko emocjonalny stosunek do bohatera”, że „postać głównego bohatera wypadła blado, co poważnie zaciążyło na całości utworu”; „trzeba wierzyć na słowo, że kapitan był kimś wyjątkowym”.

Wydaje mi się, że opinia ta krzywdzi powieść, przemawiającą do czytelnika nie warstwą dokumentalną, lecz właśnie tym, co w narracji umieszczono jakby „obok”, „przypadkiem” — zmienne, nagle rozbłyskujące, potem zepchnięte na margines. Myślę tu np. o zdaniach, które wypowiada narrator w chwili przyłączania się do studentów, demonstrujących w Krakowie, w marcu 1968 roku:

„Mój zużyty gniew, moje tylekroć zawiedzione nadzieje były dla nich historią. Mogłem tylko patrzeć ze ściskającym gardło uniesieniem, jak toczą dalej beznadziejną na pozór, lecz nieodzowną wojnę, mogłem tylko podziwiać ich upór i znowu łudzić się nadzieją, że — mimo wszystko — nie jest on daremny” (str. 106).

Dokument jest w „Kapitanie” tylko szkieletem, jednak pretekstem, by pokazać, jak to nazywa św. Paweł, „gaszenie ducha w człowieku”. Bohater powieści niesie w sobie wielką energię wewnętrzną, jak każdy człowiek nie utopiony w goryczy i dążący do sprawiedliwości. Interpretacja Zarębskiego zakłada, iż mamy do czynienia wyłącznie z „faktograficzną i pozbawioną dystansu relacją”, która „nie tylko ogranicza artystyczny wymiar utworu, lecz także jego tematykę i pole możliwych znaczeń”. Opinia ta wydaje się pochopna, nie uwzględnia specyfiki utworu, jego tkanki myślowej, dostrzegalnej na przykład w zdaniu:

„uświadamiamy sobie, że nasze własne trwanie także już zachodzi za horyzont i że nigdy nie uchwycimy żadnej rozsądnej proporcji między tym co było (co było nam dane, co było nasze) a ogromem pochłaniającej nas przyszłości” (str. 112).

Recenzent, czytający tylko jedną książkę, nie ma obowiązku znać całego dorobku autora. Ma też dość mgliste pojęcie o życiu wewnętrznym pisarza, które rozwija się w sposób ciągły, od utworu do utworu. Mowa tu oczywiście o autorach niezależnych myślowo, wiernych sobie, swemu sercu, przeżywaniu. Dziś mamy wielu recenzentów, z rzadka trafia się krytyk, ogarniający szerszy

2. M. Zarębski, *Wszelchnadna ponurość*, „Archipelag” nr 6 (33), 1986, str. 34-39.

horyzont, obcujać z dziełem pisarza (jak to czynił niegdyś Wyka, Starowieyska-Morstinowa, a dziś np. Błoński czy Tomasz Burek).

Kto czyta cierpliwie, bez uprzedzeń, w szerszej niż recenzencka perspektywie, widzi, że Szczepański podejmuje — nawet w książkach słabszych — ważne kwestie. O „gaszeniu ducha” traktują opowiadania: „Śpiewać ze szczęścia” (napisane w 1959) czy „Bojownicy” z tomu „Dzień bohatera” (1964). Są to studia narastającej a niezawinionej beznadziejności, w której pograża się nie tylko bohater, ale — równocześnie z nim — cała generacja AK-owska. W „Bojownikach” pojawia się motyw dusznej, zadymionej sali obrad (jeszcze mandelsztamowska symbolika braku powietrza). Piętnaście lat po wojnie nie istnieje już koleżeństwo z partyzantki, społeczeństwo jest podzielone, każdy dba tylko o siebie, o wyrwanie ochłapu z dzielonych dóbr czy przywilejów. AK-owcy stanowią wśród kombatantów mało znaczącą grupę, zepchniętą pod ścianę. Bohater wraca do domu wewnętrżnie upokorzony, z poczuciem przegranej. Ten dom, ciasny, niekochany, przynosi najwyższą obietnicę małej stabilizacji. Młodzieńcze ideały pokolenia AK-owskiego należą do nieprawdopodobnie odległej przeszłości (rycerskość, wierność kolegom i oddziałowi, solidarność rówieśników).

„Kapitan” został napisany niespełna trzy lata przed opowiadaniem „Trzy czerwone róże”, z tomu „Rafa” (1974), mającym kluczowe znaczenie w twórczości Jana Józefa Szczepańskiego. W obu utworach podobna jest sytuacja narratora: widzi on czyjś los we wspomnieniu, z perspektywy cmentarza. Celem jest — i tam, i tu — upamiętnienie niezwyklej postaci, zresztą przy użyciu podobnej techniki przeplatanych, różnorodnych epizodów, pojawiających się na zasadzie skojarzeń podmiotu. „Kapitan” nosi na sobie znamiona eseizacji i techniki scenariuszowej. Podobnie w „Trzech czerwonych różach”; tu jednak widać większe dopracowanie kolejnych ujęć, pewną oschłość czy nawet uszczypliwość narratora, zabarwiającą tekst ciepłą ironią. Temat opowiadania zostaje opracowany dokładniej, z tego zapewne względu, że własna biografia dostarczała pisarzowi więcej materiału.

Koncepcja filozoficzna człowieka pozostaje w obu tekstach ta sama. Teraźniejszość nie wystarcza, świat nie sasyca serca, myśl ciągle wybiega w przyszłość, rojąc przedziwne plany. Narrator mówi w „Kapitanie”: „Obaj traktowaliśmy rzecz tak, jakbyśmy mieli żyć wiecznie” (str. 56). Przeczucia nieśmiertelności nie gasi w pisarzu ani śmierć przyjaciół, ani beznadziejność systemu politycznego. Człowiekowi przeznaczone jest coś „więcej”, „inaczej” niżby można było pomyśleć. W każdym żywocie, choćby szarym i niespełnionym, tkwi element olśniewający, przecucie Istnienia. Coś, co Szczepański nazywa zawsze tak samo, „cu-downość”, słowem wytartym w mowie potocznej, zużyтым, ale w wewnętrznym systemie pisarza mającym głębokie znaczenie, wypracowanym przez namysł i obserwację tego, co ulotne, chwilowe.

Człowiek nie jest w stanie urzeczywistnić tych przeczuć, które nosi w sercu. Im większa pojemność duszy, tym większe — szcze-

gólnie u artysty — poczucie niespełnienia. Praca literacka to dół męstwa. Ostatnie zdanie „Kapitana”:

„Może to jedyna powinność pisarza: zostawić napisy na zapomnianych grobach, nie dopuścić aby zagasło światelko sprawiedliwości. Może ten trud nie jest daremny” (str. 117).

Józef Wojciech GADOMSKI

Kwiecień 1987

Sól poezji

Czytając Szymborską łatwo przyznać rację Miłoszowi, który we *Wstępie do Traktatu poetyckiego* powiada: „Bo więcej waży jedna dobra strofa/Niż ciężar wielu pracowitych stronic...”. Szymborska należy do nielicznych dziś współczesnych poetów, którzy cieszą się autentyczną popularnością. Sprawia to wieloplanowość jej poezji, możliwość rozumienia jej wierszy na wielu poziomach, ich aż podejrzana przystępność. Jej humor, jej dowcip, precyzja myśli, adekwatność obrazów. Prosta, często na gramatycznie pełnym zdaniu budowana linijka wiersza, rytmiczność, oryginalny koncept, kunsztowność wykonania. Dar widzenia rzeczy na opak, lub z ich zgoła nieoczekiwanej strony. Poezja Szymborskiej to świat oglądany słowami, poddany językowemu konceptowi, konkretny i abstrakcyjny zarazem.

„Tu leży staroświecka jak przecinek / autorka paru wierszy...” — pisała Szymborska przed laty w wierszu *Nagrobek*. Staroświecka, tak, ale tak jak w prozie staroświecki jest Singer, który w swojej klasycznej, myszką trącej narracji, przemycił najstarszą i najbardziej nowoczesną wiedzę o człowieku.

*Ludzie na moście*¹, najnowszy zbiór krakowskiej poetki, składa się z dwudziestu dwóch wierszy. Kto wie, czy taka właśnie objętość nie powinna stać się regułą przy wydawaniu poezji: tomik, który da się przeczytać jednym tchem. Szymborska, podobnie jak Herbert, zawsze pisała mało. *Od Wielkiej liczby*, równie cienkiego zbioru, minęło dziesięć lat. Ostatni tomik jest tematycznie niemal równie reprezentatywny dla całej jej twórczości jak poprzednie, i jak prawie każdy pojedynczy wiersz jest reprezentatywny dla całej jej poezji i poetyki. A jednak nastąpiła w nim zmiana jakościowa (nie mylić z jakością wierszy). Ujednoliciła się ich tonacja, poetycka stylizacja tematów; pod tym

1. Wisława Szymborska, *Ludzie na moście*, Czytelnik, Warszawa 1986, str. 44.

względem nastąpiła jakby ewolucja wstecz. W *Ludziach na moście* dominują parodia i ironia. Nie dotyczy to wszystkich wierszy, lecz wielu. W tym wielu świetnych wierszy. W ostatnim zbiorze zabrakło mi czystej liryki, wierszy-snów, wierszy z pogranicza jawy i snu. Jak na przykład *Sen*, który rozpoczynał się owym nieodmiennie chwytającym za gardło rytmicznym szepto-zaspiewem: „Mój poległy, mój w proch obrócony, mój ziemia, / przybrawszy postać, jaką ma na fotografii: / z cieniem liścia na twarzy, z muszlą morską w ręce, / wyrusza do mojego snu”.

Część wierszy z ostatniego zbioru, między nimi niepowtarzalny i odstawiony od reguły *Widok z ziarnkiem piasku*, drukowane były w roku 1979 w *Twórczości*. Inne w nieistniejącym już krakowskim *Piśmie*, w którym Szymborska prowadziła dwie mniej lub więcej stałe rubryki: *Z tekstów odrzuconych* i *Lektury nadobowiązkowe*. Do jednej z tych ostatnich wybrała apologetyczną biografię Katarzyny Medycejskiej pióra Jean Héritier, tak komentując wysiłki autora w celu zrehabilitowania bohaterki książki: „Sam zresztą autor chcąc nie chcąc pozwala jej dojść do głosu. Nie w sferze przymiotników, którymi wynosi swą bohaterkę pod niebiosa, ale w sferze czasowników, bo te do lotu tak łatwo poderwać się nie dają i nadal mu pęczają po ziemskiej grudzie. (...) Zawsze podejrzewałam, że czasowniki są z natury prawdopodobniejsze od przymiotników”.

Ludzie na moście są zbiorem wierszy zbudowanych na czasownikach i rzeczownikach. Przymiotniki jakby z nich uszły. Cały prawie ten zbiór robi wrażenie świadomego schodzenia w przyziemność, w pospolitość, w odpoetyzowanie poezji. Do wątków należy *Widok z ziarnkiem piasku*, w którym Szymborska mistrzowsko posługuje się przysłówkami na określenie sposobu istnienia piasku, wody, brzegu, wiatru. Podmiotem lirycznym wiersza, ale podmiotem gramatycznie ukrytym, jest martwa natura, której brak czucia, świadomości samej siebie skazuje nas na obcość i wyłączenie. Jest to stary, egzystencjalistyczny temat Szymborskiej. *Widok z ziarnkiem piasku* jest traktatem filozoficzno-językowym, nominalistyczną rozprawką na temat „żadności” rzeczy wypełnionych właściwościami: „Bezdenne dnu jeziora / i bezbrzeżnie brzegom. / Nie mokro ani sucho jego wodzie. / Nie pojedynczo ani mnogo falom, / co szumią głucho na swój własny szum / wokół nie małych, nie dużych kamieni...”. I gdyby nie zakończenie, byłaby to może tylko wirtuozerka rozprawka filozoficzna na temat uroszczeń naszego umysłu. Puenta wiersza jest jednak zaskakująco ludzka: „Mija jedna sekunda. / Druga sekunda. / Trzecia sekunda. / Ale to tylko nasze trzy sekundy. / / Czas przebiegł jak posłaniec z pilną wiadomością. / Ale to tylko nasze porównanie. / Zmyślona postać, wzmówiony jej pośpiech, / a wiadomość nieludzka”.

Jak u dawnych poetów poezja jest dla Szymborskiej formą, kunsztem, igraniem ze słowem, popisem wirtuozerii, a nie ubogą krewną treścią. Wiersze jej przesycone są tragicznym stoicyzmem. Tragiczne jest w nich widzenie historii, ludzkiej egzystencji i

całego gatunku. Ale te treści działają przez koncept, przez pomysł — zaskakująco prosty, byle, oczywiście, nań wpaść — i absolutną giętkość języka. Mało komu język jest tak posłuszny jak Szyborskiej, która igra z nim z żelazną logiką i absolutną swobodą, co sprawia złudne zapewne wrażenie, iż droga od pomysłu wiersza do jego wykonania jest idealnie prosta. Jakby koncept pisał się sam. Tragiczne widzenie historii i ludzkiej egzystencji plus wcale nie dobroduszny humor łączą Szyborską z Herbertem. Jej stoicyzm wypływa z rozpaczy, jest podszyty wiśliczym humorem i równie realistyczny, jak jej umiarkowany, ale zawsze obecny optymizm. Jak w wierszu *Rozpoczęta opowieść*, który zaczyna się od prostego stwierdzenia: „Na urodziny dziecka / świat nigdy nie jest gotowy”. Epoki i wydarzenia historyczne zostają ze sobą zrównane, ich chronologia nie gra żadnej roli: „Nie wiemy, którym ludziom zaufać w Niniwie, / jakie będą warunki księcia kardynała, / czyje nazwiska jeszcze są w szufladach Berii”. Los ludzki jest nadrzędny w stosunku do historii, wszelki postęp zostaje zakwestionowany. Zakończenie jest równie antyhistoryczne, lecz czułe: „Oby połóg był lekki / i dziecko rośło nam zdrowo. / Niech będzie czasem szczęśliwe / i przeskakuje przepaście. / Niech serce jego ma zdolność wytrwania, / a rozum czuwa i sięga daleko. // Ale nie tak daleko, / żeby widzieć przyszłość. / Tego daru oszczędźcie mu, niebieskie moce”.

Problemy, które znaleźć można w poprzednich zbiorach Szyborskiej, zostały w *Ludziach na moście* potraktowane świadomie bardziej brutalnie. Przykłady, które podałam powyżej należą do wyjątków — są moim osobistym wyborem tego, co w tym zbiorze jest mi najbliższe. Mówiąc generalnie: „poezja” przestała tu osłaniać wymowę tematu, forma — choć jak zawsze wyrafinowana — przestała patyczkować się z treścią. Szyborska ściągnęła tematy swoich wierszy w dół, dobierając im słów, na jakie zasłużyły. Im oschlej potraktowane, tym więcej w nich rozpaczy. Nieobecny liryzm działa swą nieobecnością, jest jak oblanie wiadrzem zimnej wody. W wierszu *Archeologia*: „Pokaż mi swój wierszyk, / a powiem ci, czemu / nie powstał ani wcześniej, ani później. // Ach nie, źle mnie rozumiesz. / Zabierz sobie ten śmieszny papier / z literkami. / Mnie wystarczy w tym celu / twoja warstwa ziemi / i od dawna pradawna / zwietrzały swąd spalenizny”.

Szyborska zawsze posiadała umiejętność mówienia wieloma głosami, wśród których jej własny głos był wyraźnie słyszalny. I umiejętność zmieniania tonacji wierszy o tej samej problematyce; sytuowania tego samego problemu w różnych językowych okolicznościach. W *Ludziach na moście* znalazły się cztery różne wiersze na temat śmierci, jeden obok drugiego. I tak tuż obok wiersza *Widok z ziarnkiem piasku* niemal żartobliwy wiersz pt. *Odzież*, traktujący o zakończonej pozytywnym rezultatem wizycie u lekarza. Symbolem czasowo zawieszzonego wyroku staje się szalik w kratkę „o przedłużonej nagle przydatności”. W sąsiedztwie wiersz pt. *O śmierci bez przesady*, gdzie każdy, najbanalniejszy przejaw życia urasta do, chwilowego co prawda, nie-

mniej realnego zwycięstwa nad śmiercią. O czwartym wierszu za chwilę.

Tak często na sylogizmach oparta konstrukcja jej wierszy nadaje im specyficzny rytm logicznego wywodu, który dodatkowo zostaje podparty przez celową niedbałość o „wierszowość” wiersza. Do tej „depoetyzacji” należy także całkowicie jawna, wręcz natrętna — a przez to samo już zakwestionowana, funkcjonująca jako kara wymierzona tematowi — sentencjonalność. Łączy się ona idealnie z absolutną wirtuozerią w posługiwaniu się mową i intonacją na wszystkich jej piętrach. W wierszu *Pierwsza fotografia Hitlera* Szyborska posłuży się niemal wyłącznie — aż do puenty, napisanej innym, poważnym głosem — owym ptasim, pieśzcotliwym kwileniem, z jakim dorośli zwracają się do dzieci: „A któż to jest ten dzidzius w kaftaniku? / Toż mały Adolfek, syn państwa Hitlerów!”. Prawie w każdym wierszu styl niski miesza się z wysokim, przechodząc niemal niezauważalnie od parodii do powagi. Szyborska rozbraja śmiertelnie najczęściej poważne tematy swoich wierszy kancelistycznym stylem, lub też miarkuje ich powagę celowo banalnymi, kolokwialnymi wtrętami. Na to zasłużyły. W wierszu *Schyłek wieku*: „Miało się mieć ku wiosnie / i szczęściu, między innymi”.

Czytelnik Szyborskiej znajdzie w *Ludziach na moście* wiele wierszy, które mają swoje odpowiedniki w jej wcześniejszych zbiorach. I tak wierszowi *Konszachy z umartwymi*, napisanemu w stylu protokołu z przesłuchania, będzie odpowiadał pełen bólu i liryzmu wiersz pt. *Pamięć nareszcie*, w którym olśnienie światem zostaje umożliwione przez odnalezienie realistycznej pamięci o nieżyjących rodzicach. Odpowiednikiem wiersza *Sen*, chyba najbardziej lirycznego w całej jej twórczości, będzie wiersz *W biały dzień*, napisany w trybie przypuszczającym. Nikt chyba jeszcze nie napisał takiej elegii na śmierć młodziutkiego poety; wiersz bowiem poświęcony jest nie śmierci, lecz możliwemu życiu Krzysztofa Baczyńskiego. I znów efektem wiersza staje się jego gramatyczna gruboskórność: czasowniki w trybie warunkowym umieszczone na końcu linijki. Bardzo szczególne to odbrązowienie: ta gloria bohaterskiej śmierci, którą poetka tak chętnie zamieniałaby na zwykłe, banalne życie: „Czasami ktoś od progu wołałby: / „panie Baczyński, telefon do pana” — / i nic dziwnego w tym nie byłoby, / że to on i że wstaje obciążając sweter / i bez pośpiechu rusza w stronę drzwi. // Rozmów na widok ten nie przerywano by, / w pół gestu i w pół tchu nie zastygano by, / bo zwykłe to zdarzenie — a szkoda, a szkoda — / jako zwykłe zdarzenie traktowano by”.

Tomik zamyka wiersz pt. *Ludzie na moście*, który także ma swoje pendant w jednym z wcześniejszych utworów, mianowicie w *Pejzażu*. Jak tam, tak i tutaj zdarzenie czasu sztucznie zatrzymanego w dziele sztuki — w obydwu wypadkach na obrazie — z czasem oglądających. Obraz jest japoński, przedstawia wodę, czółno, chmurę i ludzi na moście uciekających przed deszczem: „Trudno tu obejść się bez komentarza: / To nie jest

wcale obrazek niewinny. / Zatrzymano tu czas. / Przeszto liczyć się z prawami jego. / Pozbawiono go wpływu na rozwój wypadków. / Zlekceważono go i znieważono". W *Pejzażu* podmiot liryczny wiersza był częścią obrazu; kobietą, która swobodnie, w bezpiecznej odległości, zadowolona ze swego bytowania na płótnie, przekomarzała się z patrzącym na nią mężczyzną. Ale i *Ludzie na moście* — choć ich obserwator jest chłodny i pełen ironicznego zdumienia — są także obroną tej śmiesznej działalności ludzkiej: utrwalania się w dziele sztuki, tworzenia iluzji własnej nieśmiertelności. Szymborska dobrze wie, że rodzajowi ludzkiemu potrzebne są bajki i że wszelka sztuka spełnia podobną rolę, co mit o potopie i arce, w której przechowani zostaną ludzie, wiersze i „ochota oglądania rzeczy z sześciu stron”. W przedostatnim w zbiorze wierszu, *Do arki*, czytamy: „Ze względu na dzieci, / którymi nadal jesteśmy, / bajki kończą się dobrze. / Tu również nie pasuje finał żaden inny. / Ustanie deszcz...”.

Wracając do zdania Miłosza zacytowanego na wstępie: od roku 1983 ukazały się cztery zbiory poezji, które zapewne długo istnieć będą w polskiej literaturze i dzięki którym ta literatura istniałaby nawet wtedy, gdyby żadne inne dzieło literackie nie powstało w tym czasie. To *Raport z obłożonego miasta* Herberta, *Nieobjęta ziemia* Miłosza, *Przechowalnia ciemności* Lipskiej i *Ludzie na moście* Szymborskiej.

Janina KATZ HEWETSON

Listy emigrantów

Różni ludzie, by nie powiedzieć wszyscy, piszą listy. Co prawda do druku trafia tylko mała ich część, ale w tej części znajdują się często listy o wielkiej wartości dla historyków, socjologów i pisarzy. Do nich należą „Listy emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych 1890-1891”, które są wręcz wyjątkowe. Przede wszystkim nie dotarły one do adresatów: rosyjski cenzor uznał je za niebezpieczne, gdyż nie pokrywały się z zasadami polityki rządowej. Nie chodzi tutaj o listy wybitnych osobistości politycznych czy też agitatorów lub rewolucjonistów, ale osób ledwie piśmiennych i analfabetów, korzystających z pomocy przyjaciół — małorolnych gospodarzy lub ich synów, kilku wiejskich rzemieślników i robotników. Wszystkie listy pisali mieszkańcy wsi z powiatów Lipno, Rypin, Gołub-Dobrzyń — graniczących z ziemiami polskimi pod zaborem pruskim.

Fantastyczne dzieje tych listów — ogółem w wydaniu polskim 367 a w angielskim 352 — relacjonuje w przedmowie do polskie-

go wydania Witold Kula. Trafił na nie zupełnie przypadkowo w czasie okupacji niemieckiej, kiedy prowadził tajne zajęcia ze studentami na Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. W pracy Kazimierza Konarskiego, dyrektora Archiwum Akt Dawnych, ogłoszonej w 1929 roku, natrafił na „złotą żyłę” — informację, iż zachowały się stopy akt kancelarii oberpolicmajstra Warszawy, która posiadała m.in. specjalny wydział do walki z agentami werbującymi do emigracji. Dyr. Konarski nie tylko otworzył prof. Kuli ten skarbiec, ale zgodził się, by zabierał do domu partie listów, które po przebadaniu oddawał. Postanowił materiał opracować i wziął go na warsztat ze swoimi studentami. Do wybuchu powstania przetworzono około tysiąca listów. Ale ten wysiłek przepadł, archiwum zostało zniszczone. Ocalała, też nie w całości, ostatnia paczka, której prof. Kula nie zdołał zwrócić. I ten właśnie pakiet przygotowali do druku, zaopatrzyli przypisami i obszernym wstępem analitycznym Witold Kula, Nina Assorodobraj-Kula i Marcin Kula*. Ta źródłowa praca ukazała się przed kilkoma miesiącami w języku angielskim. Josephine Wtulich, Amerykanka, socjolog i antropolog, przybyła do Polski dla zbadania statusu kobiet i natrafiwszy na „Listy emigrantów”, tak się nimi zafascynowała, iż wzięła je na swój warsztat pracy. W rezultacie ukazało się dzieło pt. *Writing Home*, zawierające przekład 325 listów — polskich, niemieckich, rosyjskich tłumaczonych przez Wtulich oraz jej obszerne i uzupełniające przypisy wraz z wyczerpującą bibliografią tematyczną.

Już samo tłumaczenie „Listów” jest wyczynem, zważywszy że przystosowanie ich do wydania w języku polskim kosztowało wiele pracy i wymagało nie byle jakich umiejętności lingwistycznych. Roi się w nich bowiem od wszelkiego rodzaju błędów, język jest pełen wyrażen i określeń regionalnych — i to bardzo wąskiego kręgu. Nawet dla polskiego czytelnika stanowią one trudność, mimo objaśnień i przypisów, ale oddają specyficzne walory. Wtulich daje natomiast czysty, jasny, przejrzysty tekst listów, zachowując zarówno swoisty charakter (listy te to rozmowy na odległość) jak i wiele specyficznych terminów. Opracowała przy tym słowniczek pojęć wymagających dokładniejszych wyjaśnień. To jedna część jej pracy — bardzo istotna, bez której „Listy emigrantów” nie mogłyby zainteresować nawet amerykańskich badaczy problematyki emigracyjnej.

Emigracja z Polski do Brazylii i USA była znaczna i istnieją nawet specjalne ośrodki badawcze w obu tych państwach, ale interesują się procesem adaptacji imigrantów, ich stanowiskiem i rolą w życiu publicznym oraz stowarzyszeniami, organizacjami i kościołami imigrantów, natomiast korzenie ich nie budziły zainteresowania.

* Witold Kula, Nina Assorodobraj-Kula, Marcin Kula, *Writing Home: Immigrants in Brazil and the United States 1890-1891*. Edited and translated by Josephine Wtulich, East European Monographs, Boulder, 1986, str. XII + 698.

Josephine Wtulich poprzedziła listy obszernym wstępem o emigracji z Polski, koncentrując się oczywiście na okresie, w którym korespondenci wyemigrowali. Przedstawiła stan gospodarczy całej ówczesnej Kongresówki, ze szczególnym uwzględnieniem powiatów, z których pochodzili emigranci. Omówiła i nawiązała sytuację agrarną, stosunki na wsi i we dworach oraz odnotowała różne prace historyczne i socjologiczne dotyczące struktury ludnościowej, narodowościowej, wyznaniowej, zawodowej itp. Polski.

W oparciu o listy Wtulich wypukliła, iż na decyzję opuszczenia kraju i rodziny wpływało wiele czynników, ale górowało dążenie do polepszenia bytu w szerokim tego słowa znaczeniu. Nie brakło jednak przesłanek politycznych i społecznych. Ludzie emigrowali, bo nie chcieli służyć w wojsku rosyjskim, nie chcieli zostać parobkami, pragnęli sami decydować o swoim losie. Zdumiewa ocena warunków brazylijskich i amerykańskich przez emigrantów, którzy dopiero od kilku miesięcy przebywali w zupełnie nowym terenie. Piszą, iż trzeba ciężko pracować, że są okresy bezrobocia, ale że jest lepiej aniżeli w kraju. Niektórzy z dumą donoszą, że mieszą się lepiej od „panów”, właścicieli folwarków. Są bardzo żywo zainteresowani swoją rodziną, niektórzy niemal starają się kierować pozostawionym gospodarstwem, ale większość chce sprowadzić swoich najbliższych, nakłania ludzi do emigracji, udzielając im informacji, rad itp. Do najbliższych wysyłają opłacone bilety podróży na statki, ale i te ugrzęzły wraz z listami w gabinecie cenzora.

Wstęp Josephine Wtulich opisuje proces adaptacji emigrantów, atrakcyjność Brazylii i Stanów Zjednoczonych aż po rok 1939. Brazylią do 1939 roku miała największą w Ameryce Łacińskiej ilość emigrantów polskich, była trzecim na świecie skupiskiem polskich imigrantów. Pierwsze miejsce oczywiście przypada Stanom Zjednoczonym.

Zmianie uległa struktura emigracji, ale gdy chodzi o Stany Zjednoczone, dopiero po ostatniej wojnie światowej.

Nie zbadano losów autorów listów ani też adresatów. Wolno jednak zakładać, że część zdołała nawiązać kontakt z rodziną i sprowadziła swoich najbliższych. Ruch nielegalny bowiem nie został zlikwidowany. Emigranci starali się utrzymać i zachować swoją tożsamość narodowościową i wyznaniową, stąd potrzeba przybytu bliskich z Polski, formowanie grup. Proces adaptacyjny przebiegał rozmaicie, nawet w pionierskim okresie, jak tego dowodzi oblicze grupy polskiej drugiego pokolenia. Szukać potomków autorów listów należałoby dopiero w trzecim pokoleniu urodzonym w USA. Zadanie to możliwe, ale bardzo żmudne i trudne.

Josephine Wtulich dostarczyła badaczom problematyki emigracyjnej cenny źródłowy materiał wraz z wnikliwą jego analizą.

Benedykt HEYDENKORN

Nadesłane nowości wydawnicze

- KRYSKA-KARSKI (T.). *Materiały do historii wojska polskiego. Sześćnaście broszur + Poprawki, uzupełnienia, skorowidze.* Str. łącznie 1424. (Wydane nakładem autora, Londyn 1982-1987).
- FINK (Ida). *Skrawek czasu. Nowele.* Str. 103 i 1 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1987, cena £ 3.50, \$ US 8).
- KROPIWNICKI (Jerzy). *Zapiski protestu.* Str. 223 i 1 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1987, cena £ 5., \$ US 11).
- HAVEL (Vaclav). *Siła bezsilnych.* Str. 86. Przedruk z tomu *Eseje polityczne*, wyd. Krag, Warszawa 1984. (Wyd. Veto Verlag, Berlin Zachodni 1987).
- JAGIEŁŁO (Krystyna). *Krzyż i kotwica.* Str. 120. (Wyd. Libella, Paryż 1987).
- KAWKA (Jerzy Aleksander). *Pielgrzym przed czasem Apokalipsy. Notatki z podróży do Izraela — Ziemi Świętej.* Str. 127 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1987).
- OLESIAK (Henryk). *Polska emigracja polityczna w RFN. Szkice z psychologii społecznej.* Str. 192 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Kultury „Tradycja i współczesność”, Düsseldorf 1987).
- PAMUCKI (Adolf). *Pertraktacje Wschód-Zachód trwają. Rzecz o powszechnym rozbrojeniu.* Str. 243 i 1 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Książki Współczesnej, Sztokholm 1987).
- KUKIEŁKA (B. J.). *Materiały do dziejów I Pułku Ułanów Krechowickich.* Teki nr 4 i 5. Str. 100 i 100. (Wyd. nie podane, Londyn, luty i marzec 1987).
- STOCKI (Jerzy). *Melodie cieni.* Wiersze. Str. 32. (Wyd. OPiM, Londyn 1987).
- WIRSKI (Kazimierz). *Moja cegielka.* Str. 69. (Wyd. FIMAS, Handen, Szwecja, 1986).
- KUDLIKOWSCY (Helena i Józef). *Przebyta droga.* Str. 192. (Wyd. Polsko-Francuskie Zjednoczenie Kulturalno-Oświatowe, Lens 1986).
- SWIEŻAWSKI (Stefan). *U źródeł nowożytnej etyki. Filozofia moralna w Europie XV wieku.* Str. 359 i 1 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 750).
- THURIAN (Max, brat z Taizé). *O Eucharystii i modlitwie.* Str. 175 i 5 nlb. Przełożyła Maria Tarnowska. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 260).
- TYSZKIEWICZ (Teresa). *Epingles.* Katalog wystawy w Espace Beateau Lavoir, Paryż 1986. Str. 24. (Wyd. Fart Edition, Paryż 1986, cena F. 25).
- CZAJOWSKI (Jacek), MAJCHROWSKI (Jacek M.). *Sylwetki polityków Drugiej Rzeczypospolitej.* Str. 165 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 280).
- BUKOWSKI (Jerzy). *Zarys filozofii spotkania.* Str. 317 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 450).
- Przegląd zachodni* nr 5/6, 1986. Numer specjalny poświęcony prof. Gerardowi Labudzie w 70-tą rocznicę urodzin. Str. 390. Cena zł 300.
- Bibliografia zawartości „Przeglądu zachodniego” 1966-1983.* Str. 175 i 1 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań 1986, cena zł 200).
- Journal philosophique* nr 12 (*Bulletin du Centre de recherche philosophique Saint Thomas d'Aquin*). Str. 68. (Wyd. Centre de recherche philosophique Saint Thomas d'Aquin, Paris, cena pojedynczego numeru 35 F., abonament roczny 180 F.).
- Loire-Vistule. Revue de presse et des documents sur la Pologne.* Nr 1. Str. 83 i 1 nlb. (Wyd. Association Loire-Vistule, Mairie d'Olivet, 45260 Olivet. Abonament roczny F. 70).

- BOCHEŃSKI (J. M.). *Vers la pensée philosophique. Initiation aux notions fondamentales de la philosophie.* Str. 115 i 5 nlb. Przeł. z niemieckiego Louise Marsiac. (Wyd. Societé d'Editions Internationales, Paris 1965).
- MAREK (Edmund). *La Marseillaise des Polonais. Origine et fortune d'un hymne national.* Str. 40. (Wyd. Club culturel franco-polonais „Polonia Nord”, Lille 1987).
- ALEXIEV (Alexander), ROSS JOHNSON (A.), KLISZEWSKI (Barbara). *East European Military Reliability. An Emigre-Based Assessment.* Str. 102 i 2 nlb. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica CA, USA, octobre 1986).
- Poland in World Cartoons.* Collected and photocopied by Jan Kowalik. Str. nlb. (Wyd. Archive Copy, 1986).
- SWIDERSKI (Bronisław). *The Bible as Pulp. An Interpretation of The Pulp by Jerzy Andrzejewski.* (Nadbitka z „Scando-Slavica”, t. 32, Kopenhaga 1986).
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *Qui etiez-vous, M. Chéret?* (Nadbitka z „Slavic and East European Journal”, vol. 30, nr 4, winter 1986).
- THORNE (Ludmila). *Soviet POWs in Afghanistan.* Str. 40. (Wyd. Freedom House, New York 1987, cena \$ US 3).
- TORAŃSKA (Teresa). *Oni. Stalin's Polish Puppets.* Na angielski przełożyła Agnieszka Kołakowska. Str. 384 i 2 nlb. (Wyd. Collins Harvill, London 1987).
- DZIEWANOWSKI (M. K.). *War at Any Price. World War II in Europe, 1939-1945.* Str. 386. (Wyd. Prentice-Hall Inc., Englewood Cliffs, NJ, USA, 1987).
- MATEJKO (Alexander J.). *The Polish Blue Collar Workers and Peasants: Sociological Aspects of the Labor Market.* Str. 105 i 1 nlb. (Wyd. Institute for Advanced Studies, Vienna 1987).
- Report on Torture and the Use of Force in the Polish People's Republic (Special Report).* Str. 173 i 1 nlb. Przeł. Ewa Eliaz-Bran-
- tley. Opr. Helsinki Committee in Poland, wyd. Committee in Support of Solidarity, New York 1987).
- PARIS (John). *The Mind is a Sky. Selected poems 1940-1985.* Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. OPI, Londyn).
- TORAŃSKA (Teresa). „Them”. *Stalin's Polish Puppets.* Przeł. Agnieszka Kołakowska. Str. 384. (Wyd. Harper and Row Publishers, New York - Cambridge - Philadelphia - San Francisco - Washington - London - Mexico City - Sao Paulo - Singapore - Sydney, 1987).
- ZAWODNY (J. K.). *Infrastructures of Terrorist Organizations: Revisited.* (Nadbitka z „Violence, Aggression, Terrorism”, vol. I, nr 1, 1987, str. 27-40).
- SKALMOWSKI (Wojciech). *Literature and Politics: The Novels of Tomasz Staliński.* (Nadbitka z „The Modern Language Review”, vol. 82, nr 2, April 1987, str. 415-423; wyd. Modern Humanities Research Association).
- TORAŃSKA (Teresa). *Die da oben. Polnische Stalinisten zum Sprechen gebracht.* Przeł. Martin Pollack. Str. 400 i 2 nlb. (Wyd. Kiepenhauer und Witsch, Köln 1987).
- BARTOSZEWSKI (Władysław). *Uns eint vergossenes Blut. Juden und Polen in der Zeit der „Endlösung”.* Str. 298 i 4 nlb. (Wyd. S. Fischer Verlag, Frankfurt/M 1987).
- Jahrbuch der Ukrainekunde 1986.* Str. 334. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der Ukrainischen Wissenschaften, München 1987).
- HIELSCHER (Alexander Karl). *Das Kriegsende 1945 im Westen des Warthelandes und im Osten der Kurmark.* Str. 59 i 3 nlb. (Wyd. nakładem autora, Bielefeld 1987).
- PAETZKE (Hans-Henning). *Andersdenkende in Ungarn.* Str. 244 i 12 nlb. (Wyd. Suhrkamp Vlg, Frankfurt/M 1986).

- BARTOSZEWSKI (Władysław). *Tradition und Zukunft im Denken von Polen und Deutschen.* Str. 30 i 2 nlb. (Wyd. Vlg Butzon und Bercker Kevelaer).
- BARTOSZEWSKI (Władysław). *Aus der Geschichte lernen? Aufsätze und Reden zur Kriegs- und Nachkriegsgeschichte Polens. Mit einem Vorwort von Stanisław Lem.* Str. 358 i 2 nlb. (Wyd. dtv, München, cena DM 14,80).
- BARTOSZEWSKI (Władysław). *Das Warschauer Ghetto — wie es wirklich war. Zeugenbericht eines Christen. Mit einem Vorwort von Stanisław Lem.* Str. 139 i 7 nlb. (Wyd. S. Fischer Vlg, Frankfurt/M 1986).
- USCHAKOW (Alexander). *Die deutsche Frage aus der heutigen Sicht Polens.* (Nadbitka z *Die deutsche Frage aus der heutigen Sicht des Auslandes*, Duncker und Humblot, Berlin 1987).
- WILKIEWICZ (Zbigniew). *Deutsche Flugschriften zur Polenfrage im Ersten Weltkrieg.* (Nadbitka z „Zeitschrift für Ostforschung”, zeszyt 3/1984).
- FRANK (S. Ł.). *Etiudy o Puszczyńce.* Wyd. III. Str. 126 i 2 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paris 1987).
- THERY (Edmond). *Rossija w 1914 g. Ekonomiczeskij obzor.* Przełożył z francuskiego N. Krugłyj. Str. 157 i 1 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paris 1987).
- KATKOW (G. M.). *Dielo Kornilowa.* Przełożył z angielskiego N. G. Ross. Str. 251 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-Press, Paris 1987).
- WOŁKOW (Władimir). *Operacja „twiordyj znak”.* Z francuskiego przełożył Władimir Rybakow. Str. 410 i 2 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1987).
- K grażdanam Sowietskowo Sojuza! Manifest.* Przedruk z leningradzkiego samizdatu 1985, wyd. OPI, Londyn 1987).
- KTOROWA (Ałła). *Mielkij żemczug.* Str. 302 i 2 nlb. (Wyd. Kozerog, Rockville MD, USA 1987).
- ŁAWRYNENKO (Jurij). *Rozstriljane widrodżennja. Antolohija 1917-1933.* Poezja — Proza — Drama — Essei. Str. 979 i 13 nlb. (Wyd. Instytut Literacki, Paryż 1959 (wznowienie miniaturowe)).
- MYCHAJŁO (Borys). *Wykorinjujmo nasi chyby. Krytyczni sposterżennja, rozdujmy i propozycciji.* Str. 158 i 2 nlb. (Instytut Politycznoji Literatury, München 1986).
- LEDERER (Josef). *Elegie.* Str. 51 i 5 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Londyn 1987).
- BRÓUSEK (Antonin, opr.). *Čítanka českeho stalinismu v reči važane z let 1945-55. Podivuhodni kouzelntci.* Str. 269 i 3 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Londyn 1987).
- KOVAL (Libor). *Kvety stare Koreje. Parafraze na starou korejsku poezii ve forme sidzo.* Str. 75 i 5 nlb. (Wyd. Rozmluvy nakładem autora, Londyn 1987).
- PATOCKA (Jan). *O smysl dneska. Devet kapitol o problemach svetovych i českych.* Str. 153 i 7 nlb. (Wyd. Rozmluvy, Londyn 1987).
- MESTAN (Antonin, opr.). *Československo-polske styky, vcera, dnes a zitra.* Str. 192 (Wyd. Opus bonum, Monachium 1986).
- MIŁOS (Ceslav). *Zarobljeni um.* Wyd. II. Str. 335 i 7 nlb. Przeł. Petar Vujić (Wyd. Beogradski Izdavačko-Grafički Zavod, Beograd 1987).
- Historiska och literaturhistoriska studier* nr 62. Str. 283 i 5 nlb. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet i Finland, Helsingfors 1987).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

22-1-87

Muzeum Archidiecezji Warszawskiej przyznało po raz trzeci nagrody. Tym razem nagrody honorowe otrzymali Józef Czapski i Jan Lebenstein, a nagrodę regulaminową — Jerzy Tchórzewski.

4-3-87

Zmarł w Krakowie w wieku 86 lat Stanisław Ginwiłł-Piotrowski, architekt, żołnierz PSZ na Zachodzie w czasie drugiej wojny światowej.

16-3-87

Ks. Henryk Kowalski został dyrektorem Centrum Formacji Misyjnej w Polsce. Dotychczasowy dyrektor tego Centrum, ks. Wacław Kuflewski, zajmie się przygotowaniem na misje osób świeckich oraz organizowaniem ich wyjazdu. W związku z tym ma powstać Instytut Misyjny dla Świeckich.

10-4-87

Agencje prasowe podają z Bangladeszu, że tamtejsze władze sanitarne podjęły decyzję zniszczenia około 7 tys. ton mleka w proszku, zakupionego w PRL. Powodem tej decyzji miało być promieniotwórcze skażenie cezem.

21-4-87

W czasie ostatniej wizyty generała Jaruzelskiego w Moskwie władze sowieckie przekazały Polsce ponad 2.400 książek z księgozbioru dawnej Biblioteki Ossolińskich we Lwowie. Natomiast władze PRL ofiarowały ZSSR niektóre zabytki archiwalne z XVII i XVIII wieku dotyczące historii Ukrainy.

25-4-87

Członek delegacji Związku Radzieckich Towarzystw Przyjaźni, pisarz ukraiński Dymitr Pawlyczuk, udzielił wywiadu o ochronie zabytków polskich na Ukrainie. Mianowicie: w Berdyczowie odbudowano kościół, który został całkowicie zniszczony w czasie ostatniej wojny; w Krzemieńcu, w domu gdzie urodził się Juliusz Słowacki i gdzie mieściła się biblioteka rejonowa, ma zostać stworzone muzeum Juliusza Słowackiego; jest dobrze utrzymany grób matki Słowackiego, a w Daszowie — grób ojca Jarosława Iwaszkiewicza; dyskutuje się odremontowanie mogił pisarzy polskich we Lwowie; w Tomaszówce, gdzie urodził się Szymanowski, ma być odbudowany dom; dyskutuje się w sprawie postawienia pomnika Jarosława Iwaszkiewicza. W sumie ta „konserwacja zabytków” wygląda dosyć skromnie.

2-5-87

Polski statek „Mieczysław Kalinowski” został zatrzymany przez irański okręt wojenny dla sprawdzenia ładunku. Było bowiem podejrzenie, że jego ładunek przeznaczony jest dla Iraku. Jest to już czwarty przypadek zatrzymania statku PRL przez irańską marynarkę wojenną.

5-5-87

Znany publicysta PRL, Marian Podkowiński, otrzymał od Związku Dziennikarzy ZSSR nagrodę im. Worowskiego z dziedziny polityki międzynarodowej.

9-5-87

Płk Stanisław Kwiatkowski, szef Centrum Badania Opinii Społecznej stwierdził, że około 1/5 dorosłej ludności PRL nie wie o PRON-ie.

10-5-87

Kierownikiem Wydziału do Spraw Wyznań został mianowany Władysław Loranc, pełniący dotychczas funkcję szefa wydziału ideologii w KC. Dotychczasowy kierownik, prof. Adam Łopatka, prawdopodobnie obejmie stanowisko prezesa Sądu Najwyższego.

ZACHÓD — EMIGRACJA

17-3-87

Zmarł w Kanadzie w wieku 98 lat płk inż. Zygmunt Dzwonkowski, b. szef personalny Drugiego Korpusu we Włoszech.

3-4-87

Przy Związku Pisarzy Izraelskich powstał Związek Autorów Polskich. Grupa on twórców piszących po polsku, a zamieszkałych w Izraelu. W marcu bież. roku ukonstytuował się pierwszy z wyboru zarząd związku w składzie: przewodniczący — Ryszard Loew, z-ca przewodniczącego — Aniela Jasińska i sekretarz — Renata Jabłońska.

27-4-87

Prasa francuska podaje, że Lech Wałęsa, którego autobiografia stała się światowym bestseller'em, przygotowuje dwie książki: jedną — dokumentację strajków robotniczych w grudniu 1970 i w sierpniu 1980, a drugą o roli i znaczeniu religii w jego kręgu rodzinnym i roli wiary, bez której niczego by nie mógł osiągnąć.

2-5-87

W Londynie odbyło się Walne Zebranie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. W ostatnich miesiącach przyjęto do Związku 16 nowych członków z trzech kontynentów. Liczy on obecnie 107 członków w trzynastu krajach. W otwarciu zebrania uczestniczył Jan Józef Lipski, który pozdrowił zebranych jako członków jedyne Związku Wolnych Polskich Pisarzy. Prezeselem po raz 12-ty został jednogłośnie wybrany dr Józef Garliński.

4-5-87

Zmarł nagle w Nowym Jorku w wieku 85 lat Adam Rudzki, wilnianin, ekonomista, obrońca Lwowa, uczestnik kampanii 1920 i 1939 roku, niepodległościowy działacz emigracyjny.

5-5-87

Zmarł w Londynie w wieku 86 lat Wilhelm R. Quirini. W czasie ostatniej wojny służył w Brygadzie Karpackiej i w 3 DSK. Długoletni działacz SPK, znany adwokat.

7-5-87

Waszyngtoński korespondent *Jerusalem Post* podaje na podstawie źródeł amerykańskich, że Izrael odegrał decydującą rolę w dostarczaniu z Polski, via Honduras, broni sowieckiej przeznaczonej dla kombatantów antysandynistów w Nikaragui.

9-5-87

Nagrodę *Wiadomości* otrzymał w tym roku Andrzej Szczypiorski za książkę pt. „Początek”, wydaną przez Instytut Literacki w Maisons-Laffitte. Wysokość nagrody wynosi £ 500,00 i została ona ufundowana przez Feliksa Łaskiego. ■ W związku z 85-tą rocznicą urodzin J. M. Bocheńskiego, OP, Muzeum Polskie w Rapperswilu zorganizowało sympozjum naukowe (w języku niemieckim). Wzięli w nim udział m.in. dr Kurt Furgler, b. minister

rządu federalnego, który wygłosił kilka uwag osobistych o jubileacie, ks. Dariusz Gabler mówił na temat „Życie i dzieło O. Bocheńskiego”, prof. Jeanne Hersch wygłosiła odczyt „Ojciec Bocheński w naszych czasach”, oraz dr Hans Burhard — „Rozwój i stan logiki”.

KRONIKA FRANCUSKA

Działacze francuskiego stowarzyszenia ACAT (Chrześcijańska akcja na rzecz zaprzestania tortur) prowadzą od dwóch miesięcy kampanię informacyjną w sprawie tragicznej śmierci Mirosława Bednarka i Grzegorza Luksa (obaj pobici przez milicjantów w Polsce). W przeciągu kilku tygodni członkowie ACAT-u wysłali do Ministerstwa Sprawiedliwości PRL i do ambasady PRL w Paryżu ponad pięćset listów z apelem o wszczęcie śledztwa w tej sprawie. ■ Podczas półgodzinnego spotkania w kilkanaście osób, w Klubie „Kontakt”, Bułat Okudźwa śpiewał i odpowiadał na pytania dotyczące obecnej sytuacji w ZSSR (spotkanie zostało utrwalone na filmie video). ■ Ojciec Jan Góra (dominikanin z Poznania, autor kilku cenionych książek) prowadził w pierwszych dniach kwietnia rekolekcje w kościele polskim w Paryżu. Ojciec Góra wziął ponadto udział w spotkaniu poświęconym życiu religijnemu inteligencji polskiej, zorganizowanym przez Polskie Towarzystwo Historyczno-Literackie, a także spotkał się ze słuchaczami paryskiego Instytutu Katolickiego w ramach wykładów Centrum Studiów Sławistycznych (dział Instytutu założony w 1946 roku, któremu patronuje T.H.L.). Gościem T.H.L. był również ks. Hieronim Fokciński, dyrektor Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych w Rzymie, który wygłosił odczyt pt. „Polskie tradycje naukowe w Rzymie: instytucje i studia”. ■ Delegacja francuskiego związku zawodowego FEN (Federacja Edukacji Narodowej) spotkała się w kwietniu z przedstawicielami „Solidarności” szkół wyższych Warszawy i Gdańska. Francuscy związkowcy podpisali umowę o współpracy z warszawskimi komisjami „Solidarności” oraz z przedstawicielami zdelegalizowanego Związku Nauczycielstwa Polskiego. ■ Piotr Chruszczyński, przewodniczący Paryskiego Komitetu Koordynacyjnego NSSZ „Solidarności”, uczestniczył w zjeździe Francuskiej Partii Socjalistycznej w Lille. ■ „Droga nadziei”, autobiografia Lecha Wałęsy opublikowana przez wydawnictwo Fayard w Paryżu, stała się wydarzeniem we Francji. Książka ta była przygotowywana w ścisłej tajemnicy od ponad roku i dopiero na dwa tygodnie przed jej ukazaniem się zapowiedział ją we francuskiej telewizji Bernard Pivot, który w swojej audycji „Apostrophes” poświęcił wspomnieniom Wałęsy cały program 23 kwietnia bież. roku. Książka Wałęsy była przez kilka dni jednym z głównych tematów prasy francuskiej; w pierwszym dniu sprzedano ponad 37 tysięcy egzemplarzy; książka została wydana w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy; podobno ma się ukazać w dwunastu językach. ■ W końcu kwietnia wystąpiła z recitale arii Moniuszki, Szymanowskiego, Dworzaka i Rachmaninowa światowej sławy polska śpiewaczka, Teresa Żylis-Gara (sopran). ■ Przed świętem 1 Maja w paryskim gmachu Bourse de Travail (Giełda Pracy) odbyło się spotkanie, zorganizowane przez Paryski Komitet „Solidarności”, poświęcone warunkom życia i pracy w Europie Wschodniej. Poszczególne referaty dotyczyły zarobków i cen, problemu mieszkaniowego oraz higieny i bezpieczeństwa pracy. W dyskusji, obok polskich gospodarzy spotkania, wzięli udział działacze z Rumunii, Rosji, Ukrainy, Czechosłowacji i Afganistanu. Obecni byli także przedstawiciele trzech francuskich central związkowych: FO, CFTC i CFDT. Organizatorzy zapowiedzieli drugie spotkanie tego typu, poświęcone sytuacji reprezentacji pracowniczej w Europie Wschodniej, które ma się odbyć w październiku bież. roku. ■ W przeddzień narodowego święta 3 Maja miało miejsce w Bibliotece Polskiej w Paryżu tradycyjne zebranie dla uczczenia Konstytucji 3 Maja.

Przemawiali: prof. Eugeniusz Zaleski, prezes T.H.L., dr Jerzy Mond, sekretarz generalny T.H.L., który wygłosił referat pt. „Konstytucja Trzeciego Maja w oczach współczesnych historyków polskich”, w którym podkreślił znaczenie prac niedawno zmarłego w Warszawie historyka, Jerzego Łojka. Tego samego dnia została w Bibliotece Polskiej otwarta wystawa zbiorów rękopiśmienniczych i kartograficznych, na której przedstawiono także dziełkę nieznaną rycin Norwida. ■ Po 40 latach powrócili do Paryża, do Biblioteki Polskiej, szable Marszałka Piłsudskiego, zdeponowane tam w 1939 roku i przez całą okupację ukrywane przez pracowników Biblioteki. Po wojnie, gdy władze PRL usiłowały przejąć władanie nad Biblioteką Polską, dziewięć szabel i dwa pugiwały wywieziono do Ameryki, gdzie były przechowywane w Muzeum Polskim w Chicago. Przez wiele lat ciągnęły się rozmowy między Biblioteką Polską w Paryżu a Polskim Zjednoczeniem Rzymsko-Katolickim w Chicago o zwrot tego depozytu, aż wreszcie, 9 maja bież. roku, odbyło się w Bibliotece Polskiej uroczyste przejęcie zabytków, przywiezionych z Chicago przez prezesa Zjednoczenia, p. Edwarda Dykłę. W uroczystości wzięły udział córki Marszałka — dr Wanda Piłsudska i p. Jadwiga Jaraczewska. ■ Gośćmi „Centrum Dialogu” O.O. Pallotnowy byli w maju bież. roku: Jacek Moskwa, który wygłosił odczyt na temat ośrodka rehabilitacji niewidomych w Laskach pod Warszawą; ks. Adam Boniecki z referatem pt. „Co przeciwko Papieżowi?” oraz Halina Mikolajka, która recytowała m.in. urywki z „Beniowskiego” i z Konstytucji 3 Maja. ■ Stanisław Gonkiewicz mówił na Sorbonie o Armii Krajowej. ■ Z inicjatywy Stowarzyszenia Byłych Uczniów Szkoły Współczesnych Języków Wschodnich (2, rue de Lille w Paryżu — szkoła ta prowadzi m.in. kurs języka polskiego, rozszerzony o podstawy wiedzy o Polsce) odbyło się spotkanie z warszawskim krytykiem filmowym, Jackiem Fuksiewiczem. ■ Film Krzysztofa Kieślowskiego „Przypadek” był wyświetlany na festiwalu filmowym w Cannes. ■ W Vence, na południu Francji, w galerii „Chapelle des pénitents blancs” wystawiał swoje prace znany krakowski malarz i poeta, Adam Macedoński. ■ Profesor Konstantyn Zelenko wygłosił w maju, w ramach spotkań Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Ukraińskiej, referat na temat stosunków polsko-ukraińskich w II Rzeczypospolitej. K. Zelenko jest historykiem ukraińskim, prezesem londyńskiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Ukraińskiej (spotkanie odbyło się w sali Biblioteki Polskiej w Paryżu). W tej Bibliotece profesor Uniwersytetu w Ottawie, Andrzej Ruszkowski, mówił o filmie i jego historii. ■ Stowarzyszenie „Kontakt” wraz ze Wspólnotą polsko-francuską wystosowało list do premiera rządu francuskiego Jacques Chiraca, prosząc go o poruszenie w czasie wizyty w Moskwie problemu deportowanych do ZSSR Polaków, którzy do dzisiaj nie mogą powrócić do Polski. Autorzy listu stwierdzają, powołując się na dane sowieckie z 1979 roku, że w ZSSR przebywa około 150 tysięcy Polaków, z których mniej więcej połowa była deportowana z terenów polskich na Syberię i do Kazachstanu. ■ „Miejsce polskich imigrantów w społeczeństwie francuskim” było tematem spotkania zorganizowanego przez stowarzyszenie Francuzów polskiego pochodzenia, które odbyło się 20 maja bież. roku w paryskim hotelu Hilton. Wzięli w nim udział m.in. minister do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego, Robert Pandraud oraz Jean Offredo, znany dziennikarz francuski polskiego pochodzenia, zajmujący się problematyką polską, redaktor naczelny jednego z głównych programów telewizji francuskiej — TF1. ■ Ośrodek badawczy języków i kultury słowiańskiej na Sorbonie zorganizował 23 maja bież. roku zebranie, na którym wygłosili referaty: Petr Kral — *Les Tchèques dans le dictionnaire international des écrivains* oraz *Une nouvelle anthologie de la poésie tchèque et slovaque en français*. Ponadto Bohuslav Reynek (tłumacz Jean Giono) odczytał esej (praca zbiorowa) na temat *Monosque des Plateaux*.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Halifax, Kanada, 16 kwietnia 1987.

Pan Leopold Unger stwierdza na stronie 141 marcowego numeru *Kultury* Nr 3/474, 1987, iż Janusz Kusociński zdobył pierwszy dla Polski medal olimpijski w Los Angeles w roku 1932.

Wiadomość nie jest ścisła. Pierwszy medal, srebrny, został zdobyty w roku 1924 w Paryżu przez Franciszka Symczyka, Jana Łazarskiego, Tomasza Stankiewicza i Józefa Lange na dystansie 4.000 metrów wyścigu kolarskiego.

Z poważaniem

Stanisław BÓBR-TYLINGO

Szanowny Panie Redaktorze,

London, 5 maja 1987.

W kwietniowym numerze *Kultury* ukazał się artykuł o „Polskich muzeach i bibliotekach na Zachodzie” pióra Aleksandry Kwiatkowskiej-Viatteau, stanowiący relację z odbytej we wrześniu 1986 w Rzymie Ósmej Sesji Stałej Konferencji Muzeów i Bibliotek Polskich na Zachodzie. Relacja ta wymaga — przynajmniej z mojej strony — pewnych sprostowań i uzupełnień.

Jest w niej mowa o czterech sympozjach — nie wiadomo jakich i skąd aż tylu? Nie ma natomiast ani słowa o obszernej dyskusji, do której wprowadzeniem były wygłoszone przeze mnie dwa referaty na dość istotne tematy: „wymiany międzybibliotecznej” i „emigracyjnych opracowań bibliograficznych”. Rezultatem naszych rzymskich obrad były odpowiednio uchwały uczestników i apel o nadsyłanie bądź egzemplarzy wydawnictw, bądź informacji bibliograficznych o utworach i pracach publikowanych poza Krajem, zarówno autorów polskich jak i obcych interesujących się tematyką polską, do Biblioteki Polskiej w Londynie, która od dawna zajmuje się opracowywaniem „Bibliografii druków polskich i Polski dotyczących, wydawanych poza Polską po 1 września 1939 roku”.

W artykule pominięto zupełnie fakt wydawania tej „Bibliografii” przez Bibliotekę Polską czy też gromadzenie podobnych materiałów (np. do „Bibliografii Katyńskiej” i do „Bibliografii Polaków w Rosji i ZSSR”) chociaż wyliczono w nim osiągnięcia innych instytucji członkowskich. Czytelnik może więc powziąć całkiem błędne i niesłuszne wyobrażenie o działalności Biblioteki, „ograniczonej”, jakby się wydawało, do dostarczania autorom obcym fabuły do „dreszczowców” o Polsce i Polakach. W rzeczywistości właściwy obraz działalności Biblioteki Polskiej w Londynie został na konferencji przedstawiony wystarczająco szeroko w części sprawozdawczej, pełny zaś tekst sprawozdania rocznego dostępny jest we *Wiadomościach P.O.S.K.* (sprawozdanie

za rok 1985 w nr. 34, kwiecień 1986, str. 22-42), za rok 1986 w nr. 35 (kwiecień 1987, str. 22-40).

Nie jest również ścisłe stwierdzenie, że „jak zwykle na stałej konferencji toczyła się dyskusja na temat dwóch zasadniczych kwestii: 1. w jakich warunkach archiwa, zbiory, dzieła sztuki i zabytki polskiej emigracji mogłyby powrócić do Polski; 2. Jak daleko może iść współpraca z krajem”. Takie dyskusje zwykle się nie toczą i instytucje członkowskie nie rozważają wcale jakiegokolwiek powrotu swoich zbiorów do Polski, a tym bardziej do PRL. Służą one bowiem z powodzeniem sprawie, nauce i kulturze polskiej, zgodnie z przytoczonymi zresztą w artykule „statutowymi celami Stałej Konferencji”. Słusznie też prof. Jerzy Mond przypomina losy bezcennych papierów z archiwum rapperswilskiego, które powróciły ze Szwajcarii i zostały w wojennej połodze bezpowrotnie stracone.

Jeżeli już mają powrócić to w pierwszym rzędzie do Francji zawłaszczone przez reżym zbiory Biblioteki Polskiej w Paryżu, a w drugim rzędzie — zagrabione przez ZSSR niezliczone zbiory muzealne, archiwalne i biblioteczne, dotąd Polsce nie zwrócone. Trzeba natomiast skierować baczną uwagę — i o tym była mowa na konferencji — na stale powtarzające się, uporczywe zakusy pewnych instytucji nawet osób prywatnych z PRL, dążących do zawiązania zbiorami i archiwami organizacji, pisarzy, naukowców, wojskowych i działaczy emigracyjnych. Nie jest to bynajmniej akcja przypadkowa ani rzecz błaha. Jaskrawym tego dowodem jest sprawa przekazania do Kraju — wbrew wyrażonej wyraźnie w testamencie woli — archiwum generała Kazimierza Sosnkowskiego. Co zaś tyczy się kwestii współpracy z Krajem, ramy jej są jasno ustalone wspólnym nam dobrem wolnej nauki i kultury polskiej, ale też i niepodległościową postawą instytucji zrzeszonych w Stałej Konferencji.

Na koniec muszę wyjaśnić, że nigdy nie nosiłem, nie noszę i nie używam imienia Michał, jakim obdarzyła mnie autorka wspomnianego artykułu.

Łączę wyrazy szacunku

Zdzisław JAGODZIŃSKI
Kierownik Biblioteki Polskiej
w Londynie

Szanowny Panie Redaktorze,

Rzym, 15 maja 1987.

Chciałbym poświęcić parę uwag kwestiom, które p. Dominik Morawski poruszył w 3 i 4 numerach *Kultury* paryskiej. W ogólności nie byłbym skłonny reagować na wypowiedzi pana Morawskiego, które przypominają raczej politykowanie starszych panów przy stoliku w kawiarni. Jednak ta sprawa dotyczy Litwy, a *Kultura* jest czytana na Zachodzie i na Wschodzie.

Przedstawicielstwo litewskie przy Stolicy Apostolskiej jest wspierane przez wszystkich Litwinów zamieszkałych na Zachodzie. Kiedy w 1958 roku egzystencja przedstawicielstwa znalazła się w niebezpieczeństwie, reakcja społeczeństwa litewskiego na Zachodzie była wyjątkowo silna. To samo nastąpiłoby także obecnie. Przedstawicielstwo jest symbolicznym nieprzyznaniem sowieckiej okupacji Litwy. *Kronika Kościoła Katolickiego Litwy* zwraca się do mnie, jako do przedstawiciela Litwy przy Stolicy Apostolskiej, więc to przedstawicielstwo cieszy się zaufaniem także i w Kraju.

Wszyscy Litwini są bardzo wdzięczni Ojcu Świętemu za Jego stale okazywaną przychyłność Litwie i za Jego zrozumienie jej spraw. Wszystkie duże państwa przynajmniej politykę nieprzyznawania okupacji, a również par-

lament europejski przyjął niedawno przychylną dla Litwy rezolucję, popierającą sprawę niepodległości Litwy.

Co się tyczy „Solidarności”, moim zdaniem Polacy i Litwini powinni tę organizację popierać, ją zrozumieć i, zwłaszcza za granicą, bronić jej, ponieważ jest ona dziś jedyną wyrazieliwą politycznych oraz społecznych aspiracji narodu polskiego.

Z poważaniem

Stasys LOZORAITIS, jr.

Przedstawiciel Litwy przy Stolicy Apostolskiej

London, 4 kwietnia 1987.

Szanowny Panie Redaktorze!

W londyńskim *Tygodniu Polskim* z 21 lutego bież. roku ukazało się bezkrytyczne omówienie pracy Romana Korab-Żebryka „Operacja wileńska AK” (Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1985) pióra Jana „Rolanda” Morelewskiego. Chcąc zwrócić uwagę na niektóre negatywne aspekty tej książki, wysłałem do redakcji *Tygodnia Polskiego* list z 28 lutego br. Jednak nie został on zamieszczony.

Wobec tego byłbym wdzięczny, gdyby Pan Redaktor zechciał ten list (kopię załączam) opublikować.

Serdeczne pozdrowienia załączam

Z. S. SIEMASZKO

W. Pan Redaktor
Włodzimierz Olejnik
Tydzień Polski

64 Twyford Ave.,
London W3 9QB

28 lutego 1987.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z entuzjastycznym omówieniem książki Koraba-Żebryka „Operacja wileńska AK” w *Tygodniu Polskim* z 21 lutego 1987 należy zwrócić uwagę na to, że autor tej pracy jedynie w minimalnym stopniu wykorzystał dokumenty znajdujące się w Studium Polski Podziemnej w Londynie, pomimo że Londyn odwiedził na przełomie lat 1979-1980. *Nota bene* komplet tych dokumentów został wydrukowany w 73-cich *Zeszytach Historycznych*, sierpień 1985.

Poza tym trzeba podkreślić, że Korab-Żebryk jest zwolennikiem podporządkowania się Sowietom i potępia tych, którzy nie chcieli w 1944 ujawniać się przed nadchodzącą od wschodu armią sowiecką. Na przykład o organizatorze i komendancie Okręgu Nowogródzkiego AK płk. Prawdziecu-Szlaskim pisze:

„Borsuk’ bowiem był skompromitowany na terenie Nowiu (Nowogródka) swoją obsesyjnie antyradziecką postawą” (str. 79).

O innym przeciwniku ujawniania się przed Sowietami, ppor. Adolfie Pilchu (cichociemnym) dowódcy AK w Puszczy Nalibockiej, Korab-Żebryk pisze:

„Góra’ popadł w konflikt z miejscową partyzantką radziecką i wydał jej formalną wojnę. Znalazł w tej sprawie zrozumienie i pomoc u Niemców, z którymi zawarł porozumienie o wzajemnej nieagresji” (str. 68).

Gdzie indziej ppor. Pileha i ppor. Zajączkowski (Ragnara), dowódcę IV batalionu nowogródzkiego, który również nie ujawnił się przed Sowietami, Korab-Żebryk przedstawia w sposób następujący:

„Obaj wyłamali się z dyscypliny organizacyjnej. Przyznawali się wprawdzie skwapliwie do przynależności do AK i na tym opierali swoją popularność w społeczeństwie. ... Dopiero później okazało się, ile wyrządzili szkody społeczeństwu polskiemu, gdy po wypędzeniu Niemców władze radzieckie uzasadniały rozbrajanie resztek AK zdradą oddziałów ‘Góry’ i ‘Ragnara’” (str. 93).

Ale Korab-Żebryk nie ogranicza się jedynie do usprawiedliwiania postępowania sowieckiego, zwalając winę na niektórych lokalnych dowódców polskich. Sięga on również wyżej i oto w ten sposób komentuje pertraktacje Mikołajczyka z ambasadorem Lebediewym w Londynie w czerwcu 1944:

„Po wysunięciu przez stronę radziecką warunków przetargowych (obejmowały one według Żebryka przyjęcie linii Curzona, usunięcie prezydenta Raczkiewicza, Naczelnego Wodza Sosnkowskiego, ministrów Kota i Kukiela oraz dopuszczenie do udziału w rządzie przedstawicieli moskiewskiego Związku Patriotów Polskich — Z.S.S.) Mikołajczyk odmówił wszelkiej dyskusji, zrywając rozmowy. ... Dał się ponieść złudnej pewności siebie i popełnił niewybaczalny błąd, który potem zaciążył na losie żołnierzy AK na Kresach Wschodnich” (str. 83).

Wypowiadając tego rodzaju opinie Korab-Żebryk sugeruje, że to nie Sowiet, a Polacy, oporni Sowietom zarówno w Londynie jak i tam na Kresach, byli winni wszystkich nieszczęść jakie spotkały tamtejszą ludność po wkroczeniu armii sowieckiej latem 1944.

Nie więc dziwnego, że praca ta została zaaprobowana przez cenzurę PRL. Jedynym entuzjazm niektórych czytelników w stosunku do tej książki Koraba-Żebryka jest nieco zastanawiający.

Pozostaję z szacunkiem

Z. S. SIEMASZKO

ODPOWIEDZI REDAKCJI

J.W., Łódź. — Pana listu do „Towarzysza Jaruzelskiego” nie zamieścimy.
L.S., Gdańsk. — List Pana przekazaliśmy autorowi.
P.C., Carlsberg. — Pana list przekazaliśmy płk. Kuklińskiemu.

Dokumenty

POLITYKA WSCHODNIA

Poniżej zamieszczamy trzy dokumenty dotyczące polityki wschodniej, opublikowane w piśmie warszawskiego oddziału liberalno-demokratycznej partii „Niepodległość”, Orientacja na prawo, nr 3, sierpień 1986.

OŚWIADCZENIE

Do braci Ukraińców, Białorusinów i Litwinów!

Propozycja wspólnego stanowiska wobec granicy polsko-ukraińskiej, polsko-białoruskiej i polsko-litewskiej.

W związku z rozwojem dialogu i perspektywą współpracy międzynarodowej potrzebne jest pełne wyjaśnienie spraw granic między Polską a Ukrainą, Białorusią i Litwą. Ponieważ kwestie graniczne wymagają ze swej natury zawsze ustaleń obustronnych, proponujemy niezależnym ośrodkom społecznym i politycznym zainteresowanych narodów podpisanie wraz z nami poniższego dokumentu. Zyska on konieczną rangę obowiązującego porozumienia, jeżeli nie zabraknie pod nim podpisu przedstawicieli żadnej strony.

Oświadczenie wspólne

Konflikty terytorialne wielokrotnie dzieliły, skłócały i groźnie osłabiały zarówno Polaków jak i Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Jedynym sposobem przewyciężenia takich konfliktów jest zachowanie obecnych granic. Leży to w najżywotniejszym interesie geopolitycznym naszych walczących o wolność narodów. Będziemy dążyć, aby powyższa zasada została wzajemnie potwierdzona przez przedstawicielstwa narodowe.

Tym, którzy chcieliby nam zarzucić, że w ten sposób sankcjonujemy gwałt i przemoc, że godzimy się — jak KBWE w Helsinkach w 1975 roku — na konsekwencje porządku jałtańskiego w naszej części Europy, odpowiadamy:

— potępiamy i uznajemy za nieobowiązujące wszystkie i wszelkie rozbiory, zabory, aneksje, okupacje, podziały na „strefy wpływów” i inne gwałty na naszych ziemiach, a w szczególności zbrodnicze dzieło Stalina, włącznie ze wszystkimi paktami i porozumieniami zawartymi przez niego z kimkolwiek; o naszych sprawach nikt nie ma prawa decydować ponad naszymi głowami;

— uważamy zatem, że nie można chcieć czynić sprawiedliwości za cenę nowych krzywd; tradycje wielu miast i wsi są dziś inne, niż były przez wieki i gdyby zamierzać przywrócić im dawną tożsamość, trzeba by zniszczyć ich tożsamość nową, unieszczęśliwić znowu rzesze ludzi, zniweczyć pomniki nowego życia;

— dlatego uważamy, że to co się stało, powinno zostać, choć potępiamy zło stojące u jego kolebki. Obecne granice powinny trwać dlatego, że tak rozumiemy dobro naszych narodów i że taka jest nasza zgodna wola.

Oczywiście granice powinny być otwarte i powinna być zapewniona swoboda osiedlania się zgodnie z obowiązującymi po obu stronach granic prawami. Morze krwi, łez i zagłady niepowtarzalnych wartości cywilizacji i kultury, bezmiar powszechnej tragedii, przesiedleń i innych prześladowań narodowościowych, niechaj nigdy nie powtarza się — nawet w drobnej części czy złagodzonej postaci. Mniejszość polska na Ukrainie, Białorusi i Litwie, oraz mniejszość ukraińska, białoruska i litewska w Polsce powinny posiadać pełnię swobód, pozwalających zachowywać tożsamość i rozwijać kulturę narodową, zaś trwałe dorobek pokoleń powinien być chroniony.

Minione zostaje w pamięci, lecz patrzeć musimy w przyszłość. Trzeba naszym narodom — nie mniej niż tlenu i światła — poszanowania i zgody, aby były mocne i mogły wcielać w życie szlachetne ideały Europy.

Od zainteresowanych oczekujemy odpowiedzi — akceptacji, kontrpropozycji lub polemiki. Tylko drogą uzgodnień — nie deklaracji jednostronnych — można i należy iść w stronę upragnionego ładu.

Warszawa, 10 grudnia 1986 r.

ORGANIZACJA WSN — RUCH POLITYCZNY
„WYZWOLENIE” — LIBERALNO-DEMOKRA-
TYCZNA PARTIA „NIEPODLEGŁOŚĆ” —
GRUPA POLITYCZNA „WOLA”.

STANOWISKO KONFERENCJI UKRAIŃSKICH PARTII I ORGANIZACJI POLITYCZNYCH W KWESTII STOSUNKÓW UKRAIŃSKO-POLSKICH

Niedawno Prezydium Konferencji Ukraińskich Partii i Organizacji Politycznych, w ramach której współpracują Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów — Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów za granicą — OUN-z, Rada Sympatyków Ukraińskiej Re-

publiki Ludowej — RP UNR, Związek Ziem Zjednoczonej Ukrainy — chłopska Partia — SZSU-SP, Ukraiński Ruch Demokratyczny — CDR, Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne — UNDO, Ukraińska Partia Rewolucyjno-Demokratyczna — URDP i Ukraińska Partia Socjalistyczna — USP, otrzymało propozycję przedstawicielstwa czterech polskich formacji politycznych działających we współczesnej Polsce w sprawie zacieśnienia współpracy polsko-ukraińskiej w oparciu o ich postanie „Do Braci Ukraińców, Białorusinów i Litwinów”. W apelu tym, jak wiadomo, cztery polskie formacje polityczne — Ruch Polityczny „Wyzwolenie”, Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość”, Grupa Polityczna „Wola” oraz Organizacja Wolność Sprawiedliwość-Niepodległość — proponują, aby przerwać spory prowadzone w kwestii granic między zainteresowanymi narodami, przyjmując obecne granice między USRR, BSRR, LSRR i PRL. Ukraińskie partie i organizacje polityczne, które współpracują w ramach KUPPO, witają ten apel i uważają, iż stanowi on ważny krok na drodze zacieśnienia współpracy między Ukraińcami, Polakami, Białorusinami i Litwinami w walce o przywrócenie niepodległości naszym narodom na ich własnych terytoriach oraz że jest on ważną podstawą dla przyszłego dobrosąsiedzkiego współżycia między naszymi narodami. Partie i organizacje KUPPO witają śmiało postawę polskich formacji politycznych w ich walce o wolność narodu polskiego, a zwłaszcza witają państwowotwórczą inicjatywę tych organizacji w kwestii granic między narodami wschodnioeuropejskimi. Jesteśmy świadomi faktu, że ustalenie obecnych granic było rezultatem porozumienia uczestników nieszczęsnej Konferencji Jałtańskiej i nie są one wyrazem swobodnej woli naszych narodów. Uznając jednak stan obecny jako realnie istniejący fakt, komunikujemy nasze pryncypialne stwierdzenie, że nikt na świecie nie ma prawa rozstrzygać problemu granic naszych państw poza naszymi narodami i wybranymi przez nie organami państwowymi w naszych wolnych i suwerennych państwach. Przyjmując przyjacielskie propozycje wymienionych polskich formacji politycznych, oświadczamy o naszej gotowości do szukania z nimi, a także z innymi przyjacielskimi formacjami narodu białoruskiego, litewskiego i innych sąsiednich narodów Europy środkowo-wschodniej, ścisłej współpracy we wspólnej dla nas sprawie walki przeciw imperiaлизmowi moskiewskiemu — a współcześnie komunistycznemu — który zniewala nasze narody. Nasze stanowisko notyfikujemy przedstawicielstwu wymienionych polskich formacji politycznych i proponujemy odbycie wspólnej konferencji zainteresowanych formacji dla nakreślenia konkretnych planów naszej współpracy.

Na obczyźnie — maj 1986 rok.

**KONFERENCJA UKRAIŃSKICH PARTII
I ORGANIZACJI POLITYCZNYCH**

DO KONFERENCJI UKRAIŃSKICH PARTII I ORGANIZACJI POLITYCZNYCH

Z dużą satysfakcją przyjmujemy Wasze stanowisko w kwestii stosunków ukraińsko-polskich z maja 1986 roku. Jej źródłem jest fakt, że rozpoczęł się dialog — dialog pomiędzy niepodległościowymi organizacjami obydwu narodów.

Mieliście możliwość zapoznać się z naszą propozycją, by współpracę pomiędzy niezależnymi ośrodkami politycznymi Ukrainy, Białorusi, Litwy i Polski oprzeć na podpisaniu wspólnego oświadczenia w sprawie granic. Teraz z kolei my możemy poznać Wasze stanowisko w dwóch podstawowych kwestiach: możliwości prowadzenia wspólnej walki o niepodległość naszych narodów oraz możliwości pełnego wyjaśnienia sprawy granic. Uczciwość nakazuje stwierdzić, że o ile w pierwszej kwestii jesteśmy zgodni, to w drugiej — odnosimy wrażenie — nasze koncepcje nie całkiem się pokrywają.

Tym większego znaczenia nabiera nasza propozycja odbycia wspólnej konferencji. Świadczy ona bowiem o przekonaniu, że dialog musi być rozpoczęty i prowadzony, nawet mimo różnic programowych. Przekonanie to w pełni dzielimy. W konferencji wezmą udział nasi przedstawiciele.

Dn. 16. 08. 1986 roku

**RADA POLITYCZNA LIBERALNO-DEMOKRATYCZNEJ
PARTII „NIEPODLEGŁOŚĆ”**

Pogląd

Dwutygodnik społeczno-polityczny „Towarzystwa Solidarność” e.V.
Ukazuje się
w Berlinie Zachodnim
od 17 stycznia 1982 r.

PUBLICYSTYKA ■ WYWIADY ■ RECENZJE
■ KRONIKA AKTUALNYCH WYDARZEŃ W
KRAJU I NA ŚWIECIE ■ PRZEDRUKI Z POD-
ZIEMNEJ PRASY KRAJOWEJ

Cena pojedynczego egzemplarza w RFN DM4,-. Ceny prenumeraty w poszczególnych krajach podane są w każdym numerze „Poglądu”. Zamówienia prosimy kierować na adres redakcji — „Pogląd”, Postfach 62 02 24, D-1000 Berlin 62, Telefon 030/782 93 84.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 418 — ANDRZEJ SZCZYPIORSKI

POCZĄTEK

Nowa książka autora znakomitej „Mszy za miasto Arras” jest opowieścią w pewnym sensie historyczną. Za „początek” polskiej teraźniejszości Szczypiorski uważa Warszawę pod okupacją hitlerowską w rozlicznych aspektach. Opis losów bohaterów powieści jest historią niektórych korzeni polskiego „dzisiaj”: hitlerowski „początek” rzuca cień na komunistyczny „ciąg dalszy”.

Str. 160.

Cena F. 65,00.

TOM 419 — MAREK NOWAKOWSKI

«GRISZA, JA TEBIE SKAŻU...»

Piąta książka Marka Nowakowskiego w „Bibliotece Kultury” zawiera opowiadania: AMAZONKA, WIZERUNEK, „GRISZA, JA TEBIE SKAŻU...”, ZAKON KAWALERÓW MAZOWIECKICH, ROZMOWA i GLOBUS.

Str. 176.

Cena F. 70,00.

WZNOWIENIE

TOM 128 — MAREK HŁASKO

PIĘKNI DWUDZIEŚTOLETNI

Wydanie trzecie fotooffsetowe

Str. 210.

Cena F. 75,00.

| | |
|--|--------------|
| Stowarzyszenie „Wolność, Democracja, Solidarność”, Frankfurt/Main (RFN) — na fundusz interwencyjny | F. 165,89 |
| „Sukiennice” — Felicia Kwasięborska, Los Angeles, CA (USA) — dla rodzin prześladowanych w Polsce — \$ 35,00 | F. 206,00 |
| Komitet Pomocy Obrońcom Praw Ludzkich i Obywatelskich przy wydziale na stan Illinois Kongresu Polonii Amerykańskiej (nadesłali dyr. K.P.A. Bonawentura Mięka i skarbnik — Jan Jurewicz) — na pomoc dla opozycji w Polsce — \$ 8.000,00 | F. 47.200,00 |

WPŁATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

| | |
|---|-------------|
| Walentyna Aron, Stevens Point, Wisc. (USA) — na „Solidarność” w Polsce — \$ 10,00 | F. 59,00 |
| Płk Ryszard J. Kukliński (USA) — honorarium za wywiad zamieszczony w <i>Kulturze</i> nr 4/475 (kwiecień bież. roku) | F. 3.000,00 |
| S. T. Latawiec, Caufield, Ont. (Kanada) — \$ c. 10,00 | F. 42,00 |

Felicia Hasińska, Fairfield, OH (USA):

| | |
|--|-----------|
| — na Fundusz <i>Kultury</i> , po raz 21-szy — \$ 20,00 | F. 121,80 |
| — na Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego \$ 12,00 .. | F. 73,52 |

M.I., Michigan (USA):

| | |
|---|-------------|
| — na Fundusz <i>Kultury</i> , po raz 4-ty — \$ 1.000,00 | F. 5.900,00 |
| — na Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ 1.000,00 | F. 5.900,00 |

François Prause, Thaillande:

| | |
|--|-----------|
| — na Fundusz <i>Kultury</i> , po raz 28-my | F. 100,00 |
| — na Pomoc dla walczących w Kraju | F. 100,00 |

Marek Przykorski, Montréal, przekazuje na pomoc (w \$ US):

| | |
|---|-------------|
| — dla „Ursusa” — \$ 800,00 | F. 4.720,00 |
| — dla „Gorzowa” — \$ 800,00 | F. 4.720,00 |
| — dla pisma <i>Wola</i> — \$ 533,00 | F. 3.144,00 |

(z powyższej łącznej sumy \$ 2.133,00 kwotę \$ 1.983,00 przekazała Grupa Działania na rzecz „Solidarności” w Montrealu, w której to kwocie znajdują się wpływy z koncertów Jacka Kaczmarskiego i Stanisława Żółtowskiego, a mianowicie: \$ 340,00, koncert w Montrealu, \$ 163,00, koncert w Ottawie, \$ 150,00, koncert w Detroit zorganizowany przez Jerzego Różalskiego).

Rada Uchodźstwa Polskiego w Szwecji przekazuje dochód z akademii 3 Maja w Sztokholmie wynoszący Krs 1.250,00 na:

| | |
|---|-----------|
| — pomoc dla walczących w Kraju — Krs 650,00 | F. 623,00 |
| — NSZZ „Solidarność” — Krs 600,00 | F. 570,00 |

Maria i Kazimierz Rasiej, Bogota, N.J. (USA):
 — na Fundusz *Kultury*, po raz 13-ty — \$ 32,00 + \$ 42,00,
 które przekazali w ub. roku, a która to kwota, przez
 przeoczenie, nie została odnotowana w *Kulturze* — za
 co serdecznie przepraszamy — razem: \$ 74,00 F. 449,00
 — na Fundusz „Żeby Polska była Polską” — \$ 25,00 .. F. 147,50

♦

Dr Wojciech Szczygielski, Markham, Ont. (Kanada) — na
 Fundusz drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ c. 30,00 .. F. 126,00

♦

Stowarzyszenie „Niepodległa Polska”, Dallas, TX (USA) — na
 podziemie rejonu Śląsko-Dąbrowskiego (nadesłał Zygmunt
 S. Zawajski) — \$ 185,00 F.1.090,00

DO PRENUMERATORÓW «KULTURY»

W związku ze spadkiem dolara od szeregu miesięcy dopłacamy do każdej przesyłki lotniczej. Niestety musimy więc podwyższyć tę dopłatę do efektywnych kosztów. Od 1 lipca 1987 prosimy o przekazywanie nam z tego tytułu:

ze Stanów Zjednoczonych, Ameryki Południowej, Afryki Centralnej i Południowej \$ 19 (zamiast \$ 16);

z Kanady \$ 26,50 (zamiast \$ 23,50).

REDAKCJA

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
 Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
 Commission Paritaire N° 60789.
 Dépôt légal: 2^e trimestre 1987.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1987. — N° d'imprimeur 8359.

PRZEDSTAWICIELSTWA

| Egz. poj. | Prenumerata | | |
|--|--------------------------------------|--|---|
| | 1/2-roczna | roczna | |
| Ceny na rok 1986 | | | |
| AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248 | \$ A. 10,00 | \$ A. 60,00 | \$ A. 110,00 |
| AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, Tel.: 0222/93 87 222. | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury » | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury » | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176. | Fl h 20,00 | Fl h 95,00 | Fl h 175,00 |
| IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311 | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. Donald M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C.; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L9H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8 | \$ can. 8,50 DM 14,00 F. 41,00 | \$ can. 47,00 DM 80,00 F. 230,00 | \$ can. 92,00 DM 150,00 F. 440,00 |
| NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1. | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss. | F.S. 13,00 | F.S. 70,00 | F.S. 130,00 |
| SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431. | F.S. 13,00 | F.S. 70,00 | F.S. 130,00 |
| SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgironkonto Nr 48 82 34 6. | K.S. 41,00 | K.S. 230,00 | K.S. 440,00 |
| U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492 | \$ US 7,00 | \$ US 35,00 | \$ US 68,00 |
| WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| WŁOCHY: Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241 | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.
 Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
 INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
 par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
 lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 425 — DANIEL BEAUVOIS

POLACY NA UKRAINIE 1831-1863

**SZLACHTA POLSKA NA WOŁYNIU, PODOLU
I KIJOWSZCZYŹNIE**

Z francuskiego przełożyli Ewa i Krzysztof Rutkowsy
„Za panowania króla Stanisława mieszkał ubogi szlachcic na Podolu”.
Ilu ogółem mieszkało tam wtedy szlachciców ubogich i bogatych?
Zapewne mniej więcej tyluż co w dobie Powstania Listopadowego:
140 tysięcy. Dalszych 270 tysięcy mieszkało na Wołyniu i na Kijow-
szczyźnie... Nikt jednak szczegółowo nie opisał historii unicestwie-
nia całej grupy społecznej, którą była uboga szlachta na prawobrzeż-
nej Ukrainie... Historii zagłady pewnej swoistej kultury, zacofanej
wprawdzie i która by uległa najpewniej powolnej erozji, ale którą
zniszczyła kultura równie zacofana, tyle tylko, że władająca przemocą”.

(Z przedmowy Krzysztofa Pomiana)

Str. 296.

Cena. F. 120,00.

TOM 426 — JAN JÓZEF LIPSKI

SZKICE O POEZJI

O twórczości poetyckiej w Polsce w ostatnich latach

Str. 200.

Cena F. 95,00.

TOM 427 — JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

ŻMUT

„... Co to jest żmut? Żmut to beładnie poplątane włosy, sznurki,
tasiemki. Historycy literatury napisali na temat miłości Adama
Mickiewicza i Marii z Wereszczaków Puttkamerowej... niezliczoną
ilość głupstw. Sam nie wiem jak to było naprawdę, co naprawdę
wydarzyło się w Wilnie, Kownie, Bolcienikach. Ale postaram się
niczego nie zmyślać, a jeśli coś zmyślę, to zaraz powiem że to jest
zmyślone...”.

Str. 288.

Cena F. 110,00.